PANIKA
LAUREN OLIVER
NAJNOWSZA KSIĄŻKA AUTORKI
TRYLOGII [DELIRIUM] I POWIEŚCI 7 RAZY DZIŚ

Lauren Oliver

Panika

Panic
Przekład Monika Bukowska Mojemu wydawcy, Rosemary Brosnan

Dziękuję Ci za Twoją mądrość, wsparcie i przede wszystkim za przyjaźń. Gdybyś nie dodawała mi otuchy, nie skończyłabym tej książki. I dziękuję za to, że pomagasz mi być lepszą pisarką.

SOBOTA, 18 CZERWCA

HEATHER

Woda była tak zimna, że Heather zapierało dech wpiersi, gdy przedzierała się przez tłum okupujący brzeg kąpieliska, którego większość stanowili kibice. Wymachiwali ręcznikami i ręcznie wykonanymi transparentami oraz zachęcali tych, którzy jeszcze nie skoczyli.

Głęboko odetchnęła i zanurzyła głowę. Wszystkie odgłosy, śmiechy i krzyki natychmiast ucichły.

Słyszała teraz tylko jeden głos.
„Nie chciałem, by tak wyszło".
Te jego oczy, długie rzęsy, pieprzyk pod prawą brwią. „Jest w niej coś takiego…"

Jest wniej coś takiego, to znaczy w Heather nic szczególnego nie ma.
Właśnie tego wieczoru miała mu powiedzieć, że go kocha.

Zimno przeszyło jej ciało jak prąd. Dżinsowe szorty zdawały się ciężkie, jakby ich kieszenie były wypełnione kamieniami. Na szczęście po tylu latach pływania w rzece iurządzania z Bishopem wyścigów po zalewie Heather Nill była świetną pływaczką.

W wodzie roiło się od ciał, które wymachiwały rękami inogami, chlapały, pływały w miejscu. Byli wśród nich zarówno skoczkowie, jak i kibice, taplający się w ubraniach, z piwem i jointami wdłoni. Słyszała odległe dudnienie ipozwoliła, by woda ją uniosła – bez myśli, bez lęku.

O to właśnie chodziło w Panice – obrak lęku.

Wypłynęła na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, izobaczyła, że zdążyła już pokonać krótki dystans dzielący plażę od przeciwnego brzegu, na który składał się brzydki stos niekształtnych kamieni, śliskich od czarnego izielonego mchu, przypominający stertę starych klocków lego.Poznaczone siatką pęknięć i szczelin, wznosiły się wstronę nieba, wystając nad powierzchnią wody jak balon.

Trzydzieści jeden osób już wskoczyło. Heather znała wszystkich, do niedawna byli to jej koledzy z klasy. Tylko mała grupka ludzi wciąż stała na wystającym brzegu – postrzępionej, skalistej krawędzi od północnej strony kamieniołomu, sterczącej

dwanaście metrów w górę jak ogromny ząb wyrastający z ziemi.

Było zbyt ciemno, by ich dojrzeć. Latarki i ogniska rzucały światło tylko na linię brzegu, wąskie pasmo ciemnogranatowej wody ina twarze tych, którzy już skoczyli, ateraz unosili się na wodzie – dumni z siebie, zbyt podekscytowani, by czuć zimno – irzucali kąśliwe uwagi pod adresem pozostałych zawodników. Szczyt skarpy wydawał się kudłatą masą czerni, gdzie drzewa wdzierały się na skałę albo też goła skała powoli wypierała las.

Ale Heather i tak wiedziała, kto to był. Wszyscy uczestnicy gry musieli się zapowiedzieć, gdy tylko weszli na szczyt urwiska, a wtedy Diggin Rodgers, tegoroczny komentator imprezy, powtarzał nazwisko przez megafon, który pożyczył od starszego brata, gliniarza.

Jeszcze trzy osoby szykowały się do skoku: Merl Tracey, Derek Klieg i Natalie Velez. Nat.
Jej najlepsza przyjaciółka.

Heather wetknęła palce w szczelinę w skale isię podciągnęła. W poprzednich latach obserwowała jak uczestnicy gry gramolili się w górę urwiska niczym gigantyczne, lśniące od wody insekty. Co roku ludzie ścigali się, kto pierwszy będzie na szczycie i kto pierwszy skoczy. Nie było za to żadnych dodatkowych punktów. To była kwestia dumy.

Uderzyła nogą o ostro wystający kawałek skały. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła na kolanie strużkę ciemnej krwi. Odziwo nie czuła bólu. I choć z przeciwnego brzegu wciąż dochodziły ją krzyki i wiwaty, wszystko to brzmiało odlegle.

Słowa Matta zagłuszały wszystkie inne dźwięki. „Posłuchaj, to po prostu nie działa”.
„Jest w niej coś takiego…”
„Zostańmy przyjaciółmi”.
Powietrze było chłodne. Wiatr się wzmógł, śpiewając

między gałęziami starych drzew, wydobywając z lasu głębokie jęki, ale jej już nie było zimno. Serce waliło jej jak młotem i podchodziło do gardła. Znalazła w skale kolejny punkt podparcia dla rąk, osadziła stopy na śliskim mchu ipodźwignęła się, tak jak obserwowała to u graczy zpoprzednich roczników, każdego lata od końca podstawówki.

Jak przez mgłę dochodził do niej zniekształcony przez megafon głos Diggina.
– Mamy jeszcze jednego zawodnika! Jak to mówią, lepiej późno niż wcale…

Połowa jego słów ginęła na wietrze.

Coraz wyżej i wyżej, mimo bólu rąk i nóg. Starała się trzymać lewej strony skarpy, gdzie nachodzące na siebie skały uformowały szeroką, wystającą krawędź, po której łatwiej się było wspinać.

Nagle obok niej przemknęła jakaś ciemna postać. H eather omało się nie poślizgnęła. W ostatniej chwili pewniej osadziła stopę w skalnym zagłębieniu i mocniej wbiła palce, by się utrzymać. Usłyszała głośne okrzyki ipomyślała, że to musi być Natalie.

Ale wtedy Diggin wykrzyknął:
– Panie ipanowie, następny! Merl Tracey, nasz trzydziesty drugi zawodnik, przyłączył się do gry!

Była już prawie na szczycie. Zaryzykowała spojrzenie wdół i zobaczyła strome poszarpane zbocze oraz czarną wodę rozbijającą się o podnóże skarpy. Nagle wydało się ono oddalone omiliony kilometrów.

Strach ścisnął jej żołądek i na chwilę mgła, która spowijała jej głowę, rozproszyła się, gniew i ból zniknęły, aona zapragnęła poczołgać się w dół, z powrotem na bezpieczną plażę, gdzie czekał Bishop. Mogą zaraz skoczyć do Dot's na gofry z dodatkową porcją masła i bitej śmietany. Mogą pojeździć po okolicy z opuszczonymi szybami, słuchając narastającego cykania świerszczy, albo siedzieć razem na masce samochodu irozmawiać o niczym.

Ale było już za późno. Głos Matta powrócił szeptem iHeather ruszyła dalej.
Nikt nie wie, kto wymyślił Panikę.

Istnieje kilka t eorii. Niektórzy twierdzą, że wszystko się zaczęło, gdy zamknięto fabrykę papieru, przez co z dnia na dzień czterdzieści procent dorosłej populacji Carp wstanie Nowy Jork straciło pracę. Mike Dickinson – który został niesławnie aresztowany za sprzedaż narkotyków tej samej nocy, kiedy został królem balu maturalnego, a teraz wymienia klocki hamulcowe wzakładzie Jiffy Lube przy szosie numer dwadzieścia dwa – lubi twierdzić, że to był jego pomysł. Dlatego wciąż przychodzi na Skok Otwarcia, choć minęły już cztery lata, odkąd skończył szkołę.

Żadna z tych historii jednak nie jest prawdziwa. Panika zaczęła się w Carp, biednym, dwunastotysięcznym miasteczku, gdzie diabeł mówi dobranoc, z tego samego powodu co wiele innych sytuacji – bo latem nie było nic innego do roboty.

Zasady są proste. Dzień po rozdaniu dyplomów n astępuje Skok Otwarcia, a później gra toczy się przez całe lato. Po finałowej konkurencji zwycięzca zgarnia nagrodę.

Każdy licealista w Carp, bez wyjątku, dorzuca się do puli. Opłata wynosi dolara dziennie, przez każdy dzień roku szkolnego, od września do czerwca. Ci, którzy odmawiają partycypacji w kosztach, dostają upomnienia. Jedne są delikatne, inne bardziej przekonujące, jak włamania do szafek szkolnych, rozbite szyby albo posiniaczone twarze.

Nie ma w tym żadnej niesprawiedliwości. W końcu każdy, kto zadeklaruje chęć włączenia się do gry, ma szansę na wygraną, bo kolejna zasada brzmi: wszyscy uczniowie ostatniej klasy, ale*wyłącznie* ostatniej klasy, mogą wziąć udział w zawodach, aogłaszają swój zamiar, zaliczając Skok, pierwsze z wyzwań. Bywało tak, że wPanice brało udział nawet czterdzieści osób.

Ale zwycięzca może być tylko jeden.

Nad wszystkim czuwa dwójka sędziów – to oni planują rozgrywkę, wymyślają konkurencje, wysyłają instrukcje, odejmują punkty idostarczają nagrody. Są wyznaczani przez sędziów z poprzedniego roku – wszystko odbywa się w najściślejszej tajemnicy. Nikt w całej historii Paniki nie przyznał się do bycia sędzią.

Jasne, były pewne podejrzenia, pojawiały się plotki i spekulacje.Carp jest małym miasteczkiem, a sędziowie dostają kasę za swoją robotę. Niby jakim cudem Myra Campbell, która zawsze wykradała dodatkowy lunch ze szkolnej stołówki, bo w domu nie było co jeść, nagle mogła sobie pozwolić na używaną hondę? Powiedziała, że dostała ją w spadku po wujku. Ale nikt nigdy wcześniej nie słyszał o wujku Myry– zresztą właściwie nikt nigdy nawet nie zauważał jej istnienia, dopóki nie przyjechała samochodem, zopuszczonymi szybami. Myra miała papierosa w ustach, asłońce odbijające się w przedniej szybie prawie przysłoniło szeroki uśmiech na jej twarzy.

Jest zawsze dwoje sędziów, wybieranych w tajemnicy, którzy są związani przysięgą i współpracują ze sobą. Nie może być inaczej. W przeciwnym razie na pewno dochodziłoby do prób przekupstwa, amoże nawet gróźb. Dlatego właśnie jest ich dwoje – by zapewnić równowagę iograniczyć ryzyko, że ktoś będzie oszukiwał, że zdradzi informacje okonkurencjach, że wyciekną wskazówki.

Jeśli uczestnicy wiedzieliby, czego się spodziewać, mogliby się przygotować. A to nie byłoby sprawiedliwe. Po części to właśnie niewiedza i niepewność zaczynają

zżerać graczy i eliminować jednego po drugim.

Nagroda to zwykle ponad pięćdziesiąt tysięcy dol arów, już po odliczeniu kosztów i udziału sędziów – kimkolwiek oni są. Cztery lata temu Tommy O'Hare zgarnął wygraną i zjawił się w lombardzie po dwie rzeczy– jedną znich był cytrynowożółty ford – apotem pojechał prosto do Las Vegas ipostawił całą resztę kasy na czarne pola.

Rok później Lauren Davis dzięki nagrodzie sprawiła sobie nowe zęby oraz nowe cycki i przeniosła się do Nowego Jorku. Wróciła do Carp dwa lata później na Boże Narodzenie, została na tyle długo, by pochwalić się nową torebką i jeszcze nowszym nosem, apotem zwiała zpowrotem do Nowego Jorku. Po mieście krążyły plotki, że spotykała się z byłym producentem reality show oodchudzaniu albo że miała zostać modelką Victoria's Secret, choć nikt nigdy nie widział jej w żadnym katalogu (a wielu chłopaków do nich zaglądało).

Conrad Spurlock wszedł w produkcję mety, a w tej branży siedział już jego ojciec, i wpakował forsę w nową szopę przy Mallory Road, gdy jego ostatni „warsztat" spłonął do cna. Z kolei Sean McManus wykorzystał pieniądze z wygranej, żeby pójść na studia − zamierza zostać lekarzem.

W ciągu siedmiu lat gry doszło do trzech wypadków śmiertelnych, a nawet czterech, jeśli liczyć Tommy'ego O'Hare'a, który zabił się za pomocą drugiej rzeczy, którą wykupił z lombardu, po tym jak kulka wruletce padła na czerwone.

Widzicie? Nawet zwycięzca Paniki *czegoś* się boi. Wróćmy do dnia po rozdaniu dyplomów, do dnia rozpoczęcia Paniki, dnia Skoku.

Wróćmy na plażę, ale zatrzymajmy się na kilka g odzin, zanim Heather stanęła na skarpie, nagle sparaliżowana strachem.

Obróćmy lekko kamerę. Jeszcze trochę. O, prawie. Już.
DODGE

Nikt na całej plaży nie kibicował Dodge'owi Mas onowi. Dodge wiedział też, że nikt nie będzie mu kibicował wprzyszłości, nieważne jak daleko by zaszedł.

Ale to nie miało dla niego znaczenia. Jedyne, co się liczyło, to zwycięstwo.

Do tego Dodge mia ł pewien sekret – wiedział coś oPanice, prawdopodobnie wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny na tej plaży.

Właściwie to miał *dwa* sekrety.

Dodge lubił tajemnice. Mobilizowały go, dawały p oczucie siły. Kiedy był mały, fantazjował nawet, że ma swój własny sekretny świat, prywatne miejsce cieni, gdzie mógłby się zwinąć w kłębek i ukryć. Nawet teraz, gdy Dayna miała gorsze dni, bo ból powracał z mocą izaczynała płakać, gdy jego mama opryskiwała dom odświeżaczem powietrza, zapraszała swojego najnowszego gacha i potem wnocy Dodge słyszał, jak rama łóżka łomocze ościanę, a każde takie uderzenie było dla niego jak cios w brzuch – myślał o tym, by się zanurzyć w tę ciemną przestrzeń, prywatną i cichą.

Każdy w szkole uważał Dodge'a za mięczaka. Dobrze o tym wiedział. Nawet *wyglądał* na mięczaka. Zawsze był wysoki ichudy, „sama skóra i kości, jak twój tata" – mówiła mu mama. Wiedział, że kości i skóra, ciemna skóra, to było wszystko, co łączyło go z ojcem, dekarzem z Dominikany, zktórym jego mama spędziła upojną noc wMiami. Dodge nie mógł zapamiętać jego imienia. Roberto. Albo Rodrigo. Albo coś równie żałosnego.

Na samym początku, gdy utknęli w Carp (właśnie tak zawsze otym myślał: że *utknęli*, że on, Dayna i mama byli jak plastikowe reklamówki popychane wiatrem, od czasu do czasu zahaczające o słup telefoniczny lub o koła jakiejś ciężarówki, co na chwilę zatrzymywało je w jednym miejscu), Dodge trzy razy dostał łomot – od Grega O'Hare'a, potem od Zeva Kellera i znów od Grega, który chciał się upewnić, że Dodge zrozumiał, kto tu rządzi. ADodge nie oddał, ani razu.

W końcu bywało gorzej.
I to był drugi sekret Dodge'a, a zarazem źródło jego siły.

Nie bał się. Po prostu miał to gdzieś.
A to bardzo, bardzo duża różnica.

Pasma czerwieni, fioletu i oranżu przecinały niebo, które przypominało Dodge'owi ogromny siniak albo zdjęcie wnętrza ciała. Słońce zajdzie pewnie za jakąś godzinę, wtedy też zostanie ogłoszona wysokość wygranej i Skok.

Dodge otworzył piwo. Jego pierwsze i ostatnie. Nie chciał się wstawić, do niczego nie było mu to potrzebne. Ale dzień był gorący, a on przyszedł tu prosto z pracy, z Home Depot, ichciało mu się pić.

Tłum dopiero zaczynał się powoli zbierać. Od czasu do czasu Dodge słyszał przytłumiony trzask drzwi samochodu, okrzyki powitania dochodzące zlasu, odległy ryk muzyki. Whippoorwill Road biegła niecałe pół kilometra stąd. Ludzie

zaczynali się wyłaniać spomiędzy drzew, przedzierając przez gęste krzaki i pnącza winorośli. Taszczyli ze sobą lodówki turystyczne, koce, butelki oraz głośniki do iPodów i powoli zajmowali miejsce na piasku.

Szkoła się skończyła – na dobre, na zawsze. Dodge wziął głęboki oddech. Spośród wszystkich miejsc, wktórych mieszkał – Chicago, Dystrykt Kolumbii, Dallas, Richmond, Ohio, Rhode Island, Oklahoma, Nowy Orlean– Nowy Jork pachniał najlepiej. W powietrzu czuć było życie, zmianę, rzeczy, które się przeobrażają i stają czymś innym.

Ray Hanrahan i jego banda przyjechali pierwsi. Wszyscy się tego spodziewali. Nawet jeśli uczestnicy oficjalnie zgłaszali swój udział tuż przed Skokiem, Ray chełpił się od miesięcy, że zgarnie nagrodę, jak jego brat dwa lata wcześniej.

Luke wygrał o włos w ostatniej rundzie Paniki. Odszedł z pięćdziesięcioma patykami. O drugim kierowcy, jego rywalce, nie można nawet powiedzieć, że odeszła z pustymi rękami, bo nie była w stanie. Jeśli lekarze mają rację, to już nigdy nie będzie chodzić.

Dodge przerzucił w dłoni monetę, która zniknęła, apotem jak gdyby nigdy nic znowu pojawiła się między jego palcami. W czwartej klasie facet jego mamy – nie pamiętał już który – kupił mu książkę o magicznych sztuczkach. Mieszkali wtedy w Oklahomie, w zabitej dechami dziurze położonej na równinie w głębi kraju, gdzie słońce wypalało trawę i zmieniało ziemię w pył. W takich warunkach Dodge spędził całe lato, ucząc się, jak wyciągnąć monetę z czyjegoś ucha i włożyć kartę do kieszeni tak szybko, by nikt tego nie zauważył.

Na początku magiczne sztuczki były tylko sposobem na zabicie czasu, ale potem zabawa przerodziła się wpewnego rodzaju obsesję. Było coś niezwykłego w tym, jak ludzie patrzyli, nie dostrzegając, że ich umysł zapełniał się tym, czego oczekiwali. Dodge’a zadziwiało też to, jak wiele zależy od zdecydowanego spojrzenia.

Panika – Dodge dobrze otym wiedział – to jedna wielka iluzja. Sędziowie byli magikami, pozostali – tylko tępą gawiedzią.

Następny przyjechał Mike Dickinson razem z dwójką kumpli, wszyscy wyraźnie wstawieni. Dick zaczynał już powoli łysieć i kiedy się nachylił, by postawić lodówkę na plaży, wszystkim ukazały się prześwity jego nagiej czaszki. Kumple dźwigali zbutwiałe krzesło ratownika – tron, na którym podczas imprezy miał siedzieć Diggin, komentator.

Dodge usłyszał brzęczenie. Uderzył odruchowo i zabił komara, gdy ten zaczynał ssać krew. Rozsmarował po swojej nagiej łydce rozgnieciony czarny ślad. Nienawidził komarów, pająków zresztą też. Ale owady w zasadzie lubił, uważał je za fascynujące. W jakimś sensie były podobne do ludzi– głupie i czasami bezwzględne, kiedy zaślepiał je egoizm.

Niebo pociemniało. Światło gasło, kolory blakły iwirując, znikały za linią drzew rosnących na skarpie, jak gdyby ktoś wyciągnął z wanny korek.

Następna na plaży zjawiła się Heather Nill razem z Nat Velez iBishopem Marksem, który dreptał za nimi radośnie jak wyrośnięty owczarek. Nawet z tej odległości Dodge mógł stwierdzić, że obie dziewczyny były podenerwowane. Heather zrobiła coś z włosami. Nie był pewien co dokładnie, ale nie były zebrane w kucyk, jak zwykle, ichyba nawet je prostowała. Wydawało mu się też, że się umalowała.

Rozważał przez chwilę, czy do nich podejść ipowiedzieć „cześć”. Heather była równą laską. Podobało mu się, że jest wysoka, a do tego na swój sposób twarda. Podobały mu się jej szerokie ramiona i to, jak chodziła, zwyprostowanymi plecami, nawet jeśli był pewien, że wolałaby mieć kilka centymetrów mniej – domyślał się tego, bo nosiła tylko buty na płaskim obcasie i trampki ze zdartymi podeszwami.

Jeśli podszedłby do niej, to musiałby się też odezwać do Natalie, anawet spojrzenie na nią na drugim końcu plaży sprawiało, że coś ściskało go w żołądku, jak gdyby dostał kopniaka. Nat nie była wobec niego *podła* wścisłym tego słowa znaczeniu – nie tak jak inni ludzie ze szkoły. Ale nie była też miła, a na tym zależało mu bardziej niż na czymkolwiek. Zwykle uśmiechała się niemrawo, gdy przyłapała go na rozmowie z Heather, a gdy jej oczy przebiegały po nim, jak gdyby był przezroczysty, to przestawał się łudzić, że kiedykolwiek zwróci na niego uwagę. Raz nawet, na ognisku wpoprzednim roku, nazwała go Dave’em.

Poszedł tam właśnie dla niej. Kiedy zauważył ją wtłumie, ruszył w jej stronę – oszołomiony gwarem, upałem i szklanką whisky wypitą na parkingu, żeby dodać sobie odwagi. Poszedł tam właśnie po to, żeby z nią porozmawiać, po raz pierwszy naprawdę z nią porozmawiać. Gdy wyciągnął rękę, by złapać ją za łokieć, cofnęła się inadepnęła mu na stopę.

– Ups! Przepraszam, Dave – powiedziała, chichocząc. Jej oddech czuć było wanilią i wódką. Zawartość żołądka podeszła mu do gardła.

W ich szkole na ostatnim roku było stu siedmiu uczniów, tylko tylu zostało ze stu pięćdziesięciu, którzy zaczęli naukę w pierwszej klasie. A ona nawet nie pamiętała

jego imienia.

Teraz stał więc w miejscu, grzebiąc butem w ziemi iczekając na zmrok, na sygnał gwizdka rozpoczynający rozgrywkę.
Wygra Panikę.

Zrobi to dla Dayny. Zrobi to z zemsty.
HEATHER
– Próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy – to był Diggin, sprawdzał, czy wszystko działa.

Stary kamieniołom przy Whippoorwill Road, nieek sploatowany od końca dziewiętnastego wieku, został zalany wlatach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia i utworzono tu kąpielisko. Na południowym brzegu była plaża – wąskie pasmo piasku ikamieni, gdzie nie należało zapuszczać się po zmroku. Owcześniejszych porach też rzadko z niej korzystano. Pełno tu było papierosowych niedopałków, zgniecionych puszek po piwie, opróżnionych woreczków po prochach, a czasami, ozgrozo, zdarzały się zużyte kondomy, porozrzucane bezwładnie po ziemi jak podłużne meduzy. Tego wieczoru plaża była zatłoczona, wyłożona kocami ileżakami, a wpowietrzu unosił się ciężki zapach środka przeciw komarom i alkoholu.

Heather zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. To właśnie był zapach Paniki – zapach lata. Na brzegu nastąpiła nagła eksplozja kolorów i dźwięków – rozległy się piski iśmiechy. Fajerwerki. W ich czerwono–zielonym blasku Heather zobaczyła Kaitlin Frost i Shaynę Lambert, zwijające się ze śmiechu, podczas gdy Patrick Culbert próbował odpalić następne sztuczne ognie.

Nie mogła uwierzyć, że rozdanie dyplomów odbyło się zaledwie wczoraj. Wyszła przed końcem ceremonii, bo Krista, jej mama, nie przyszła na uroczystość, a ona sama nie miała ochoty udawać, że prześlizgiwanie się przez cztery lata obowiązkowych zajęć było czymś godnym pochwały. Teraz miała wrażenie, że od szkoły średniej minęły wieki, jakby to był jeden długi sen, o którym można od razu zapomnieć. Może, myślała, to przez to, że ludzie się nie zmienili. Wszystkie te dni po prostu zlały się w jedno iteraz miały zostać wessane w przeszłość.

W Carp nic nigdy się nie działo. Nie było niespodzianek.
Głos Diggina rozchodził się echem po plaży.
– Panie ipanowie, pora na ważne ogłoszenie: szkoła została zamknięta i nie otworzą jej przez całe lato!

Wszyscy zaczęli wiwatować. A potem znowu: pyk, pyk, pyk, wybuchy fajerwerków.

Znajdowali się w środku lasu, osiem kilometrów od najbliższego domu. Mogli hałasować do woli. Mogli krzyczeć. Mogli wrzeszczeć. I tak nikt ich nie usłyszy.

Heather poczuła ucisk w żołądku. Zaczynało się. Domyślała się, że Nat pewnie umiera ze strachu. Wiedziała, że powinna ją jakoś pocieszyć – ona i Bishop przyszli, żeby kibicować Natalie, jakoś ją wesprzeć. Bishop zrobił nawet plakat z napisem: „Do boju, Nat!". Obok narysował wielkiego ludzika. Natalie mogła się rozpoznać, ponieważ ludzik miał na sobie różową dresową bluzę i stał na stosie pieniędzy.

– Jak tosię stało, że Nat nie ma na sobie spodni? – spytała Heather.

– Może zgubiła je w trakcie Skoku – odparł Bishop. Odwrócił się do Nat, szczerząc zęby w uśmiechu. Zawsze gdy się w ten sposób uśmiechał, jego brązowe jak syrop oczy przybierały miodowy odcień. – Rysunki nigdy nie były moją mocną stroną.

Heather nie lubiła rozmawiać o Matcie wtowarzystwie Bishopa. Nie mogła znieść, że przewraca oczami, kiedy onim wspomina, jakby zmieniała stację radiową na taką grającą kiepski pop. Ale w pewnym momencie nie wytrzymała.

– Jeszcze go nie ma – powiedziała cicho, tak że tylko Nat ją słyszała. – Przepraszam, Nat. Wiem, że to nie jest odpowiednia pora… to znaczy wiem, że przyszliśmy tu dla ciebie…

– Nie ma sprawy. – Nat wyciągnęła obie ręce i ścisnęła dłoń Heather. Zrobiła dziwną minę, jak gdyby właśnie zmuszono ją do wypicia jednym tchem soku z cytryny. – Posłuchaj. Matt nie zasługuje na ciebie. Jasne? Stać cię na więcej.

Heather uśmiechnęła się kwaśno.
– Nat, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie musisz mnie okłamywać.
Natalie pokręciła głową.
– Jestem pewna, że zaraz się tu zjawi. Za chwilę wszystko się zacznie.

Heather znowu sprawdziła telefon, po raz setny. Nic. Wyłączała go kilka razy i restartowała, aby się upewnić, że działa.

Głos Diggina zagrzmiał znowu – zasady Paniki są proste. Każdy może wziąć w niej udział. Ale tylko jedna osoba wygra.

Po czym ogłosił wysokość wygranej.
Sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów.

Heather poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją prosto wbrzuch. Sześćdziesiąt siedem tysięcy. To chyba najwyższa nagroda w historii gry. Po tłumie przeszedł szmer – ta kwota przebiegała między nimi jak prąd, przeskakując zust do ust. „Cholera, stary, trzeba być głupim, żeby *nie grać*". Nat miała taką minę, jakby właśnie zjadła wielką łyżkę lodów.

Nie zważając na hałas, Diggin ogłosił zasady – wciągu całego lata rozegranych zostanie sześć konkurencji, przeprowadzonych wwarunkach najściślejszej tajemnicy; po każdej rundzie ktoś odpada; każdy z uczestników, któremu uda się przejść półmetek, będzie się musiał zmierzyć z indywidualnymi wyzwaniami. Nikt go nie słuchał. Gadka była ta sama co zawsze. Heather oglądała Panikę od końca podstawówki. Sama mogłaby wygłosić tę mowę.

Jednak wymieniona przez niego kwota – sześćdziesiąt siedem tysięcy – miała niezwykłą moc, zakradła się do jej wnętrza niczym wąż, oplotła je i ścisnęła. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła z taką forsą. Myślała otym, jak daleko mogłaby pojechać, co mogłaby za to kupić, jak długo byłaby w stanie się utrzymać. Jak daleko od Carp mogłaby się znaleźć.

Ale nie. Nie mogła przecież zostawić Matta. Matt powiedział, że ją kocha. On był jej przyszłością. Poczuła, że jej serce trochę się uspokoiło, a ona znowu może oddychać.

Obok niej Natalie zsunęła z siebie dżinsowe szorty i kopniakiem pozbyła się butów.
– Nie do wiary, co nie?– powiedziała.

Zdjęła koszulkę i zaczęła dygotać na wietrze. Heather nie mogła uwierzyć, że Nat uparła się na to absurdalne bikini, które pewnie od razu z niej spadnie, gdy wskoczy do wody. Jej argumenty Natalie skwitowała śmiechem izażartowała, że może dzięki temu uda się jej zdobyć dodatkowe punkty.

Oto cała Natalie – uparta. Ipróżna. Heather wciąż nie mogła uwierzyć, że zdecydowała się wystartować. Przecież bała się dosłownie wszystkiego.

Ktoś – pewnie Billy Wallace – zagwizdał.
– Niezły tyłek, Velez.

Nat nie zareagowała, ale Heather mogłaby się założyć, że usłyszała, tylko nie chciała dać po sobie poznać, że jej to schlebia. Heather zastanawiała się, co powiedziałby Billy Wallace, gdyby ona sama założyła na siebie taki skrawek materiału. „O rany, patrzcie, co ona ma na sobie! Heather, czy nie trzeba specjalnego pozwolenia, żeby się w czymś takim pokazywać publicznie?"

Ale Matt ją kocha. Matt uważa, że jest ładna.

Gwar na plaży narastał, aż przerodził się w ryk – słychać było pohukiwania i krzyki, ludzie wymachiwali ręcznie wykonanymi transparentami i flagami, fajerwerki grzmiały jak mała kanonada, i Heather wiedziała, że to już. Zaraz rozlegnie się gwizdek.

Zaraz rozpocznie się Panika.

I wtedy go zobaczyła. Tłum rozstąpił się na chwilę. Mogła dojrzeć, jak się uśmiecha, rozmawia z kimś. Apotem tłum znowu się poruszył i straciła go z oczu.

– On tu jest. Nat, on *tu jest*.
– Co?– Nat była już skupiona na czymś innym.

Heather zaschło w gardle. Tłum znowu się rozstąpił, gdy zaczęła iść w kierunku Matta, jak gdyby przyciągała ją tam jakaś niewidzialna siła – czuła ulgę wzbierającą wpiersi, to była szansa, by wszystko naprawić, szansa, by wszystko dobrze rozegrać, chociaż raz. W tej samej chwili dostrzegła, że Matt rozmawia zDelaney O'Brien.

Nie tyle rozmawia, ile szepcze jej coś do ucha. A potem ją całuje.
Rozległ się gwizdek, ostry i cienki. Przeciął nagłą ciszę jak krzyk egzotycznego ptaka.

Heather dotarła na szczyt wzniesienia w tej samej chwili, gdy Derek Klieg wziął rozbieg i z krzykiem wystrzelił w powietrze, zdziwnie wykręconym ciałem. Kilka sekund później rozległy się wiwaty, gdy uderzył w taflę wody.

Natalie kucała kilka stóp od krawędzi, blada na tw arzy. Przez chwilę Heather wydawało się, że słyszy, jak jej przyjaciółka odlicza. Wtedy Nat odwróciła się i zamrugała oczami, jakby nie widziała Heather wyraźnie. Otworzyła usta izaraz je zamknęła.

Serce Heather waliło jak młotem.
– Cześć, Nat – powiedziała, gdy przyjaciółka się podniosła.
– Co ty tu robisz, do cholery?– wyrzuciła z siebie Natalie.

Nagle do Heather wszystko dotarło – ból w rękach iłydkach, ból w palcach, ostre ukąszenia wiatru. Natalie wyglądała na wściekłą. Trzęsła się, choć powodem mogło być zimno.

– Zamierzam skoczyć – wyjaśniła Heather i w tym samym momencie uświadomiła sobie, jak głupio to brzmi, jakie to *jest*głupie. Nagle poczuła, że robi jej się niedobrze.

„Będę ci kibicować", oznajmiła przyjaciółce. Teraz ogarnęło ją poczucie winy, pulsowało w niej na przemian zfalami mdłości. Ale głos Matta był silniejszy niż wszystko inne. Głos Matta i wspomnienie nacieków na suficie nad jej łóżkiem; tępe dudnienie muzyki z parku; zapach trawki ipapierosów; dochodzące ją śmiechy, apotem czyjś krzyk: „Ty idioto…".

– Nie możesz skoczyć – zaprotestowała Nat, wpatrując się w nią. – Przecież to *ja*skaczę.
– No to skoczymy razem– powiedziała Heather.

Natalie zrobiła dwa kroki w jej stronę. Heather zauważyła, że zaciska pięści niemal rytmicznie. Ścisk, rozluźnienie. Ścisk, rozluźnienie. Trzy razy.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Natalie niemal szeptem.

Heather nie potrafiła odpowiedzieć. Nawet nie wi edziała dlaczego, nie tak dokładnie. Wiedziała i czuła tylko tyle, że to jej ostatnia szansa.

Odparła:
– Muszę skoczyć teraz. Zanim stchórzę.

Gdy odwróciła się w stronę wody, Natalie wyciągnęła do niej rękę, jakby chciała ją zatrzymać. Ale tego nie zrobiła.

Heather miała wrażenie, że skała pod nią zaczęła się kołysać, wierzgając jak koń. Ogarnął ją nagły lęk, że straci równowagę, stoczy się po skalistym zboczu i roztrzaska sobie głowę o skały.
Panika.

Stawiała małe, niepewne kroki, ale i tak dotarła na skraj urwiska zbyt szybko.
– Przedstaw się! – ryknął Diggin.

Kilka metrów poniżej, w wodzie czarnej jak ropa, wciąż kłębiły się ciała. Chciała do nich krzyknąć: „Ruchy, ruchy, zaraz wwas uderzę!", ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu – wogóle ledwo oddychała. Miała wrażenie, jakby jej klatkę piersiową ściskała jakaś obręcz.

Aż nagle przypomniała sobie i nie mogła odpędzić tej myśli, jak cztery lata temu

Chris Heinz wypił jedną piątą butelki wódki przed skokiem, a potem stracił równowagę. Jego czaszka rozbijająca się o skały wydawała delikatny dźwięk, niemal jak tłuczona skorupka jajka. Pamiętała, jak wszyscy zbiegli na dół przez las. Miała przed oczami jego ciało, połamane i bezwładne, do połowy zanurzone w wodzie.

– Powiedz, jak się nazywasz! – pospieszył ją Diggin, atłum zaczął skandować:

– Powiedz, powiedz, powiedz!
Otworzyła usta.

– Heather – wychrypiała. – Heather Nill. – Wiatr porywał jej słowa.

Okrzyki ni e cichły:
– Powiedz! Powiedz! Powiedz! Powiedz!
A potem:
– Skacz! Skacz! Skacz! Skacz!

Miała wrażenie, jakby wszystko w niej zdrętwiało, jakby było skute lodem. W ustach czuła posmak wymiocin. Wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy.

I skoczyła.

SOBOTA, 25 CZERWCA

HEATHER

Heather niczego w życiu nie żałowała tak bardzo jak tej podjętej pod wpływem impulsu decyzji, by przystąpić do gry. Przez następne dni wydawało jej się to jakimś szaleństwem. Może tamtego wieczoru nawdychała się za dużo alkoholowych oparów. Może widok Matta całującego Delaney na jakiś czas odebrał jej zdrowy rozsądek. Przecież tak właśnie było, prawda? Czy linia obrony wielu procesów sądowych nie opierała się na takim założeniu? Procesów wytaczanych ludziom, którzy wpadali w szał i rzucali się na swoich byłych współmałżonków z siekierą?

Ale była zbyt dumna, by się teraz wycofać. Termin pierwszej konkurencji był coraz bliżej. Choć po zerwaniu zMattem chciała się ukryć przed całym światem i za wszelką cenę unikała kontaktów ze znajomymi, dotarły do niej wieści – wieże ciśnień niedaleko Copake zostały pobazgrane przez wandali, wymalowano na nich następujące słowa: „Sobota, o zachodzie słońca”.

Wiadomość i zaproszenie dla wszystkich graczy.

Starała się poruszać jak najwolniej, spędzała noce zwinięta na kanapie, oglądając telewizję ze swoją siostrą Lily, wyłączała telefon, chyba że obsesyjnie sprawdzała, czy Matt do niej nie dzwonił. Nie chciała się widzieć zBishopem, który by jej strzelił kazanie i powiedział, że Matt itak jest idiotą. Nat przez trzy dni była obrażona, ale wkońcu złość jej przeszła.

Mimo to czas biegł, pędził przed siebie na złamanie karku, jak gdyby życie przełączono na tryb przyspieszony. Wreszcie nadeszła sobota i nie było już ucieczki.

Nie musiała się nawet martwić, jak się wymknie z domu. Jej mama iojczym, Bo, wyszli do jakiegoś baru wAncram, co oznaczało, że nie doczołgają się z powrotem przed porankiem albo, co bardziej prawdopodobne, przed niedzielnym południem – z zaczerwienionymi oczami, cuchnący dymem papierosowym, wygłodniali i w paskudnym nastroju.

Heather zrobiła makaron z serem dla Lily, która zjadła go wponurym milczeniu przed telewizorem. Mała miała przedziałek zrobiony dokładnie na środku, włosy zebrane gładko i zwinięte w ciasny kok ztyłu głowy. Ostatnio ciągle się tak czesała i wyglądała przez to jak staruszka w ciele jedenastolatki.

Lily nie odzywała się do niej i Heather nie wiedziała dlaczego, ale nie miała siły, by się tym zamartwiać. Taka właśnie była Lily – dąsała się w jednej chwili, uśmiechała wnastępnej. Ostatnio częściej bywała w ponurym nastroju, ado tego wydawała się bardziej poważna, zwracała większą uwagę na to, w co się ubiera i jak czesze, była cichsza, rzadziej zdarzały jej się napady głupawki i rzadziej prosiła siostrę o opowiedzeniebajki przed zaśnięciem. Heather doszła do wniosku, że mała po prostu dojrzewa. W Carp nie było za dużo powodów do śmiechu. A już na pewno nie we Fresh Pines Mobile Park − osiedlu przyczep, gdzie mieszkały.

Jednak na myśl o tym Heather poczuła ból w piersi. Tęskniła za dawną Lily – jej lepkimi od coli rękami, oddechem pachnącym gumą do żucia, włosami w ciągłym nieładzie i wiecznie zamazanymi okularami. Tęskniła za jej szeroko otwartymi oczami, gdy wciemności przewracała się z boku na boku iszeptała: „Opowiedz mi bajkę, Heather”.

Ale właśnie w taki sposób się to odbywało – ewolucja, stwierdziła. Taki porządek rzeczy.

O wpół do ósmej Bishop wysłał jej SMS–a, że już jedzie. Lily zaszyła się w Kącie, jak Heather nazywała ich sypialnię – ciasny, zagracony pokój, którego wystrój stanowiły dwa łóżka ściśnięte praktycznie jedno przy drugim, komoda bez jednej nogi, która trzęsła się za każdym razem, gdy ją otwierano, wyszczerbiona lampa i szafka nocna złuszczącym się lakierem oraz ubrania piętrzące się wszędzie niczym zaspy śniegu.

Lily leżała w ciemności z kołdrą podciągniętą pod brodę. Heather uznała, że pewnie śpi, i już miała zamknąć drzwi, kiedy siostra odwróciła się do niej i podniosła, wspierając się na łokciu. W świetle księżyca wpadającym przez brudne szybyjej oczy błyszczały jak wypolerowany marmur.
– Dokąd idziesz? – spytała.

Heather, pokonawszy labirynt dżinsów, dresowych bluz, majtek izwiniętych w kulkę skarpetek, usiadła na łóżku Lily. Cieszyła się, że mała nie śpi i że wreszcie postanowiła się do niej odezwać.

– Bishop iNat po mnie przyjeżdżają – odpowiedziała wymijająco. – Mamy jedną rzecz do zrobienia.
Lily znowu opadła na poduszkę i przykryła się kołdrą. Przez chwilę się nie odzywała. A potem rzuciła:
– Wrócisz?

Heather poczuła ścisk w piersi. Pochyliła się, by położyć rękę na głowie Lily, ale siostra odsunęła się gwałtownie.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy, żabko?

Lily nie odpowiedziała. Przez kilka minut serce He ather waliło jak oszalałe i nagle poczuła się w tej ciemności samotna i bezradna. A potem usłyszała oddech małej iwiedziała, że zasnęła. Pochyliła się i pocałowała ją wczoło. Skóra Lily była gorąca i wilgotna, Heather zapragnęła nagle położyć się obok niej, obudzić ją iprzeprosić za wszystko – za mrówki w kuchni i plamy na suficie, za smród papierosowego dymu i ciągłe krzyki. Za ich mamę Kristę i ojczyma Bo. Za żałosne życie, w które je wtłoczono, jak sardynki do puszki.

Usłyszała cichy dźwięk klaksonu za oknem, więc podniosła się i zamknęła za sobą drzwi.

Heather zawsze wiedziała, że jed zie Bishop, po odgłosie, jaki wydawały jego samochody. Jego tata prowadził kiedyś warsztat, a sam Bishop miał bzika na punkcie aut ismykałkę do majsterkowania. Kilka lat temu zrobił dla Heather różę z płatków miedzi, ze stalową łodygą i małymi śrubkami zamiast kolców. Zawsze dłubał przy zardzewiałych metalowych odpadkach, które zbierał Bóg wie gdzie. Jego najnowszym samochodem był lesabre z silnikiem, który brzmiał jak rzężący staruszek.

Heather usadowiła się obok kierowcy. Natalie si edziała z tyłu, na środku. Zawsze zajmowała to miejsce, nawet jeśli w samochodzie nie było nikogo oprócz kierowcy. Powiedziała Heather, że nie lubi wybierać, czy usiąść po prawej, czy po lewej stronie, bo zawsze miała wrażenie, jakby od tego zależało jej życie. Heather wyjaśniała jej miliony razy, że właśnie miejsce pośrodku jest najniebezpieczniejsze, ale Nat nie słuchała.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie w to wrobiłyście – powiedział Bishop, gdy Heather wsiadła do samochodu.

Padał deszcz, choć nie tyle leciał z nieba, ile się materializował w powietrzu niczym oddech zjakichś gigantycznych ust. Nie było sensu korzystać z parasola czy kurtki przeciwdeszczowej, bo deszcz nadciągał ze wszystkich stron naraz, dostawał się za kołnierz, pod rękawy ispływał po plecach.

– Błagam – mocniejnaciągnęła kaptur na głowę – nie rób się teraz świętszy od papieża. Zawsze oglądałeś grę.
– Tak, ale było to zanim moje dwie najlepsze przyjaciółki upadły na głowę i

postanowiły wziąć w niej udział.

– Dobra, Bishop, nie truj więcej – wtrąciła się Nat. – Włącz jakąś muzykę, okej?

– Nie da rady, szanowna pani – Bishop sięgnął do uchwytu na napoje iwręczył Heather granitę z 7–Eleven. Niebieską. Jej ulubioną. Pociągnęła łyk i poczuła, jak kojący chłód oblewa jej całą głowę. – Radio nie działa. Pracuję nad okablowaniem…

Nat przerwała mu z teatralnym jękiem.
– No nie, *znowu*?

– No ico mam ci powiedzieć? Wiesz, że kocham wszystko, co wymaga naprawy.

Poklepał kierownicę, przyspieszając przy wjeździe na autostradę. W odpowiedzi lesabre wydał z siebie piskliwy jęk protestu, po którym nastąpiło kilka mocnych trzasków iprzeraźliwe grzechotanie, jakby silnik zaraz miał się rozlecieć.

– Jestem prawie pewna, że to nie jest *odwzajemniona* miłość – stwierdziła Nat, a Heather się roześmiała ipoczuła, że jest trochę mniej zdenerwowana.

Gdy Bishop zjechał na wąską polną drogę biegnącą na obrzeżach parku, światła jego samochodu oświetlały co jakiś czas znaki BRAK PRZEJŚCIA. Na ścieżce parkowało już kilkadziesiąt aut, w większości wciśniętych głęboko w las, aniektóre były niemal niewidoczne spomiędzy krzaków.

Heather od razu zauważyła samochód Matta – starego jeepa, którego dostał od wujka. Tylny zderzak był pokryty postrzępionymi naklejkami, które Matt próbował usunąć, bo sprawiały wrażenie, jakby wjechał tyłem w ogromną pajęczynę.

Pamiętała ich pierwszą wspólną przejażdżkę, by uc zcić fakt, że wreszcie zdał prawo jazdy po trzech oblanych egzaminach. Zatrzymywał się i ruszał tak gwałtownie, że prawie zwróciła pączki, które jej kupił, ale był tak szczęśliwy, że i ona była szczęśliwa.

Cały dzień, cały tydzień rozpaczliwie miała nadzieję, że go zobaczy, a jednocześnie modliła się, by już go nigdy wżyciu nie ujrzeć.

Czuła, że jeśli Delaney tu jest, to chyba naprawdę zwymiotuje. Mogła sobie darować tę granitę.

– Wszystko wporządku? – spytał cicho Bishop, gdy wysiadali zsamochodu. Zawsze

wyczuwał, co się z nią dzieje –uwielbiała go za to i jednocześnie nienawidziła.

– Jasne – odpowiedziała nieco za ostro.

– Dlaczego to zrobiłaś, Heather? – zapytał i zatrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu. – Dlaczego tak naprawdę to zrobiłaś?

Heather zauważyła, że jest ubrany dokładnie tak samo jak ostatnio, gdy się widzieli, wtedy na plaży – jasnoniebieski podkoszulek z nadrukiem idżinsy tak długie, że zahaczały o podeszwy jego trampków – itrochę ją to zirytowało. Jego ciemnoblond włosy sterczały pod dziwnymi kątami pod starą bejsbolówką. Ale pachniał przyjemnie, Bishopem– jak wnętrze szuflady pełnej starych monet i jak tic–taki.

Przez chwilę miała ochotę powiedzieć mu prawdę, że kiedy Matt ją rzucił, zrozumiała, że jest nikim.
Ale Bishop wszystko zepsuł.
– Błagam, tylko mi nie mów, że to przez Matthew Hepleya. – Westchnął i przewrócił oczami, jak zwykle.

– Daj spokój. – Miała ochotę mu przyłożyć. Nawet sam dźwięk tego nazwiska sprawiał, że ściskało ją w gardle.

– No to podaj mi powód. Mówiłaś przecież miliony razy, że Panika jest głupia.
– Nat też przystąpiła do gry, nie? Dlaczego jej też nie prawisz kazań?
– Nat jest idiotką – odparł Bishop.

Zdjął czapkę i przejechał ręką po włosach, które zareagowały, jakby były naelektryzowane, i natychmiast się podniosły. Bishop twierdził, że elektromagnetyczne włosy to jego magiczna moc. Heather wydawało się, że jej jedyną magiczną mocą jest niezwykła zdolność do posiadania wściekle czerwonego pryszcza na którymś fragmencie twarzy.
– To twoja przyjaciółka – wypomniała mu Heather.

– No ico? Nie zmienia to faktu, że jest idiotką. Wkwestii przyjaźni stosuję politykę tolerancji dla idiotów.

Heather nie mogła się powstrzymać i się roześmiała. On też się uśmiechnął, tak szeroko, że mogła zobaczyć jego trochę krzywe zęby.

Bishop ponownie założył czapkę, zakrywając kat astrofalną fryzurę. Był jednym z niewielu znanych jej chłopaków, którzy byli od niej wyżsi (nawet Matt był dokładnie jej wzrostu, metr osiemdziesiąt). Czasami była mu za to wdzięczna,

czasami miała o to do niego pretensje, jak gdyby próbował jej coś udowodnić tym, że jest wyższy. Nim skończyli dwanaście lat, byli dokładnie tego samego wzrostu, co do centymetra. Wsypialni Bishopa wciąż widniały narysowane ołówkiem na ścianie stare kreski, które były tego dowodem.

– Trzymam za ciebie kciuki, panno Nill– powiedział cichym głosem. – Chcę, żebyś o tym wiedziała. Wolałbym, żebyś nie grała. Uważam, że to kompletny idiotyzm. Ale trzymam za ciebie kciuki.

Objął ją ramieniem iuścisnął, a coś w tonie jego głosu przypomniało jej, że kiedyś – zdawało się, że wieki, wieki temu –była przelotnie zakochana w nim po uszy.

W pierwszej klasie liceum zaliczyli niezdarny pocałunek na tyłach kina, choć miała między zębami resztki popcornu, apotem przez dwa dni chodzili, trzymając się luźno za ręce, nagle niezdolni do rozmowy, mimo że przyjaźnili się od podstawówki. Wtedy on z nią zerwał, aHeather powiedziała, że rozumie, choć wcale nie rozumiała.

Nie wiedziała, dlaczego nagle jej się to przypomniało. Teraz nie wyobrażała sobie, że mogłaby się zakochać wBishopie. Był dla niej jak brat – wkurzający brat, który zawsze gdy wyskoczy ci pryszcz, musi to wytknąć. A ten zawsze jej wyskakiwał. Ale tylko jeden naraz.

Już stąd słyszała słabe dźwięki muzyki dobiegające spomiędzy drzew i grzmiący głos Diggina, wzmocniony przez megafon. Wieże ciśnień, pobazgrane graffiti i oznaczone bladym napisem HRABSTWO COLUMBIA, były oświetlone od dołu. Wyglądały jak posępne, osadzone na patykowatych nogach przerośnięte insekty.

A właściwie jak *jeden* insekt, zdwoma okrągłymi stalowymi stawami. Heather dostrzegła, nawet z tej odległości, że między nimi ułożono wąską drewnianą deskę, piętnaście metrów nad ziemią.

Tym razem wiadomo było, na czym ma polegać zadanie.

Zanim dołączyli do zgromadzonego pod wieżami tłumu, twarz Heather była cała mokra. Jak zwykle wpowietrzu czuć było oczekiwanie na coś niezwykłego – ekscytację i niepokój, chociaż wszyscy rozmawiali szeptem. Komuś udało się wymanewrować ciężarówką przez las. Podłączony do jej akumulatora reflektor oświetlał wieże i deskę biegnącą między nimi, co nadawało mgiełce deszczu tajemniczy blask. Gdzieniegdzie rozbłyskiwały żarzące się papierosy, a w jednej zciężarówek grało radio − stara rockowa piosenka dudniła cicho w tle rozmów. Tej nocy musieli się zachowywać ciszej, byli bowiem bliżej drogi.

– Obiecaj, że nie zwiejesz beze mnie, okej? – odezwała się Nat.

Heather odczuła ulgę, że jej przyjaciółka powiedziała to pierwsza. Mimo że wszędzie wokół byli jej znajomi ze szkoły, ludzie, których znała od zawsze, sama odczuła nagły strach, że mogłaby się zgubić w tym tłumie.

– Obiecuję – powiedziała Heather.

Starała się nie patrzeć do góry i zorientowała się, że mimowolnie przebiega wzrokiem po zgromadzonych w poszukiwaniu Matta. Dostrzegła niedaleko zwartą grupę chichoczących drugoklasistek i Shaynę Lambert, która była owinięta kocem i trzymała w ręku termos, jakby była na meczu futbolowym.

Zaskoczył ją widok Vivian Trager, stojącej samotnie, nieco na uboczu. Dziewczyna nosiła dredy, a jej liczne kolczyki połyskiwały w świetle księżyca. Heather nigdy nie widziała Viv na żadnej imprezie – wiedziała o niej tylko, że chodzi na wagary i dorabia jako kelnerka wDot's. Zjakiegoś powodu fakt, że nawet Viv się tu zjawiła, wzmógł jej niepokój.

– Bishop!

Avery Wallace przepchnęła się przez tłum i rzuciła wramiona Bishopa, jak gdyby właśnie uratował ją zjakiegoś kataklizmu. Heather odwróciła wzrok, gdy Bishop nachylił się, żeby ją pocałować. Avery miała zaledwie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i Heather czuła się przy niej jak Guliwer wkrainie Liliputów.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała Avery, gdy Bishop wyzwolił się z jej objęć.

Nie przywitała się z Heather. Raz usłyszała, jak Heather mówi, że Avery ma twarz jak krewetka, inajwyraźniej nie była w stanie jej tego wybaczyć. Ale cóż, dziewczyna rzeczywiście miała w sobie coś z krewetki, była mała iróżowa, tak że Heather wcale nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia.

Bishop wymamrotał coś w odpowiedzi. Heather zrobiło się słabo i znów poczuła, że ma złamane serce. Nikt nie powinien być szczęśliwy, kiedy my sami jesteśmy przygnębieni – ajuż na pewno nie nasi najlepsi przyjaciele. Takie powinno być prawo.

Avery zachichotała i uścisnęła rękę Bishopa.

– Zaczekaj, skoczę po swoje piwo, dobra? Zaraz wracam. Nie ruszaj się stąd. –

Apotem odwróciła się izniknęła.

Bishop od razu rzucił Heather:
– Nic nie mów.
– Ale o co ci chodzi?– Heather uniosła ręce. Bishop wyciągnął palec w jej stronę.

– Wiem, co teraz myślisz – powiedział, a potem dźgnął Nat. – Ity też.
Nat zrobiła niewinną minkę.
– To nie fair, Marks. Właśnie myślałam o tym, jakie urocze zniej zwierzątko. Takie małe i poręczne.
– Zmieściłaby się do kieszeni – zgodziła się Heather.
– No dobra, dobra. – Bishop całkiem nieźle udawał, że jest zły. – Wystarczy.
– Ale to komplement – zaprotestowała Nat.

– Powiedziałem: wystarczy. – Nie minęła minuta, gdy nachylił się i szepnął: – Wiecie, nie mogę trzymać jej w kieszeni. Bo gryzie. – Jego usta musnęły ucho Heather, przez przypadek, była tego pewna, i roześmiała się.

Ścisk w jej żołądku nieco zelżał. Wtedy ktoś wyłączył muzykę, a tłum znieruchomiał i ucichł. I już wiedziała, że wszystko zaraz się zacznie. Nagle poczuła paraliżujące zimno wcałym ciele, jak gdyby deszcz stężał i zamarzł jej na skórze.

– Witamy podczas drugiej konkurencji!– ryknął Diggin.

– Pieprz się, Rodgers! – wrzasnął jakiś koleś, po czym rozległy się krzyki i sporadyczne śmiechy. Ktoś inny zaczął ich uciszać.

Diggin udawał, że nie słyszał obelgi.
– To test odwagi irównowagi…
– Itrzeźwości!
– Stary, już po mnie.

Kolejne śmiechy. Heather nie dała rady nawet się uśmiechnąć. Obok niej Natalie wierciła się nerwowo – rozglądała się na prawo i lewo, dotykała bioder. Heather nie była nawet w stanie zapytać, co robi.

Diggin ciągnął:
– Atakże test prędkości, bo wszystkim uczestnikom zmierzymy czas…
– Chryste Panie, streszczaj się…
Digginowi wreszcie puściły nerwy. Odsunął megafon od ust.
– Zamknij mordę, Lee!

To wywołało nową falę śmiechu. Heather to wszystko wydawało się odległe, jak gdyby oglądała film, w którym dźwięk jest opóźniony o kilka sekund. Teraz nie była wstanie spuścić wzroku – wpatrywała się w deskę, te kilka centymetrów drewna, rozciągniętą piętnaście metrów nad ziemią. Skok był tradycją, skakało się bardziej dla zabawy niż dla czegokolwiek innego. Tam chodziło o kontakt zwodą, tutaj groził kontakt z twardą ziemią. Bez szans na przeżycie.

Na moment coś się zacięło, silnik ciężarówki zgasł iwszystko spowiła ciemność. Rozległy się krzyki protestu. Kiedy kilka chwil później silnik znów odpalono, Heather zobaczyła Matta – stał w świetle reflektorów, roześmiany, itrzymał rękę w tylnej kieszeni dżinsów Delaney.

Żołądek Heather zwinął się w supeł. O dziwo, to ten fakt – sposób, w jaki trzymał rękę przy jej pośladku – bardziej niż sam ten widok sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Jej nigdy tak nie dotykał, twierdził nawet, że pary, które stały w ten sposób, ręka przy pośladku, powinno się odstrzeliwać.

Może była dla niego za mało atrakcyjna. Może wprawiała go w zakłopotanie.
Może wtedy po prostu kłamał, żeby nie było jej przykro.
A może nigdy go nie znała.

Ta myśl ją przeraziła. Jeśli nie znała Matta Hepleya – chłopaka, który kiedyś bił jej brawo, gdy wybekała cały alfabet, który kiedyś zauważył, że ma na białych szortach małą plamkę krwi od okresu, nie robił z tego afery iudawał, że go to nie brzydzi – to wtakim razie nie mogła liczyć, że zna kogokolwiek z tych ludzi albo wie, do czego są zdolni.

W pewnym momencie dotarło do niej, że śmiechy i rozmowy nagle ustały, jakby wszyscy naraz wzięli oddech. Iuświadomiła sobie, że wysoko ponad ich głowami Kim Hollister wchodzi powoli na deskę, blada jak ściana iprzerażona – konkurencja właśnie się zaczęła.

Kim zajęło czterdzieści siedem sekund powolne przejście na drugą stronę – przesuwała ostrożnie stopy, prawa zawsze przed lewą, nie odrywając ich od deski. Gdy dotarła do drugiej wieży, objęła ją rękami, a z piersi wszystkich wydobyło się westchnienie ulgi.

Potem przyszła kolej na Feliksa Harte’a. Przeszedł jeszcze szybciej, lekkim, zwinnym krokiem, jak cyrkowcy chodzący na linie. Następny był Merl Tracey. Jeszcze zanim dotarł do drugiej wieży, Diggin podniósł megafon iogłosił kolejne nazwisko.

– Heather Nill! Heather Nill proszona na scenę!
– Powodzenia– rzekła Natalie. – Tylko nie patrz wdół.

– Dzięki – odpowiedziała Heather odruchowo, chociaż zaraz dotarło do niej, jak absurdalna była ta rada. Jeśli człowiek znajduje się piętnaście metrów nad ziemią, to gdzie ma patrzeć, jak nie w dół?

Miała wrażenie, że porusza się w całkowitej ciszy, ale wiedziała, że to mało prawdopodobne, bo Diggin nie potrafiłby się przymknąć, choćby nie wiem co. Wydawało jej się tak, bo była przerażona. Była przerażona, ale wciąż jak głupia myślała o Matcie izastanawiała się, czy obserwuje ją teraz, trzymając rękę na tyłku Delaney.

Gdy zaczęła się wspinać po drabinie, która biegła wzdłuż wschodniej wieży, a jej palce drętwiały od zimna idotykania śliskiego metalu, dotarło do niej, że teraz Matt gapi się na jej tyłek, a dotyka tyłka Delaney, a to już było naprawdę porąbane.

Zaraz potem zdała sobie sprawę, że przecież teraz każdy gapi się na jej tyłek, i przez chwilę zastanawiała się spanikowana, czy linia majtek nie przebija przez jej dżinsy, bo nie cierpiała stringów i nie była w stanie zrozumieć noszących je dziewczyn.

Była już w połowie drabiny, gdy uświadomiła sobie, że skoro tak bardzo stresuje się tym, czy przebijają jej majtki, to znaczy, że wcale aż tak bardzo nie boi się wysokości. I po raz pierwszy poczuła się pewniej.

Ale problemem by ł deszcz. Szczeble drabiny stały się śliskie, poza tym niewiele widziała, a podeszwy jej trampek straciły przyczepność. Kiedy wreszcie dotarła do metalowej platformy, która biegła wokół zbiornika, ipodciągnęła się na nogi, strach powrócił. Tutaj nie było już czego się trzymać – za sobą miała gładki, mokry metal, awokół bezmiar przestrzeni. Tylko kilka centymetrów dzieliło życie od śmierci.

Dreszcz przeszedł ją od stóp do głów i przez chwilę zaczęła się bać nie tego, że spadnie, ale tego, że sama skoczy wciemną otchłań.

Przesunęła się bokiem w stronę drewnianej deski, przyciskając plecy do zbiornika i modląc się, by z dołu nikt nie zauważył, jak bardzo jest przerażona.
Krzyk, moment zawahania – to wszystko liczyłoby się na jej niekorzyść.
– Czas start!– ryknął z dołu Diggin. Heather wiedziała, że musi się ruszyć, jeśli chce pozostać w grze.

Zmusiła się, by oderwać plecy od zbiornika, i powoli weszła na drewnianą deskę, która była przytwierdzona do platformy zaledwie kilkoma śrubkami. Nagle wyobraziła sobie, jak drewno pęka pod jej ciężarem, a ona leci wdół. Ale deska wytrzymała.

Odruchowo wyciągnęła ręce na boki dla zachowania równowagi. Nie myślała dłużej o gapiących się na nią Matcie, Delaney i Bishopie ani o niczym innym, tylko o tej przestrzeni, straszliwym mrowieniu w nogach isile, która ciągnęła ją w dół.

Mogłaby iść szybciej, gdyby stawiała kroki normalnie, noga za nogą, ale zbytnio się bała utraty kontaktu z deską. Gdyby uniosła stopę, piętę, palce, straciłaby równowagę, spadła i zginęła. Była świadoma, że na dole panuje głębokie milczenie, cisza tak ciężka, że Heather była w stanie dosłyszeć szum deszczu i swój własny oddech, płytki i przyspieszony.

Z dołu biło oślepiające światło – pewnie takie właśnie widzi człowiek tuż przed śmiercią. Wszyscy na dole wtopili się w ciemność i przez chwilę Heather zaczęła się bać, że rzeczywiście zginęła: oto była sama na małej, odsłoniętej powierzchni grożącej upadkiem w mrok.

Do przodu, centymetr po centymetrze, tak szybko jak się dało bez odrywania stóp.

Aż nagle było po wszystkim – doszła do drugiej wieży izłapała się na tym, że ściska zbiornik tak samo jak Kim, przywiera do niego, nie zważając na przemakanie bluzy. Rozległy się wiwaty, które trwały nawet wtedy, gdy ogłoszono kolejne nazwisko – Ray Hanrahan.

W głowie jej dzwoniło, w ustach czuła smak metalu. Po wszystkim. Było po wszystkim. Jej ręce wydały się nagle bezużyteczne, a osłabione mięśnie odmawiały posłuszeństwa, gdy niezdarnie schodziła po drabinie. Skoczyła z wysokości kilkudziesięciu centymetrów izachwiała się, ale po dwóch krokach odzyskała równowagę. Ludzie wyciągali do niej ręce, ściskali ramiona, klepali po plecach. Nie wiedziała, czy się uśmiecha, czy nie.

– Byłaś niesamowita! – Nat przedarła się przez tłum irzuciła jej na szyję. Heather ledwo zarejestrowała ten dotyk. – To rzeczywiście takie straszne? Bałaś się?

Heather pokręciła głową, świadoma, że ludzie na nią patrzą.
– Szybko poszło – powiedziała.

Gdy tylko te słowa wydobyły się z jej ust, poczuła się lepiej. Było po wszystkim. Stała w tłumie, powietrze pachniało wilgotną wełną i dymem papierosowym.

Materialnie. Prawdziwie.

– Czterdzieści dwie sekundy – oznajmiła z dumą Nat. Heather nawet nie słyszała, jak ogłaszano jej czas.

– Gdzie jest Bishop?– zapytała. Teraz dopiero zaczynała się lepiej czuć. Buzujące ciepło przechodziło przez jej ciało. Czterdzieści dwie sekundy. Nieźle.

– Był tuż za mną… – Nat odwróciła się, by poszukać go wtłumie, ale w świetle reflektorów ciężarówki nie było widać twarzy, tylko sam zarys postaci, niczym ciemne pociągnięcia pędzla.

Uradowany tłum znowu zaryczał. Heather podniosła wzrok izobaczyła, że Ray już zdążył przejść. Głos Diggina odbijał się głuchym echem:

– Dwadzieścia dwie sekundy! Dotychczasowy rekord!

Heather poczuła gorycz w ustach. Nienawidziła Raya Hanrahana. Wsiódmej klasie, gdy jeszcze nie miała biustu, przyczepił jej do szafki sportowy stanik i rozpuścił plotkę, że bierze prochy, które mają ją zmienić w faceta. „Rośnie ci już broda?”, rzucał, kiedy mijali się na korytarzu. Dał jej spokój dopiero wtedy, kiedy Bishop zagroził, że powie policji, że jego brat, Luke Hanrahan, handlował trawką w pizzerii, wktórej pracował. Wsuwał torebeczki zmarychą pod kawałek pizzy, jeśli klient poprosił o„dodatkowe oregano”. Co zresztą było prawdą.

Następny miał być Zev Keller. Heather zapomniała otym, że chciała znaleźć Bishopa. Niczym zahipnotyzowana obserwowała, jak Zev wchodzi na deskę. Zbezpiecznego miejsca na ziemi wyglądało to niemal pięknie – delikatna mgiełka deszczu, rozciągnięte ręce Zeva, jego czarna postać na tle chmur. Ray jeszcze nie zszedł. Nie było go widać, pewnie oglądał przejście Zeva zza zbiornika.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Zevem szarpnęło na jedną stronę i stracił równowagę. Z piersi Heather wyrwał się krzyk. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, i wchwili, kiedy ręce Zeva młóciły powietrze, ajego usta wykrzywiły się w krzyku, pomyślała, że nic inikt już nigdy nie będzie taki sam.

A potem, równie niespodziewanie, Zev złapał się d eski. Położył na niej z powrotem lewą stopę ijego ciało przestało się dziko kołysać jak wahadło. Podciągnął się.

Ktoś krzyknął jego imię. A wtedy rozległy się brawa, które przeszły w grzmiące oklaski, gdy ostrożnie pokonał resztę dystansu. Nikt nie usłyszał czasu, jaki

wykrzyknął Diggin. Nikt nie zwracał uwagi na Raya, który zszedł po drabinie.

Gdy Zev stanął na ziemi, rzucił się na Raya. Zev był niższy i szczuplejszy, ale złapał przeciwnika od tyłu, a do tego go zaskoczył. W jednej chwili Ray znalazł się na ziemi, ztwarzą w błocie.

– Ty chory popaprańcu! – krzyknął Zev. – Rzuciłeś we mnie czymś!

Uniósł pięść. Ray wykręcił się i strącił z siebie napastnika.

– Co ty pieprzysz, stary!?– Podniósł się chwiejnie na nogi, na jego twarz padał blask reflektora. Musiał sobie rozciąć wargę o kamień. Krwawił. Wyglądał koszmarnie.

Zev też się podniósł. Miał w oczach coś dzikiego – były czarne, błyszczące i pełne nienawiści. Tłum zamarł w milczeniu iHeather znowu miała wrażenie, że słyszy, jak deszcz rozpada się na setki tysięcy kropel naraz. Wszystkie wisiały w powietrzu ilada chwila miały upaść.

– Łżesz jak pies – prychnął Zev. – Uderzyłeś mnie wpierś, chciałeś mnie strącić.
– Chyba oszalałeś! – powiedział Ray i się odwrócił.

Zev znów na niego natarł. Raz jeszcze wylądowali na ziemi inagle cały tłum zaczął przeć do przodu, wszyscy krzyczeli, niektórzy przepychali się, żeby lepiej widzieć, kilka osób skoczyło, żeby rozdzielić walczących. Na Heather nacierano ze wszystkich stron. Poczuła czyjąś rękę na plecach i omało się nie przewróciła. Odruchowo sięgnęła po dłoń Nat.

– Heather! – Twarz Nat była biała, przerażona. Rozdzielono je, aNat upadła i zniknęła w kłębowisku ciał.

– Nat! – Heather łokciami torowała sobie drogę, ciesząc się teraz, że jest taka wysoka. Nat starała się podnieść igdy Heather wyciągnęła do niej rękę, jęknęła z bólu.

– Moja kostka! – krzyknęła w panice, łapiąc się za nogę. – Ktoś nadepnął mi na kostkę!

Heather już miała podnieść przyjaciółkę, kiedy znowu poczuła czyjąś rękę na plecach – uderzenie było na tyle mocne, że nie można było tego uznać za przypadek. Próbowała się odwrócić, by zobaczyć, kto ją popchnął, ale wylądowała na ziemi, z twarzą w błocie. Ochlapywały ją dziesiątki stóp ludzi biegających

wokół. Przez chwilę zastanawiała się, czy ten kotłujący się i napierający tłum nie jest częścią gry.

Wreszcie poczuła, że wokół nieco się rozluźniło.
– Chodź. – Udało jej się podnieść i chwyciła Nat pod ramię.
– To boli– powiedziała Nat, mrugając oczami, by powstrzymać łzy. Ale Heather postawiła ją na nogi.

Nagle z lasu huknął głos, potężny i zniekształcony.
– Nie ruszać się! Wszyscy mają zostać na miejscach! Policja.

Chaos tylko się wzmógł. Strumienie światła omiatały tłum, ukazując pobladłe, osłupiałe twarze. Ludzie zaczęli biegać w kółko i się przepychać, próbując uciec do lasu. Heather doliczyła się czterech policjantów – jeden z nich przygwoździł kogoś do ziemi, ale nie była w stanie dojrzeć kogo. Wustach jej zaschło, w głowie miała mętlik. Jej dresowa bluza była cała ubłocona i ogarnął ją nieprzyjemny chłód.
Bishop zniknął. A on miał samochód.

Samochód. Musiały się stąd wydostać albo ukryć.

Trzymała rękę na ramieniu Nat i starała się kierować ją naprzód, ale przyjaciółka się potknęła. Jej oczy zaszły łzami.

– Nie dam rady – jęknęła.

– Musisz. – Heather ogarnęła rozpacz. Gdzie, do cholery,jest Bishop? Nachyliła się, by złapać przyjaciółkę w pasie. – Oprzyj się o mnie.

– Nie dam rady – powtórzyła Nat. – Boli jak cholera.

Wtedy jak spod ziemi wyrósł obok nich Dodge Mason. Bez słowa również złapał Nat w pasie, tak że miała oparcie z obu stron. Natalie wyrwał się z piersi okrzyk zaskoczenia, ale się nie sprzeciwiała. Heather miała ochotę uściskać chłopaka.

– Idziemy – rzucił.

Wreszcie dokuśtykali do lasu. Szli tak szybko, jak to było możliwe, byle dalej od grzmiącego megafonu, krzyków i świateł. Było ciemno. Dodge trzymał przed sobą komórkę, która rzucała słabe niebieskie światło na rozmokłe liście pod ich stopami, wilgotne paprocie irozłożyste, omszałe drzewa.

– Dokąd idziemy? – zapytała szeptem Heather. Serce waliło jej jak młotem. Nat nie

była w stanie stanąć na lewej nodze, więc z każdym krokiem przerzucała ciężar ciała na Heather.

– Musimy przeczekać, aż wyniosą się gliny – odpowiedział Dodge. Był trochę zdyszany.

Jakieś sto–dwieście metrów za wieżami ciśnień zna jdowała się, ukryta między drzewami, mała pompownia. Kiedy przystanęli, Heather usłyszała szum pracujących maszyn. Dodge popchnął drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

W środku unosił się zapach pleśni i metalu. Większość przestrzeni zajmowały dwa duże zbiorniki i zardzewiałe pompy. Pomieszczenie było wypełnione ciągłym mechanicznym grzechotem przypominającym cykanie tysięcy świerszczy. Był na tyle głośny, że zagłuszał krzyki z polany.

– Jezu. – Nat westchnęła ciężko i ostrożnie usiadła na ziemi, wyciągając lewą nogę przed siebie, z grymasem na twarzy. – Jak to boli.

– Pewnie zwichnięta – stwierdził Dodge. On również usiadł, ale nieco dalej.

– Przysięgam, czułam, jak coś chrupnęło. – Nat nachyliła się i zaczęła obmacywać skórę wokół kostki. Ostro wciągnęła powietrze do płuc.

– Nie dotykaj, Nat – powiedziała Heather. – Obłożymy ją lodem, jak tylko będzie można.

Było jej zimno i nagle ogarnęło ją potworne zmęczenie. Podniecenie, jakie czuła po wykonaniu zadania, wyparowało. Była przemoknięta i głodna, a ostatnią rzeczą, której marzyła, było siedzenie w tej głupiej pompowni przez pół nocy. Wyciągnęła telefon i napisała SMS–a do Bishopa: Gdzie jesteś?.

– Skąd wiedziałeś o tym miejscu? – spytała Nat Dodge’a.
– Znalazłem je kiedyś przypadkiem, włócząc się po okolicy– odparł. – Mogę zapalić?
– Lepiej nie – warknęła Heather.

Dodge wzruszył ramionami i wsunął papierosy do kieszeni kurtki. Jego telefon leżał na podłodze i rzucał na chłopaka niebieski blask.

– Dzięki – odezwała się Nat. – Za to, że mi pomogłeś. To było naprawdę… To znaczy, wcale nie musiałeś.
– Nie ma sprawy – odpowiedział Dodge.

Heather nie była w stanie dojrzeć jego twarzy, ale było coś dziwnego w jego głosie, jak gdyby się dławił.

– To znaczy… nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy…
– Nat urwała, bo chyba do niej dotarło, że to mogło zabrzmieć nieuprzejmie.

Na chwilę zapadła cisza. Heather wysłała kolejnego SMS–a do Bishopa: Ej, co się dzieje?.
Wtedy odezwał się Dodge:

– Już kiedyś rozmawialiśmy. Raz. Na ognisku. Nazwałaś mnie wtedy Dave'em.
– Poważnie? – Nat zachichotała nerwowo. – Ale wstyd. Pewnie byłam pijana. Pamiętasz, Heather? Wypiłyśmy wtedy parę tych wstrętnych drinków.

– Mhm– mruknęła Heather.

Wciąż stała oparta o drzwi. Deszcz bębnił w dach coraz mocniej. Nasłuchiwała krzyków. Nie mogła uwierzyć, że Bishop wciąż jej nie odpowiedział. Zawsze odpisywał od razu.

– Zresztą jestem idiotką – ciągnęła Nat. – Każdy ci to powie. Ale nie mogłabym zapomnieć takiego imienia jak Dodge, co nie? Sama chciałabym mieć takie fajne imię.

– Mnie się twoje imię podoba – odrzekł cicho.

Heather aż się wzdrygnęła. Słyszała w głosie Dodge'a znajomą nutę – tęsknotę, pustkę – iwiedziała już, że Dodge kocha się w Natalie.

Na chwilę zalała ją fala ślepej nienawiści. No jasne. Jasne, że Dodge kocha się w Nat. Była drobna, śliczna isłodka, jak szczeniaczek. Jak Avery.

To skojarzenie pojawiło się niespodziewanie i szybko je od siebie odpędziła. Miała gdzieś Avery, podobnie jak to, czy Dodge bujał się w Nat. To nie jej sprawa.

Ale mimo to jedna myśl pulsowała jej pod czaszką, jak uporczywe bębnienie deszczu – że nikt nigdy jej nie pokocha.

– Jak myślisz, długo powinniśmy tak czekać? – spytała Nat.
– Pewnie jeszcze trochę – odpowiedział.

Siedzieli w ciszy przez kilka minut. Heather wiedziała, że powinna jakoś zagadać,

ale nie miała siły.

– Szkoda, że jest tak ciemno– odezwała się Nat, wiercąc się niespokojnie. Heather wyczuła w jej głosie zniecierpliwienie.

Dodge się podniósł.
– Zaczekajcie – rzucił i wymknął się na zewnątrz.

Przez chwilę panowała cisza, nie licząc metalicznych trzasków w rurach ibębnienia deszczu o dach.
– Wyjadę do Los Angeles – odezwała się nagle Nat. – Jeśli wygram.

Heather odwróciła się do niej. Nat przybrała wyz ywającą pozę, jak gdyby się spodziewała, że Heather zacznie się z niej nabijać.

– Po co?– zapytała.

– Żeby poznać surferów – odparła Nat, po czym przewróciła oczami. – Do Hollywood, ptasi móżdżku. A niby po co?

Heather podeszła do niej i przykucnęła. Nat zawsze powtarzała, że chce być aktorką, ale ona nigdy nie brała jej słów na serio, nie sądziła, że Nat rzeczywiście jest gotowa to zrobić, a już na pewno nigdy nie pomyślałaby, że w tym celu mogłaby zagrać w Panikę.
Szturchnęła przyjaciółkę łokciem.

– Obiecaj mi, że kiedy już będziesz bogata i sławna, nie zapomnisz optasim móżdżku ze szkolnych lat.
– Obiecuję – rzekła Nat. W powietrzu czuć było węglem. – A ty? Co zrobisz, jak wygrasz?

Heather pokręciła głową. Chciała powiedzieć, że p obiegnie aż do utraty tchu. Aż tysiące kilometrów będą dzielić ją od Carp. Zostawi za sobą starą Heather, spali ją na popiół. Ale nic nie powiedziała, tylko wzruszyła ramionami.

– Pewnie gdzieś wyjadę. Sześćdziesiąt siedem kafli wystarczy na mnóstwo benzyny.
Nat pokręciła głową.
– Daj spokój, Heather – powiedziała cicho. – Dlaczego *naprawdę* wzięłaś udział w grze?

Nagle Heather pomyślała o Matcie, o tym, jak już miała mu powiedzieć, że go kocha, i poczuła, że zaraz się rozpłacze. Ale stłumiła łzy.

– Wiedziałaś? – spytała wreszcie. – To znaczy o Matcie i Delaney?
– Słyszałam plotki – rzekła ostrożnie Nat. – Ale im nie wierzyłam.

– Podobno ona… z nim… – Heather nie była w stanie wypowiedzieć tych słów. Wiedziała, że sama nie jest taka wyluzowana wtych sprawach, zwłaszcza w porównaniu zNat. Był to dla niej jednocześnie powód do dumy iwstydu, po prostu nie rozumiała, co takiego ludzie widzą w chodzeniu z kimś do łóżka. – W pieprzonym ogrodzie botanicznym.

– To dziwka – skomentowała Nat rzeczowo. – Założę się, że zaraziła go opryszczką. Albo czymś gorszym.
– Gorszym niż opryszczka? – spytała Heather zpowątpiewaniem.
– Syfilisem. Zamienia człowieka w czubka. Robi dziury wmózgu, jak w serze szwajcarskim.
Heather czasem zapominała, że Nat zawsze jest wstanie ją rozśmieszyć.

– Oby nie. – Udało jej się uśmiechnąć. – Itak nie był zbyt bystry. Ztak małego mózgu trudno jeszcze coś usunąć.

– Chciałaś powiedzieć: oby tak.– Nat udała, że wznosi toast. – Za syfilis Delaney.
– Jesteś stuknięta – stwierdziła Heather, ale teraz już śmiała się na całe gardło.
Nat tego nie skomentowała.
– Oby zmienił mózg Matta Hepleya w przepyszny, mazisty ser.

– Amen – powiedziała Heather iuniosła rękę.
– Amen.– Udały, że stukają się kieliszkami. Heather znowu wstała i podeszła do drzwi. Dodge

jeszcze nie wrócił. Zastanawiała się, gdzie przepadł na tak długo.
– Myślisz… – Wzięła głęboki oddech. – Myślisz, że ktoś mnie kiedyś pokocha?

– Ja cię kocham – odparła Nat. – Bishop cię kocha. Twoja mama cię kocha. – Heather skrzywiła się, ale Nat dodała:

– Naprawdę, Heather, na swój sposób cię kocha. I Lily też cię kocha.

– Wy się nie liczycie – stwierdziła Heather. A potem, uświadomiwszy sobie, jak to zabrzmiało, zachichotała. – Ej, nie bierz tego do siebie.

– Nie, no co ty – rzekła Nat.
Po chwili milczenia Heather powiedziała:

– Ja też cię kocham, wiesz o tym. Chyba bym zwariowała bez ciebie. Poważnie. Zapięliby mnie w kaftan bezpieczeństwa i nie wiem, pewnie rysowałabym teraz ufoludki wpurée ziemniaczanym.

– Wiem– odparła Nat.

Heather poczuła, jakby ta chwila była ukoronowaniem całej ich przyjaźni, wszystkich tych lat spędzonych razem. Wróciły wspomnienia, jak ćwiczyły całowanie na poduszkach sofy w domu Nat. Ipierwszy raz, gdy zapaliły papierosa iHeather zwymiotowała. Wszystkie sekretne liściki w klasie, palce poruszające się pod biurkiem i za zasłoną podręczników. To wszystko było jej, jej i Nat, te wszystkie lata osadzone w nich jak w tych rosyjskich laleczkach, które w środku kryją mniejsze wersje siebie.

Heather odwróciła się do Natalie, nagle z trudem łapiąc oddech.

– Podzielimy się forsą – wyrzuciła z siebie.
– Co?– Nat zamrugała oczami.

– Jeśli któraś z nas wygra, podzielimy się forsą. – Heather uświadomiła sobie zaraz, jak tylko to powiedziała, że to właściwa decyzja. – Pół na pół. Za trzydzieści patyków wciąż można kupić całkiem dużo benzyny.

Przez chwilę Nat gapiła się na nią w milczeniu. Apotem powiedziała:
– Okej. Pół na pół. – Iroześmiała się. – Powinnyśmy sobie uścisnąć ręce? Albo zahaczyć małymi paluszkami?

– Ufam ci – rzekła Heather.
Wreszcie wrócił Dodge i oznajmił:
– Jest czysto.

Nat szła pośrodku wsparta na Heather i Dodge'u irazem wrócili pod wieże ciśnień, na polanę, która jeszcze niedawno była pełna ludzi. Teraz świadczyły o tym jedynie pozostawione śmieci: papierosowe niedopałki, zgniecione puszki po piwie, ręczniki, kilka parasoli. Ciężarówka wciąż stała zaparkowana w błocie, ale silnik był wyłączony. Pewnie policja później wróci, żeby ją odholować. Panująca tu cisza była dziwna, a cała sceneria wywoływała ciarki na plecach. Heather wyobraziła sobie, że wszyscy zostali wessani gdzieś w pustkę.

Dodge nagle krzyknął:
– Zaczekajcie tu chwilę! – Izostawił Nat opartą o Heather.

Odbiegł kilkanaście kroków i podniósł coś z ziemi – lodówkę turystyczną. Gdy nakierował do środka światło ztelefonu, Heather zobaczyła, że w środku wciąż są lód i piwo.

– Mamy szczęście – powiedział Dodge. Uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

Wziął lodówkę ze sobą i gdy wreszcie dotarli do drogi, zrobił prowizoryczny okład z lodu na kostkę Nat. Wśrodku były trzy piwa, po jednym dla każdego, i wypili je razem na poboczu, czekając w deszczu na autobus. Nat dostała głupawki już po kilku łykach i razem zDodge'em zaczęli żartować o zapaleniu papierosa, by przywołać wten sposób autobus. Heather wiedziała, że powinna być szczęśliwa.

Jednak gdy dzwoniła do Bishopa, wciąż odzywała się poczta głosowa. Matt i Delaney pewnie siedzieli teraz razem w przytulnym, ciepłym i suchym miejscu. A ona ciągle miała w pamięci to balansowanie wysoko w powietrzu na mizernym kawałku drewna i mrowienie w podeszwach stóp, każące jej skoczyć.

NIEDZIELA, 26 CZERWCA

DODGE

Dodge'owi nigdy nie udawało się przespać więcej niż dwie–trzy godziny zrzędu. Nie przyznawał się do tego przed nikim, ale często miał koszmary. Śniła mu się wtedy długa, biała droga, która urywała się nagle, a on spadał. Aczasami, że przetrzymują go w wilgotnej, ciasnej iciemnej piwnicy pełnej pająków.

Do tego przy Meth Row po piątej rano, gdy z łoskotem przejechała śmieciarka, nie dało się już spać. Nie dało się też zdrzemnąć w ciągu dnia, kiedy tłumy waliły na lunch do Dot's Diner, a kelnerzy co chwila wychodzili na zewnątrz ze śmieciami i z klekotem przesuwali kontenery pod oknem Dodge'a w stronę Meth Row, skąd potem je zabierano. Czasami, kiedy kuchenne drzwi od knajpy się otwierały, Dodge słyszał głos swojej mamy: „Może dolać ci kawy, skarbie?".

Dzień po konkurencji na wieżach ciśnień Dodge spał jak dziecko, bez snów, przespał nawet całą hałaśliwą porę lunchu iobudził się dopiero po drugiej po południu. Naciągnął na siebie spodnie od dresu, przez chwilę też rozważał, czy wziąć prysznic, ale w końcu zrezygnował.

– Hej– powiedziała Dayna, gdy wszedł do kuchni. Umierał z głodu. I z pragnienia. Jak gdyby Panika wyzwalała w nim apetyt. – Jak poszło?

Siedziała w salonie. Tutaj mogła oglądać telewizję albo patrzeć w okno, które wychodziło na tyły knajpy. We wpadającym przez nie szarym świetle widział unoszące się wpowietrzu drobinki kurzu. Na widok tego małego pokoju
– popękanej szafki pod telewizorem, cienkiego, wytartego dywanu oraz wygniecionej sofy, obitej z niewiadomego powodu dżinsem – Dodge przez chwilę poczuł wzruszenie.

I oczywiście na widok Dayny.

Przez lata podobieństwo między nimi się zatarło, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, kiedy Dayna sporo przybrała na wadze – zaokrągliła się na twarzy, na klatce piersiowej i wramionach. Wciąż jednak było zauważalne, mimo że mieli innych ojców. Karnacja Dayny była dużo jaśniejsza niż jego, ale mieli takie same ciemnobrązowe włosy i szeroko rozstawione piwne oczy, mocno zarysowane podbródki i nosy, które zakrzywiały się minimalnie w lewo.

Dodge otworzył lodówkę. Mama musiała wyjść do knajpy wczoraj wieczorem, wlodówce leżały resztki jakiegoś chińskiego dania na wynos. Otworzył karton ipowąchał. Kurczak z brokułami i smażony ryż zkrewetkami. Ujdzie. Dayna obserwowała, jak wyrzuca wszystko na talerz i bez podgrzewania wmikrofali łapie za widelec izaczyna jeść.

– No i…? – ponagliła go.
Planował zatrzymać wszystko dla siebie, torturować ją

milczeniem, ale teraz poczuł, że nie wytrzyma. Musiał się tym *zkimś* podzielić. Odłożył talerz, wszedł do salonu iusiadł na kanapie, którą on i Dayna ochrzcili mianem Tyłka.

– Był nalot – powiedział. – Przyjechały gliny. Spoglądała na niego uważnie.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Dodge? – zapytała cicho.

– Daj spokój, Dayna. – Był wkurzony, że w ogóle go oto pyta. Położył jej nogi na swoich kolanach. Masaż był jedyną rzeczą, która ratowała mięśnie przed całkowitym zanikiem, więc Dodge nie dawał za wygraną i codziennie masował jej łydki, chociaż od dłuższego czasu powtarzała, że to nie ma sensu. Była już u kilkunastu lekarzy. A na fizjoterapię chodziła od ponad roku.

Nie było jednak żadnych zmian, żadnej poprawy. Nigdy już nie będzie chodzić. Chyba że zdarzy się cud.

Mimo codziennych masaży nogi Dayny były chude – patykowate iblade, jak badylki. Nawet gdy twarz jej się zaokrągliła i ręce nabrały ciała, jej nogi były coraz cieńsze. Dodge starał się nie myśleć o tym, jak często wdzieciństwie te same nogi prowadziły ją podczas biegów, jak podciągały ją na drzewa, gdy urządzali sobie pojedynki wspinaczkowe. Jego siostra zawsze była silna – twarda jak hartowana stal, waleczna iumięśniona. Silniejsza od większości chłopaków i od nich odważniejsza. Przez dużą część życia Dayna była najlepszą przyjaciółką Dodge’a i jego wspólnikiem w zbrodni. Dwa lata od niego starsza, przewodziła każdej intrydze czy zabawie, jaką wymyślali. Kiedy miał pięć lat, puszczali bąki do butelki ipróbowali je sprzedawać. Kiedy miał lat siedem, podczas wakacji eksplorowali okolicę Dawson wMinnesocie, szukając skarbu, i udało im się odkryć zapomnianą szopę pełną samych osobliwości, takich jak stary cylinder, zepsute radio, dwie szprychy izardzewiała rama od roweru. Umieli znaleźć coś ekscytującego w każdej dziurze zabitej dechami, do jakiej przywlekła ich ze sobą mama.

Teraz już nie przeżyją razem żadnej przygody. Dayna nigdy nie będzie się wspinać,

nie wsiądzie na rower ani nie założy się z nim opięć dolców, że go prześcignie. Zawsze już będzie wymagała pomocy przy kąpieli i przy korzystaniu z toalety.

A wszystko przez Luke'a Hanrahana. Majstrował przy jej samochodzie, zepsuł układ kierowniczy przed ostatnią konkurencją, przez co zjechała z drogi. Dodge nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Mama była wczoraj na randce – oznajmiła Dayna, najwyraźniej usiłując zmienić temat.

– I co z tego?– Dodge wciąż był trochę poirytowany. Poza tym gdzie by nie zamieszkali, ich mama zawsze znajdowała sobie jakiegoś fagasa.

Dayna wzruszyła ramionami.
– To chyba dla niej ważne. I nie chciała mi powiedzieć, kto to.

– Pewnie było jej wstyd – stwierdził. Ciszę przerwało dudnienie zza okna: ktoś buszował w śmieciach. Dayna wychyliła się przez okno.

– Cholera– zaklęła.
– Mały Kelly? – zapytał, a Dayna kiwnęła głową.

Mały Bill Kelly miał pewnie z trzydzieści lat i dwa metry wzrostu, ale jego tata, również Bill, obecnie na emeryturze, przez dwadzieścia lat był szefem policji iwszyscy mówili na niego Duży Kelly, więc jego syna dla odmiany ochrzczono Małym. Dużego Kelly'ego Dodge widział tylko raz i tylko przez chwilę, gdy nieostrożnie przejechał rowerem tuż przed jego samochodem. Bill zatrąbił wtedy na Dodge'a i wrzasnął, żeby uważał.

Dodge westchnął, zdjął nogi Dayny ze swoich kolan ipodniósł się z kanapy. Przez okno zobaczył, że Mały Kelly usadowił się na okrągłej metalowej beczce zzużytym tłuszczem i przeszukuje uważnie jeden zkontenerów na tyłach Dot's Diner, tuż obok drzwi kuchennych. Grzebał w śmieciach już trzeci raz w tym miesiącu.

Dodge wyszedł z domu od razu, nawet nie założył koszulki. Przeszedł przez asfaltową uliczkę oddzielającą ich mieszkanie od knajpy – ostrożnie, żeby nie nadepnąć na rozbite szkło. Pomocnicy kuchenni nieraz w czasie zmiany robili sobie przerwy na piwo.

– Hej, stary – odezwał się Dodge głośno, choć przyjaznym tonem, jak gdyby mówił do dziecka.
Mały Kelly wyprostował się jak porażony prądem. Zszedł chwiejnie z metalowej

beczki.

– Ja nic nie robię – powiedział, unikając wzroku Dodge'a. Mały Kelly był postawnym facetem, ale miał twarz przerośniętego dziecka. Kiedyś odnosił sukcesy sportowe, dobrze się też uczył, ale coś mu się poprzestawiało w głowie po pobycie w Afganistanie. Albo w Iraku. Wkażdym razie gdzieś tam. Teraz przez cały dzień jeździł autobusami iczasem zapominał wrócić do domu. Pewnego razu Dodge widział, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na rogu ulicy iwydziera się na całe gardło.

– Szukasz czegoś? – Dodge zauważył, że Mały Kelly usypał przy kontenerze stosik z folii aluminiowej, sprężyn, kapsli od butelek iodłamków stłuczonego talerza.

Mężczyzna spoglądał na niego przez chwilę, ruszając szczęką, jakby próbował przeżuć skórę. A potem nagle przepchnął się obok Dodge'a izniknął za rogiem.

Dodge przykucnął i zaczął zbierać wszystkie śmieci, które tamten wyjął ze śmietnika. Już było gorąco, a uliczka cuchnęła. Właśnie wtedy wyczuł poruszenie za swoimi plecami. Myśląc, że to Mały Kelly, wyprostował się ijeszcze zanim się odwrócił, zaczął mówić:
– Lepiej stąd zmykaj, póki jestem dobry…

Słowa uwięzły mu w gardle. Przed nim stała Natalie Velez, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze. Wyglądała czysto – zpewnością wzięła prysznic – iładnie, a do tego wogóle nie pasowała do tego miejsca.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem.

W pierwszym, instynktownym odruchu chciał ją m inąć, wejść do domu, trzasnąć drzwiami i popełnić samobójstwo. Ale oczywiście nie mógł tego zrobić. Jasna cholera. Nat Velez stała przed nim, a on był półnagi. Inie umył zębów. Ani nie wziął prysznica. I trzymał w ręku folię aluminiową wygrzebaną ze śmietnika.

– Ja tylko sprzątałem po… – Urwał bezradnie.

Oczy Nat powędrowały do jego nagiej piersi, a potem do włosów, które najpewniej sterczały teraz na wszystkie strony.

– Omój Boże. – Jej twarz zaczęła czerwienieć. – Powinnam była zadzwonić. Przepraszam. Pewnie dopiero wstałeś, tak?

– Nie, nie. Wcale nie. Ja tylko… – Dodge starał się mówić na lekkim przydechu, na

wypadek gdyby śmierdziało mu z ust. – Posłuchaj, daj mi minutę, okej? Zaczekasz tutaj?

– Oczywiście. – Nat była jeszcze bardziej urocza, gdy się rumieniła. Wyglądała jak polukrowane na różowo ciasteczko.
– Minutę, dobra? – powtórzył Dodge.

W środku wziął głęboki oddech. Jasna cholera. Nat Velez. Nie miał nawet czasu, by się martwić, że widziała jego dom, tę beznadziejną klitkę, że minęła po drodze cuchnące beczki z zużytym tłuszczem, że przeszła w tych swoich delikatnych sandałkach obok rozmokłych kawałków przywiędłego szpinaku, obok kontenerów na śmieci i ich smrodu.

W łazience umył zęby i wypłukał usta płynem odświeżającym. Powąchał się pod pachami – nie było tak źle
– ina wszelki wypadek użył antyperspirantu. Przeczesał mokrymi palcami włosy i włożył czysty biały podkoszulek odsłaniający fragment tatuażu, który pokrywał większość jego klatki piersiowej, prawy bark iprzedramię. Gdy spojrzał znowu w lustro, jego włosy już sterczały zpowrotem. Wcisnął więc na głowę bejsbolówkę.

Jest dobrze. A przynajmniej przyzwoicie. Użył męskiego dezodorantu, który jego mama dostała gratis wWalmarcie. Czuł się przy tym jak palant, ale stwierdził, że lepiej tak, niż śmierdzieć jak żul.

Na zewnątrz Nat dzielnie udawała, że nie zauważa, iż Dodge mieszka wrozpadającym się budynku na tyłach taniej knajpy.

– Hej. – Uśmiechnęła się znowu promiennie, a on poczuł, jak skręca go w żołądku. Miał nadzieję, że Dayna nie obserwuje ich przez okno. – Przepraszam za najście.
– Nie ma sprawy.

– Chciałam zadzwonić – wyjaśniła. – Wysłałam Heather SMS–a zprośbą o twój numer. Przepraszam. Apotem stwierdziłam, że lepiej będzie, jak wpadnę.

– Spoko, nic się nie stało. – Dodge czuł, że jego głos brzmi bardziej oschle, niż zamierzał. Cholera. Już wszystko psuł. Odkaszlnął i skrzyżował ręce na piersi, by wydać się bardziej swobodnym. A tak naprawdę nagle zaczęło mu się wydawać, że jego ręce to przytwierdzone do barków kawałki mięsa, z którymi nie wiadomo, co zrobić.

– Jak tam twoja kostka?– Bandaż elastyczny mocno ściśnięty nad jej stopą śmiesznie odcinał się od gołych nóg.

– Zwichnięta. – Nat skrzywiła się. – Przeżyję, ale… – Przez jej twarz przebiegł grymas bólu. – Posłuchaj, Dodge, czy możemy gdzieś pójść? Żeby pogadać?

Nie było mowy, żeby zaprosił ją do środka. Po jego trupie. Nie chciał, by Nat gapiła się na Daynę albo jeszcze gorzej, by siliła się na uprzejmość.

– Czym przyjechałaś? – spytał z nadzieją, że może ma samochód.

Nat znowu oblała się rumieńcem.
– Tata mnie podrzucił – odparła.

Nie pytał, jak zdobyła jego adres. Jak wszystko wCarp, była to kwestia zasięgnięcia języka. Problemem było, gdzie ją teraz zabrać. Nie mógł pójść z nią do knajpy. Jego mama miała właśnie zmianę. Czyli zostawała tylko ulica.

Nat szła powoli, wciąż kulejąc, choć wydawało się, że ból doskwiera jej mniej niż wczoraj wieczorem. Ale usiadła przy pierwszej okazji na zardzewiałym zderzaku porzuconego buicka bez kół. Samochód miał wybite wszystkie szyby, siedzenia upstrzone ptasimi odchodami, a obicie potargane przez gryzonie.

– Jeszcze raz chciałam ci podziękować – powiedziała.
– Byłeś taki… Byłeś wspaniały. Że mi wczoraj pomogłeś.

Dodge poczuł lekkie rozczarowanie, co często mu się zdarzało w kontaktach zinnymi ludźmi, gdy rzeczywistość rozmijała się z jego oczekiwaniami albo, jak w tym wypadku, zfantazjami. Gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że Nat przyszła, by mu wyznać, że się w nim szaleńczo zakochała. Myślał nawet, że może zupełnie pominie słowa, stanie na palcach, rozchyli usta ipozwoli mu się pocałować. Tyle że ze skręconą kostką pewnie nie dałaby rady stanąć na palcach, co było jednym z dwóch tysięcy trzydziestu siedmiu powodów, dla których jego marzenia nie miały szans się ziścić.

– To nic takiego – rzekł.
Skrzywiła się, jakby przełknęła coś kwaśnego. Przez chwilę nic nie mówiła. A potem wyrzuciła z siebie:
– Słyszałeś, że aresztowano Cory’ego Walsha i Feliksa Harte’a?

Dodge pokręcił głową, więc wyjaśniła:
– Zakłócenie porządku publicznego pod wpływem alkoholu. Iwtargnięcie na teren zamknięty. – Przeniosła ciężar ciała na drugą stronę. – Myślisz, że już po Panice?

– To wykluczone – stwierdził Dodge. – Zresztą gliny są zbyt głupie, żeby nas

powstrzymać.

Kiwnęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.
– Jak myślisz, co będzie dalej?

– Nie mam pojęcia – odparł. Wiedział, że Nat chce od niego jakiejś wskazówki. Przełknął gorycz w ustach. Wyczuła, że ma do niej słabość, i próbowała go wykorzystać.

– Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc – powiedziała nagle, i właśnie to wyznanie, ta jej szczerość sprawiły, że zapragnął jej dalej słuchać.

– Jak?

Skubała rąbek spódnicy. Wyglądała, jakby była zr obiona zfrotte, więc Dodge od razu pomyślał o Nat owiniętej ręcznikiem. Słońce świeciło tak mocno, że poczuł zawroty głowy.

– Zawrzyjmy układ – zaproponowała, podnosząc na niego wzrok. Jej oczy były czarne, słodkie i rozbrajające, jak u szczeniaka.– Jeśli któreś z nas wygra, podzielimy nagrodę po połowie.

Dodge był tak zaskoczony, że przez chwilę nie był wstanie nic odpowiedzieć.

– Dlaczego?– zapytał wreszcie. – Dlaczego ja? Nawet nie… to znaczy, prawie się nie znamy. – Omało mu się nie wyrwało: „A co z Heather?”.

– Po prostu mam przeczucie – odparła, a jego znów urzekła jej szczerość. – Jesteś dobry w tej grze. Znasz się na wielu rzeczach.– Był zdziwiony, że Nat Velez, to wcielenie ideału, posiadaczka pięknych, gęstych włosów iust lśniących od błyszczyku, mówiła tak szczerze na temat, którego większość ludzi starała się unikać. Było to tak nieoczekiwane, jakby przyłapać supermodelkę na puszczeniu bąka. Nat mówiła dalej:

– Możemy sobie nawzajem pomagać. Dzielić się informacjami. Stworzyć drużynę przeciwko innym. W ten sposób mamy większą szansę dostać się do Pojedynku. Awtedy… – Gestem dłoni zachęciła go, by dokończył.

– Wtedy będziemy musieli stanąć do walki twarzą w twarz – dopowiedział.
– Ajeśli jedno zwycięży, zwyciężymy oboje – dodała, uśmiechając się do niego.

Nie m iał zamiaru pozwolić wygrać komukolwiek innemu. Ale też nie dbał o

pieniądze. Miał inny cel. Może to wiedziała, może w jakiś sposób wyczuła.

Powiedział więc:
– Dobra. Jesteśmy partnerami.

– Sprzymierzeńcami – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę, która była miękka i nieco wilgotna. Podniosła się ze śmiechem. – Więc postanowione. – Nie mogła się wspiąć na palce, by go pocałować, więc tylko złapała go za ramiona icmoknęła w szyję, z boku. Zachichotała. – Teraz będę musiała to zrobić z drugiej strony, żeby było po równo.

Wtedy do Dodge'a dotarło, że tego lata zakocha się w niej po uszy.

Nikt nie wiedział, kto wrzucił ten film do internetu. Pojawił się na tylu stronach jednocześnie i rozprzestrzeniał tak szybko, że nie dało się ustalić, skąd się wziął, choć wiele osób podejrzewało Joeya Addisona i Charliego Wonga, tylko dlatego, że obaj byli idiotami, a w dodatku dwa lata wcześniej w tajemnicy nagrali i wrzucili do sieci filmiki z babskiej szatni.

Nie było to nawet specjalnie interesujące – tylko kilka rozedrganych ujęć bijatyki Raya i Zeva, do tego ramiona widzów wchodziły cały czas w kadr. Potem latarki ikrzyki, gdy reflektor zgasł. Następnie kolejne ujęcia: światła omiatające polanę, zniekształcone przez megafon głosy gliniarzy, na nagraniu brzmiące metalicznie iniegroźnie, później jedno zbliżenie na Nat, z szeroko otwartymi ustami, podtrzymywaną z jednej strony przez Heather, a zdrugiej przez Dodge'a. A potem ciemność.

Dodge zapisał kopię tego nagrania u siebie na dysku, by móc zatrzymywać jego końcówkę, na której widać przerażoną Nat wspartą na jego ramieniu.

Zaledwie kilka godzin później internet obiegł e– mail. Temat: brak. Nadawca: sedziowie@panika.com. Wiadomość była krótka. Zaledwie dwie linijki: Długi język, krótkie życie.
Kto puści parę, ten dostanie karę.

WTOREK, 28 CZERWCA

HEATHER

– Jesteś pewna, że to jest legalne? – Bishop siedział za kierownicą, manewrując samochodem po wąskiej idziurawej polnej drodze. Jego włosy były jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle, jak gdyby próbował je ułożyć za pomocą odkurzacza. Miał na sobie starą bluzę swojego taty zczasów studiów, z emblematem Virginia Tech, flanelowe spodnie od piżamy i klapki. Kiedy przyjechał po Heather, oznajmił z niejaką dumą, że jeszcze dziś nie brał prysznica.

– Nie dasz się zaciukać siekierą jakiemuś świrowi, co?

– Zamknij się, Bishop. – Heather szturchnęła go iBishop szarpnął kierownicą, o mało nie wjeżdżając do rowu.

– Onie, tak się nie traktuje swojego szofera – oznajmił, udając obrażonego.

– No dobra. Zatem zamknij się, *szoferze*. – Heather aż bolał brzuch z niepokoju. Drzewa rosły tutaj tak gęsto, że niemal zupełnie zasłaniały słońce.

– Ja się tylko o panią martwię, psze pani – stwierdził Bishop zuśmiechem, ukazując nieco krzywe zęby. – Nie chcę, by z mojej ulubienicy ktoś zrobił abażur.

– Myślałam, że to Avery jest twoją ulubienicą – powiedziała Heather.

Chciała, by zabrzmiało to jak żart, ale w jej głosie słychać było wyrzut. Jak u zgorzkniałej starej panny ze złamanym sercem. Może nie takiej znowu starej, w końcu trudno być starą panną w wieku osiemnastu lat. Ale coś w tym stylu.

– Daj spokój, Heather – odparł Bishop. Tym razem naprawdę wyglądał na dotkniętego. – Zawsze byłaś moją ulubienicą.

Heather trzymała twarz przy szybie. Zaraz pewnie dojadą. Ale teraz czuła się już lepiej. Bishop właśnie tak na nią działał – jak tabletka uspokajająca w ludzkiej postaci.

Dzień po konkurencji na wieżach ciśnień Heather z aspała, obudził ją dopiero SMS z nieznanego numeru: Zrezygnuj zgry albo stanie ci się krzywda. Była tak roztrzęsiona, że przez piętnaście minut szukała kluczyków do samochodu zanim

przypomniała sobie, że powiesiła je na haczyku przy drzwiach, a potem za dwudziestominutowe spóźnienie wyrzucono ją z Walmarta. Nagle znalazła się na parkingu izaczęła płakać. Półtora tygodnia wcześniej miała chłopaka i pracę – niezbyt dobrą, ale jednak pracę. Trochę pieniędzy w kieszeni.

Teraz została bez niczego. Bez chłopaka, bez pracy, bez pieniędzy. A do tego ktoś chciał ją zastraszyć i zmusić, by zrezygnowała z gry.

Wtedy zaatakował ją pies znajwiększym językiem, jaki wżyciu widziała. Może „atak” to nie jest najwłaściwsze słowo, bo pies tylko ją lizał, ale w końcu ona nigdy nie przepadała za zwierzętami, a do tego właściwie wyglądało to jak atak. I jakaś stuknięta staruszka dźwigająca ze sklepu tonę reklamówek zaoferowała jej pracę od ręki, mimo że Heather zwisał gil z nosa imiała na sobie podkoszulek na ramiączkach upaćkany sosem do sałatek, czego nie zauważyła, gdy pędem wybiegała z domu.

Kobieta miała na imię Anne.

– Niesamowite, Muppet zmiejsca cię polubił – rzekła. Muppet to było imię psa z długim językiem. – Zazwyczaj nie przepada za obcymi. Ale ty najwyraźniej masz dar do zwierząt.

Heather się nie odezwała. Wstydziła się do tego przyznać, ale na ogół uważała, że na zwierzęta, tak jak na pryszcze, najlepiej nie zwracać uwagi. Jeśli poświęca się im jej za dużo, obraca się to przeciwko człowiekowi. Raz próbowała trzymać w domu jakieś zwierzątko, anemicznie wyglądającą złotą rybkę, którą nazwała Gwiazdą. Stworzenie zdechło po trzydziestu dwóch godzinach. Ale gdy Anne zaproponowała jej pracę u siebie, polegającą na opiece nad jej zwierzętami i pomaganiu wlżejszych obowiązkach domowych, Heather zgodziła się bez wahania. Staruszka płaciła sto pięćdziesiąt dolarów za tydzień, gotówką do ręki, czyli w przybliżeniu tyle samo, ile Heather zarobiłaby na pół etatu w Walmarcie.

Wreszcie drzewa się rozstąpiły i byli na miejscu. Heather odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, czego się spodziewać – może po tym, co powiedział Bishop, obskurnej stodoły pełnej zardzewiałych narzędzi rolniczych imaczet? Teraz ujrzała jednak rozległy czerwony dom, aprzed nim okrągły podjazd z równo przyciętą trawą. Znajdowała się tu też stodoła, bynajmniej nie obskurna, aobok niej stał rząd pobielanych szop.

Gdy otworzyła drzwi samochodu, przydreptało do niej kilka kogutów, a pies – może psy? – zaczął ujadać. Anne wyszła z domu ijej pomachała.

– Jasna cholera– powiedział Bishop. Najwyraźniej był pod wrażeniem. – Przecież to prawdziwe zoo.

– Awidzisz? Żadnych abażurów z ludzkiej skóry wzasięgu wzroku. – Heather wyszła z samochodu, apotem schyliła się na moment, żeby się pożegnać. – Dzięki, Bishop.

Bishop zasalutował.
– Szanowna pani wyśle SMS–a, kiedy będzie potrzebowała podwózki.
Heather zamknęła drzwi. Anne podeszła do niej.
– To twój chłopak? – spytała, osłaniając ręką oczy przed słońcem, gdy Bishop zaczął zawracać.
To pytanie było tak nieoczekiwane, że Heather poczuła, jak rumieniec wypełza na jej policzki.

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko, ustawiając się plecami dosamochodu, jakby Bishop, jeśli wciąż patrzyłby wich stronę, mógł odczytać z jej ruchów czy gestów, oczym rozmawiają.

– Uroczy młody człowiek – stwierdziła Anne.

Pomachała, a Bishop jeszcze zatrąbił przed odjazdem. Heather jeszcze bardziej poczerwieniała izrobiło się jej gorąco. Skrzyżowała ręce, a potem znowu je opuściła. Na szczęście Anne chyba nie zwróciła na to uwagi.

– Cieszę się, że przyjechałaś – uśmiechnęła się, jak gdyby Heather wpadła z wizytą towarzyską. – Chodź, pokażę ci moje gospodarstwo.

He ather była zadowolona, że Anne najwyraźniej uznała za odpowiedni jej strój: czyste dżinsy, trampki ikoszulkę, która niegdyś należała do Bishopa, zanim nie skurczyła się w praniu. Nie chciała wyglądać niechlujnie, ale Anne radziła jej założyć ciuchy, które można zabrudzić, więc Heather wolała nie sprawiać wrażenia, że nie posłuchała.

Ruszyły w stronę domu. Koguty dalej biegały w kółko jak szalone. Po drugiej stronie podwórza Heather dostrzegła zagrodę dla kur, w której kilkanaście kurczaków spacerowało, dziobało i czyściło piórka w słońcu. Psy dalej się awanturowały. Łącznie z Muppetem były trzy – krążyły po małym wybiegu i głośno ujadały.

– Masz dużo zwierząt – stwierdziła Heather i poczuła się jak idiotka. Wetknęła ręce do rękawów.

Ale Anne się roześmiała.
– To okropne, prawda? Po prostu nie potrafię przestać.

– To jest coś jakby farma? – Heather nie widziała tu wprawdzie żadnego sprzętu rolniczego, ale nie znała nikogo, kto by trzymał kurczaki dla zabawy.

Anne znowu się roześmiała.

– Raczej nie. Czasem tylko zbieram jajka. Oprócz tego zbieram ptasie kupy, psie kupy i wogóle kupy wszelkiego rodzaju. – Przytrzymała drzwi wejściowe dla Heather, która w tym momencie pomyślała, że pewnie spędzi całe lato na sprzątaniu zwierzęcych odchodów. – Mój mąż Larry uwielbiał zwierzęta – ciągnęła Anne, idąc za Heather.

Weszły do kuchni, która byłą najpiękniejszą kuchnią, jaką Heather widziała w życiu. Nawet ta u Nat się nie umywała. Ściany były kremowe i żółte, a szafki zrobiono zjasnego drewna, które z czasem wypłowiało od słońca wpadającego przez dwa wielkie okna. Blaty były nieskazitelne. Żadnych mrówek. Na półkach na jednej ścianie stała biało–niebieska ceramika imałe porcelanowe figurki: miniaturowe konie, koty, osiołki i świnki. Heather bała się poruszyć, jak gdyby jeden niewłaściwy krok mógł sprawić, że wszystko roztrzaska się na kawałki.

– Może herbaty? – zapytała Anne.

Heather pokręciła głową. Nie znała nikogo, kto by pił herbatę w prawdziwym życiu, myślała, że robią to tylko Brytyjczycy w serialach telewizyjnych.

Anne nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence.
– Przeprowadziliśmy się tu z Chicago.

– Naprawdę? – wyrwało się Heather. Ona sama najdalej od Carp była w Albany. Raz na szkolnej wycieczce idrugi raz, gdy jej mama miała rozprawę sądową za prowadzenie z zawieszonym prawem jazdy. – Jak tam jest?

– Zimno– odpowiedziała Anne. – Przez dziesięć miesięcy w roku zamarzają człowiekowi jaja. Ale pozostałe dwa to czysta radość.

Heather nie odpowiedziała. Anne nie wyglądała na osobę, która używa takich słów jak „jaja”, i Heather polubiła ją nieco bardziej za tę bezpośredniość.

– Larry ija pracowaliśmy jako przedstawiciele agencji reklamowej. Przyrzekliśmy sobie, że kiedyś coś w naszym życiu zmienimy. – Anne wzruszyła ramionami. – A

potem on zmarł, a ja wreszcie się odważyłam.

Heather znowu nic nie powiedziała. Chciała zapytać, jak zmarł Larry i kiedy, ale nie wiedziała, czy to byłoby na miejscu. Anne mogłaby sobie pomyśleć, że ma obsesję na punkcie śmierci, czy coś takiego.

Kiedy woda się zagotowała, Anne nalała jej do sw ojego kubka iskierowała Heather z powrotem do wyjścia. Zabawnie było tak iść przez podwórko, gdy para unosząca się znad naczynia mieszała się z delikatną mgłą poranka. Heather czuła się tak, jakby była na planie filmu o jakiejś farmie w dalekich stronach.
Psy znowu zaczęły ujadać, gdy wyłoniły się zza rogu.

– Cicho tam! – Anne krzyknęła na nie, choć zupełnie bez złości. Zwierzęta nie posłuchały. Razem z Heather ruszyły więc dalej, a Anne kontynuowała objaśnianie:

– Tutaj trzymam karmę – powiedziała, otwierając jedną z małych, pobielanych szop. – Staram się mieć wszystko tak poukładane, żeby przypadkiem nie rzucić ziarna psom, asuchej karmy kurczakom. Pamiętaj, by wyłączyć światło przed zamknięciem szopy. Wolę nie mówić, jakie płacę rachunki za prąd.

– Tutaj są łopaty i grabie – wyjaśniła przy następnej szopie. – Wiadra, podkowy iwszystko, co się gdzieś poniewierało i nie pasowało nigdzie indziej. Jasne? Nie za szybko?

Heather pokręciła głową, ale dotarło do niej, że Anne na nią nie patrzy, więc odpowiedziała:
– Nie.

Uświadomiła sobie, że właściwie już się nie dene rwuje. Fajnie było czuć słońce na ramionach iwszechobecną woń ciemnej, wilgotnej ziemi. Pewnie składał się na to zapach zwierzęcych odchodów, ale uznała, że nie jest on wcale taki zły – czuć w nim było jakby urodzaj izapowiedź czegoś nowego.

Anne pokazała jej też stajnię, gdzie w półmroku stały spokojnie dwa konie, niczym strażnicy strzegący skarbu. Heather nigdy przedtem nie znajdowała się tak blisko konia. Roześmiała się na głos, gdy Anne dała jej marchewkę ipoleciła nakarmić karą klacz, Lady Belle, a Heather poczuła wtedy na dłoni jej miękki, chropowaty pysk idelikatny nacisk zębów.

– Były końmi wyścigowymi. Oba odniosły kontuzję. Gdybym ich nie przygarnęła, poszłyby do odstrzału – powiedziała Anne po wyjściu ze stajni.

– Do odstrzału? – powtórzyła Heather.
Anne pokiwała głową. Po raz pierwszy wyglądała na zagniewaną.
– To właśnie się z nimi dzieje, gdy już się nie nadają do wyścigów. Właściciele pakują im kulkę w łeb.

Anne ocaliła wszystkie te zwierzęta przed okropnym losem: psy ikonie od śmierci, a kurczaki i koguty od rozmaitych chorób, gdyż nikt nie zamierzał wydawać pieniędzy na ich leczenie. Na farmie były też indyki, które uratowała przed rzezią, koty, które gdyby nie ona, wylądowałyby na ulicy w Hudson, anawet ogromna pękata świnia o imieniu Dzwoneczek, której kiedyś chciano się pozbyć, gdyż była najsłabsza w miocie. Heather nie była wstanie sobie wyobrazić, że to zwierzę kiedykolwiek mogło być chucherkiem.

– Potrzebowała jedynie odrobiny miłości – rzekła Anne, gdy mijały zagrodę, gdzie Dzwoneczek wylegiwała się w błocie. – Ijakieś pół kilo karmy dziennie. – Roześmiała się.

Wreszcie podeszły do otoczonej wysoką siatką z agrody. Słońce wzbiło się już ponad drzewa, a jego promienie załamywały się w podnoszącej się mgle i niemal oślepiały. Zagroda obejmowała teren co najmniej jednego hektara – wwiększości gołą ziemię z nielicznymi kępami wysokiej trawy i kilkoma drzewami. Heather nie dostrzegła żadnych zwierząt.

Po raz pierwsz y tego ranka Anne umilkła. Sączyła herbatę i mrużąc oczy w blasku słońca, wpatrywała się wteren za metalową siatką. Po kilku minutach Heather nie wytrzymała.

– Na co czekamy?
– Ciii – uspokoiła ją Anne. – Obserwuj. Przyjdą.

Heather założyła ręce na piersi, tłumiąc westchnienie. Rosa przesiąkła jej przez trampki. Miała zmarznięte stopy, za to czuła, że z karku spływa jej pot.

Wreszcie dostrzegła poruszenie przy skupisku drzew. Zmrużyła oczy. Duża, ciemna masa, którą wzięła za głaz, poruszyła się. A potem podniosła. Wtedy z cienia wyłonił się inny kształt i dwoje zwierząt zaczęło krążyć wokół siebie, by po chwili ruszyć z gracją w stronę słońca.

Heather zaschło w gardle.
Tygrysy.

Zamrugała oczami. To niemożliwe. Lecz one nie znikały, tylko podchodziły coraz

bliżej: dwa tygrysy, *prawdziwe tygrysy*, jakie można spotkać w cyrku. Ogromne kanciaste łby i wielkie szczęki, muskularne ciała ikocie ruchy, połyskujące w słońcu futro.

Anne gwizdnęła ostro. Heather podskoczyła. Oba t ygrysy skierowały łby w ich stronę i Heather wstrzymała oddech. Ich oczy były pozbawione wyrazu, obojętne i stare
– niemożliwie stare, jakby zamiast patrzeć przed siebie, spoglądały w odległą przeszłość.

Podeszły spokojnie pod siatkę, tak blisko, że Heather cofnęła się szybko, przerażona. Tak blisko, że czuła zapach iciepło ich ciał.

– Skąd…? – udało jej się wreszcie wydusić. To nie było dokładnie to, co chciała powiedzieć, ale musiało wystarczyć. Tysiące myśli kłębiły się teraz w jej głowie.

– Kolejni ocaleni – powiedziała spokojnie Anne. – Kupiono je na czarnym rynku. Apotem, gdy już były za duże, przestano się nimi zajmować. – Mówiąc to, wyciągnęła rękę przez szparę w ogrodzeniu *ipogłaskała* jednego ztygrysów, jakby to był przerośnięty kot domowy. Gdy zobaczyła minę Heather, roześmiała się. – Są miłe, gdy już dostaną jedzenie. Tylko nie próbuj się do nich przytulać, gdy są głodne.

– Ja nie… nie będę musiała wchodzić do środka, prawda?– Heather stała jak wrośnięta w ziemię, zszokowana isparaliżowana strachem. Tygrysy były takie duże, były tak blisko. Jeden znich ziewnął, odsłaniając ostre białe zęby.
– Nie, nie – uspokoiła ją Anne. – Najczęściej po prostu rzucam im jedzenie przez bramę. Tutaj, chodź, pokażę ci.

Anne podprowadziła ją do zamkniętego na kłódkę wejścia do zagrody, która dla Heather nie wyglądała wystarczająco solidnie. Za siatką tygrysy kroczyły ospale, jak gdyby bez celu. Ale Heather wiedziała, że to tylko pozory. Tak właśnie postępowały drapieżniki – przysiadały iczekały, by wzbudzić w ofierze poczucie bezpieczeństwa, a potemrzucały się do ataku.

Chciała, żeby był tu razem z nią Bishop – bo na pewno nie Nat, ona chyba by zwariowała. Nienawidziła wszelkich zwierząt większych od chomika. Nawet pudle ją przerażały.

Kiedy razem ruszyły w stronę domu, odwrócone plecami do zagrody,ścisk w żołądku Heather nieco zelżał, choć wciąż miała wrażenie, że tygrysy ją obserwują, i bała się, że w każdej chwili ich ostre pazury mogą rozszarpać jej plecy.

Anne pokazała jej, gdzie trzyma klucze do wszystkich szop – wisiały na podpisanych hakach w„sieni”, jak nazywała to pomieszczenie. Heather znalazła tu także drugą parę kaloszy, podobnych do tych, jakie nosiła Anne, środek przeciw komarom, nożyce ogrodowe, olejek do opalania imaść cynkową.

Po tym wstępie Heather zabrała się do pracy. Karmiła kurczaki, podczas gdy Anne tłumaczyła jej, jak rozrzucać ziarno, idostała ataku śmiechu na widok ptaków zbitych wgromadę, dziobiących gorączkowo i wyglądających jak jedno wielkie, upierzone, wielogłowe stworzenie.

Anne pokazała jej też, jak zagonić koguty z powrotem do zagrody, zanim wypuści się psy, żeby sobie pobiegały, i Heather zzaskoczeniem stwierdziła, że Muppet chyba ją pamięta, bo okrążył ją kilka razy, jakby się witał ze starym znajomym.

Następnie posprzątała stajnię (tak jak podejrzewała, musiała wyrzucić końskie łajno, ale nie było to takie straszne, jak się obawiała) i wyczyściła koniom sierść specjalnym zgrzebłem. Potem pomagała Anne przycinać glicynię, która rozpanoszyła się w północnej części posesji. Pot lał się z Heather strumieniami mimopodwiniętych rękawów. Słońce przygrzewało mocno, a do tego bolały ją plecy od schylania się i prostowania.

Ale była szczęśliwa, chyba nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Mogła zapomnieć o reszcie świata, o tym, że Matt Hepley ją rzucił, a przede wszystkim otym, że wykonała Skok. O Panice. Była w stanie zapomnieć o Panice.

Nie mogła uwierzyć, gdy kobieta oznajmiła, że jest już prawie pierwsza, co oznaczało koniec pracy. Kiedy czekała na Bishopa, Anne zrobiła jej kanapkę z tuńczykiem i majonezem domowej roboty oraz pomidorami zwłasnego ogródka. Heather była tak brudna, że nie miała śmiałości usiąść przy stole, ale Anne przygotowała dla niej nakrycie, więc siadła. Stwierdziła, że nigdy w życiu nie jadła tak pysznej kanapki.

– Czołem, kowbojko – odezwał się Bishop, gdy wsiadła do samochodu. Wciąż nie przebrał spodni od piżamy. Demonstracyjnie pociągnął nosem. – Co to za zapach?

– Zamknij się – odpowiedziała i wymierzyła mu kuksańca w ramię. Udał, że się krzywi z bólu. Gdy spuściła szybę po swojej stronie, dostrzegła w lusterku bocznym swoje odbicie. Twarz miała czerwoną, włosy w nieładzie, na piersi wielką plamę potu, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że wygląda na swój sposób… ładnie.

– Jak było? – zapytał Bishop, gdy już wyjechali zposesji. Przywiózł jej mrożoną

kawę z 7–Eleven, zdużą ilością cukru i mleka, taką jak lubiła.

Opowiedziała mu o najsłabszej w miocie świni, która urosła do ogromnych rozmiarów, o koniach, kurczakach ikogutach. Tygrysy zostawiła na koniec. Bishop właśnie pił kawę i mało się nie zakrztusił.

– Wiesz, że to absolutnie nielegalne, prawda? Heather przewróciła oczami.

– Tak samo jak spodnie, które masz na sobie. Jeśli ty nie wypaplasz, ja też nie.
– *Te* spodnie?– Bishop udał urażonego. – Włożyłem je specjalnie dla ciebie.

– Jak dla mnie równie dobrze możesz je zdjąć – odgryzła się Heather, po czym poczerwieniała, uświadomiwszy sobie, jak to zabrzmiało.

– Kiedy tylko sobie zażyczysz – powiedział Bishop iuśmiechnął się do niej szeroko. Znów wymierzyła mu kuksańca. Wciąż czuła, jak musuje w niej szczęście.

Dom Anne znajdował się o dwadzieścia minut drogi od centrum Carp, jeśli można było tak nazywać motel, pocztę oraz skupisko obskurnych barów i sklepów, ale Bishop twierdził, że znalazł drogę na skróty. Heather ucichła, gdy skręcili w Coral Lake, choć trudno o mniej trafną nazwę dla tego miejsca niż „koralowe jezioro” – wzasięgu wzroku nie było wody, jedynie powalone pnie i kikuty drzew, który spłonęły w pożarze kilka lat temu. Droga biegła wzdłuż posiadłości Jacka Donahue’a, co nie wróżyło dobrze.

Heather była w Coral Lake zaledwie kilka razy. Narwany Jack słynął z tego, że ciągle chodził pijany, był na wpół obłąkany i miał własny arsenał broni. Jego posiadłość była ogrodzona siatką oraz strzeżona przez psy i kto wie przez co jeszcze. Kiedy ujrzeli ciągnące się wzdłuż drogi ogrodzenie, Heather spodziewała się, że Jack wybiegnie z domu izacznie strzelać do samochodu. Ale tak się nie stało. Jedynie kilka psów podbiegło do siatki, ujadając wściekle. W niczym nie przypominały psów Anne. Były chude, nieprzyjemne iwarczały, obnażając kły.

Już prawie minęli granice posiadłości Narwanego Jacka, kiedy coś przykuło jej wzrok.

– Stój! – krzyknęła. – Zatrzymaj się.
Bishop ostro zahamował.
– Co jest? Jezu Chryste, Heather. O co chodzi?

Ale ona już zdążyła wyskoczyć z samochodu ibiegła wstronę oklapłego stracha na wróble – a przynajmniej *wyglądało* to jak strach na wróble – opartego o ogrodzenie

posesji Donahue’a. Żołądek miała ściśnięty ze strachu itowarzyszyło jej przedziwne uczucie, jakby ktoś ją obserwował. Coś było nie tak z tą lalką. Zbyt prymitywna, zbyt*bezużyteczna*. Po tej stronie Coral Lake nie było żadnych farm, więc po co ktoś miałby tu stawiać stracha na wróble, na dodatek tak żałosnego?

Kiedy była już blisko kukły, przez chwilę się zawahała, jakby się bała, że lalka nagle ożyje i ją ugryzie. A potem uniosła osadzoną na patykowatej szyi głowę, która opadała na pierś.
Na białym płótnie nie było narysowanej twarzy. Zamiast tego ktoś markerem wypisał na niej słowa: PIĄTEK, O PÓŁNOCY.
GRA MUSI TRWAĆ.

PIĄTEK, 1 LIPCA

DODGE
Tłum w piątkową noc był mniejszy. Atmosfera napięta, dziwna. Nerwowa.

Nie było piwa, muzyki ani wybuchów śmiechu. Tylko kilkadziesiąt osób zebranych w ciszy piętnaście metrów od posesji Narwanego Jacka. Ich twarze połyskiwały bielą wświetle samochodowych reflektorów.

Kiedy Bishop wyłączył silnik, Dodge usłyszał rwący oddech Nat. Przez całą drogę próbował ją zabawić, pokazując proste magiczne sztuczki – na przykład sprawiał, że wkieszeni jej kurtki pojawiał się joker albo moneta znikała zjej dłoni.

– Po prostu trzymaj się planu, okej? – powiedział jej teraz. – Trzymaj się planu, a wszystko będzie dobrze.

Nat pokiwała głową, ale wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. Śmiertelnie bała się psów, powiedziała mu to. Aoprócz tego drabin, wysokości, ciemności i uczucia, które ogarnia człowieka w środku nocy, kiedy sprawdza komórkę i okazuje się, że nikt do niego nie napisał. Mógł ztego wywnioskować, że bała się praktycznie wszystkiego. Amimo to zdecydowała się przystąpić do Gry. Przez to lubił ją jeszcze bardziej.

Do tego wybrała jego, Dodge'a, na sojusznika. Bishop milczał. Dodge zastanawiał się, o czym myśli.

Zawsze uważał, że to całkiem miły facet i zpewnością oczytany, ale przypominał mu tępego owczarka, który wszędzie łaził za Heather, ślepo w nią wpatrzony. Teraz jednak zaczynał zmieniać o nim zdanie. Podczas jazdy ich spojrzenia spotkały się na chwilę w lusterku wstecznym iDodge wyczuł we wzroku Bishopa coś w rodzaju ostrzeżenia.

Noc była pogodna i spokojna. Księżyc wisiał wysoko na niebie ijego blask zmieniał wszystko w plamy ikontury. Poza tym było ciemno. Światło latarki błysnęło kilka razy jako niemy sygnał. Heather, Bishop, Nat i Dodge ruszyli wtamtą stronę. Dodge miał ochotę chwycić Nat za rękę, ale ta obejmowała się mocno ramionami.

Przynajmniej miał czas, żeby coś zaplanować, żeby się przygotować. Gdyby Nat nie powiedziała mu o kukle, którą Heather zobaczyła we wtorek, pewnie dowiedziałby

się o najnowszym zadaniu dopiero tego ranka.

Do wszystkich uczestników przyszedł w tym samym czasie e–mail z adresu sedziowie@panika.com:

Miejsce: Coral Lake Road Czas: o północy Cel: zabrać zdomu jakieś trofeum Bonus: znaleźć biurko w pokoju zarsenałem i zabrać to, co jest tam ukryte.

– Okej, zaczynamy – powiedział cicho Diggin, gdy zbliżali się do grupy. Byli spóźnieni. – Uczestnicy, krok naprzód.

Wykonali polecenie, oddzielając się od tych, którzy przyszli tylko popatrzeć. Było mniej graczy, mniej widzów. Po interwencji policji wszyscy zrobili się bardziej strachliwi. A Coral Lake Road miała złą reputację. Do tego istniały powody, by się obawiać – Narwany Jack był świrem, pijakiem i wogóle groźnym facetem.

Dodge wiedział, że nie zawaha się do nich strzelić.

Snop latarki omiótł każdego z graczy. Minuty zdawały się rozciągać w godziny. Odliczanie trwało wieki. Dodge widział Raya Hanrahana żującego głośno gumę i stojącego nieco na zewnątrz kręgu, który utworzyli uczestnicy. Twarz miał skrytą w cieniu. Dodge poczuł znajome uczucie gniewu zaciskające wokół niego swoje macki. Dziwne, że jego siła w ogóle nie malała. Przez ostatnie dwa lata zdawał się tylko pęcznieć w jego żołądku, jak rak.

– Nie ma Walsha – powiedział wreszcie Diggin. – Ani Merla.
– Wobec tego odpadają – odezwał się ktoś z tłumu.

– Jest północ. – Diggin mówił praktycznie szeptem. Wiatr podniósł się w gałęziach, syczał na nich, jakby wiedział, że zamierzają złamać prawo. Ale psy wciąż były spokojne. Spały albo czekały. – Druga konkurencja…

– Druga?– przerwał mu Zev. – A co zwieżami ciśnień?
– Unieważniona – oznajmił Diggin. – Nie każdy miał szansę przejść.

Zev splunął ze złością na ziemię, a Heather wydała zsiebie jęk protestu. Diggin zignorował ich.
– Ruszycie, gdy powiem „start” – rzekł.

Na moment zapadła cisza i wydawało się, że wszystko znieruchomiało. Dodge czuł, jak serce wali mu w piersi. Igdy tak stali pogrążeni w ciemności, czekając na sygnał, przyszło mu do głowy, że pewnie gdzieś tutaj, w tym tłumie, znajdują się

sędziowie, że ukrywają się za znajomymi twarzami ibyć może cała ta sytuacja ich kręci.

– Start– powiedział Diggin.

– Start!– rzucił w tym samym czasie Dodge do Heather iNat. Heather kiwnęła głową i porwała Nat za rękę. Zniknęły razem w ciemności. Nat poruszała się na sztywnych nogach, wciąż lekko utykając, jak uszkodzona lalka.

Dodge, tak jak się umówili, ruszył prosto w stronę siatki, pewnym krokiem, jakby wybadał to miejsce iwiedział, co robi. Jak się spodziewał, kilka osób pobiegło za nim wmilczeniu, zgiętych w pół, niczym pod ostrzałem obserwacji.

Ale nie wszyscy. Kilkoro uczestników podeszło ni epewnie do ogrodzenia, przechadzali się wzdłuż niego, obserwowali, najwyraźniej zbyt przerażeni, by próbować się wspiąć. Choć brak działania groził dyskwalifikacją, tylko patrzyli na ciemny dom i cienie na siatce. Wszystko odbywało się w ciszy, nie licząc okazjonalnych szczęknięć metalu, wymruczanych przekleństw i szumu wiatru.

Dodge dobiegł do ogrodzenia jako jeden z pierwszych. Był świadomy obecności innych graczy – słyszał, jak stękali, oddychali ciężko, czuł, jak ich ciała zderzały się z jego
– ale nie zwracał na nich uwagi, liczyła się tylko druciana siatka wbijająca się w dłonie, jego oddech i sekundy płynące naprzód jak rwąca rzeka.

Najważniejsze było zgranie w czasie. I tak jak wsztuce iluzji: planowanie, dopracowywanie szczegółów, zachowanie spokoju mimo presji. Przewidzenie reakcji drugiej osoby. Tego, jak się zachowa albo co powie, jeszcze zanim to zrobi.

Dodge wiedział, że nie trzeba długo czekać, by Donahue wyszedł przed dom ze strzelbą.

Na szczycie ogrodzenia zatrzymał się, chociaż buz ująca w nim adrenalina popychała go do przodu. Kilka osób
– było za ciemno, żeby dostrzec twarze – zdążyło już skoczyć i wylądować na ziemi, i chociaż poruszały się niemal bezszelestnie, natychmiast rozległo się szczekanie. Cztery psy, nie – pięć psów rzuciło się w ich kierunku, wściekle ujadając. Dodge miał wrażenie, że każda sekunda ma inny smak, inną konsystencję, jakby każda chwila odhaczała się w jego głowie niczym kolejne zadanie z listy. Cyk. Ktoś krzyknął. Odejmą mu za to punkty. Cyk. Zaraz zacznie się strzelanina. Cyk. Heather i Nat już powinny być przy dziurze w siatce.

Cyk.

Skoczył, upadł na ziemię, ale podniósł się natychmiast iwyjął z kieszeni gaz łzawiący. Nie ruszył prosto do drzwi frontowych tylko szerokim łukiem ominął grupkę graczy zaatakowanych przez rozwścieczone psy. Kilka osób już rzuciło się do ucieczki i wspinało na ogrodzenie, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem po bezpiecznej stronie. Ale on szedł dalej.

Cyk.

Pies rzucił się na niego. Dodge go nie zauważył. D opiero gdy bestia zacisnęła szczęki na jego ramieniu, odwrócił się i prysnął jej gazem prosto w pysk. Pies puścił go, skowycząc. Dodge szedł dalej.

Cyk.

W samą porę zapaliło się w domu światło. Rozległ się ryk, który wybijał się ponad cały ten chaos i ujadanie– icoś rozbiło się o ziemię. Czarny kształt wybiegł przez frontowe drzwi. Nawet zodległości stu metrów Dodge był wstanie wyodrębnić pojedyncze przekleństwa z potoku bluzgów.

Przeklętebachorywynochazmojegoterenu…

A potem Jack Donahue – bez koszuli, ubrany jedynie w obwisłe bokserki, znad których wylewał się duży brzuch
– podniósł strzelbę i zaczął strzelać.

Bach, bach, bach. Rozlegały się strzały, głośniejsze iostrzejsze niż Dodge się spodziewał – pierwsza rzecz, która naprawdę go zaskoczyła. Nigdy nikt nie strzelał tak blisko niego.
Na podwórku Narwany Jack dalej wrzeszczał.

Cholerneszczeniakinogiwamzdupypowyrywam… Cyk.

To już nie potrwa długo. Donahue wkrótce wezwie policję. To nieuniknione.

Dodge szybko obiegł dom. Oddech uwiązł mu w gardle, jak gdyby zkażdym wdechem pochłaniał odłamki szkła. Nie wiedział, co się stało z pozostałymi, gdzie jest Ray, czy komuś udało się dostać do środka. Wydawało mu się, że słyszy w ciemności szept – stwierdził, że Heather i Nat zajęły już swoje pozycje zgodnie z planem.

Na tyłach domu znajdowała się na wpół przegniła weranda, zagracona ciemnymi kształtami – Dodge kątem oka zarejestrował lodówkę, gdy ujrzał ledwo wiszące na zawiasach wypaczone drzwi zmoskitierą. Wciąż było słychać strzały. Raz, dwa, trzy, cztery.

Cyk.
Już nie myślał. Pchnął mocno drzwi.
Był w środku.

HEATHER
Gdy Heather iNat dotarły do miejsca, gdzie ogrodzenie odbijało od drogi i skręcało na północ, właśnie zaczęły szczekać psy. Były więc spóźnione. A Dodge na nie liczył.

– Ruszaj się szybciej – rzuciła Heather.
– Staram się. – Wgłosie Nat słychać było wysiłek.

Z podwórza dobiegał hałas – wrzaski bólu i warczenie wściekłego zwierzęcia.
Heather poczuła, jak tętno wali jej w skroniach. Skup się. Skup się. Spokojnie.
Dotarły do fragmentu ogrodzenia, który przygotowali wczoraj. Nikt za nimi nie poszedł. Jest dobrze.

Dodge wyciął w siatce prowizoryczną bramkę. Heather popchnęła ją mocno, a ta otworzyła się z jękiem. Dziura była na tyle duża, że dało się przez nią przecisnąć. Natalie podążyła za nią, ale w pewnym momencie znieruchomiała.

– Utknęłam – szepnęła przerażona.

Heather odwróciła się, zniecierpliwiona. Zobaczyła, że lewy rękaw Nat zahaczył o siatkę. Odczepiła materiał iwarknęła:

– Dawaj, już nic cię nie trzyma. Chodźmy.
Ale Nat nie ruszyła się.

– Nie… nie mogę. – Twarz miała wykrzywioną ze strachu.– Nie jestem…

– Nie jesteś co? – Heather zaczynała się wkurzać na dobre. Dodge może wejść do domu w każdej chwili ioczekuje, że one będą stały na straży. Zawarli pakt. On obiecał im pomóc. Heather nie wiedziała dlaczego, ale miała to gdzieś.

– Nie jestem w stanie. – Głos Nat był piskliwy, histeryczny. Wciąż stała nieruchomo, jakby dosłownie wrosła w ziemię.

Właśnie wtedy Jack Donahue zaczął się wydzierać. Przeklętebachorywynochazmojegoterenu…

– No chodź. – Heather chwyciła Nat za rękę ipociągnęła mocno w stronę domu, nie zważając na jęki przyjaciółki i słowa, które ta mruczała pod nosem. Nat liczyła. Do dziesięciu, a potem od nowa. Heather wbiła jej paznokcie mocniej wramię, niemal chciała jej zrobić krzywdę. Jezu. Czas pędził nieubłaganie, a Nat odstawiała scenę. Heather miała gdzieś jej kostkę i to, że przyjaciółka się trzęsła i tłumiła szloch.

Bach, bach, bach.

Pociągnęła Nat w ciemność akurat w chwili, gdy Donahue wybiegł z domu zuniesioną strzelbą i wypalił. Światło na ganku było ostre, na wpół oślepiające, i w jego blasku Narwany Jack wyglądał jak postać z filmu. Heather miała nogi jak z waty. Nie widziała Dodge'a. Nie była wstanie dostrzec nikogo, tylko kształty, zlewające się w jedno, imały trójkąt światła padający na Donahue'a od tyłu, kręcone włosy na jego ramionach, obwisły brzuch iprzerażającą kolbę jego karabinu.

Gdzie jest Dodge?
Heather ztrudem oddychała. Oparła się o ścianę domu, kołysząc się w przód i wtył, próbując zebrać myśli. Hałas jej przeszkadzał.

Nie wiedziała, czy Dodge dostał się już do wewnątrz. Aco jeśli nie? Co jeśli mu się nie udało?
– Zostań tutaj – szepnęła do Nat. – Wchodzę do środka.
– Nie, proszę. – Nat spojrzała na nią przerażonym wzrokiem. – Nie zostawiaj mnie.
Heather chwyciła ją za ramiona.
– Jeśli nie wrócę dokładnie za minutę, masz pobiec zpowrotem do samochodu. Jasne? Dokładnie za minutę.

Nawet nie była pewna, czy Nat ją zrozumiała i teraz miała to gdzieś. Wyprostowała się. Jej ciało zdawało się ociężałe i niezgrabne. Nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz: strzały ucichły, frontowe drzwi otwarły się izamknęły z trzaskiem. Ktoś wszedł do środka.

Jej ciało momentalnie zlodowaciało. A co jeśli Dodge *już* tam był? Ona, Heather, miała przecież stać na warcie. Miała zagwizdać, jeśli Donahue by się zbliżał.

Ktoś właśnie wszedł do domu. A ona nie zagwizdała.

Już nie myślała. Instynktownie przywarła do ściany, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. W korytarzu unosił się odór niemytego ciała i zwietrzałego piwa,

było ciemno jak wgrobie. Zauważyła wcześniej, że Donahue włączył światło, dlaczego więc teraz je wyłączył? Serce podeszło jej do gardła. Wyciągnęła obie ręce przed siebie, apotem na boki, szła środkiem korytarza, koniuszkami palców muskając delikatnie ściany po obu stronach. Przełknęła ślinę.

Zrobiła kilka kroków i usłyszała szelest, skrzypienie czyichś butów. Zamarła, spodziewając się, że w każdej chwili światło się zapali i że zobaczy lufę strzelby wymierzoną prosto w swoje serce. Ale nic się nie stało. Zaryzykowała i wyszeptała w ciemności:

– Dodge?

Kroki zbliżyły się szybko w jej stronę. Pomacała ścianę i natrafiła na klamkę. Drzwi otworzyły się bez problemu iHeather wymknęła się z korytarza, zamykając za sobą drzwi najciszej jak się dało, wstrzymując przy tym oddech.Ale kroki przeszły dalej. Usłyszała, jak frontowe drzwi otwierają się ze skrzypieniem i zamykają.

To był Donahue? Dodge? Inny zawodnik?

Do środka przez wielkie okno bez zasłon wpadało światło księżyca i Heather nagle jęknęła, aż zakłuło ją wpłucach. Ściany były pokryte metalem, który połyskiwał wmlecznym blasku. Broń. Przytwierdzona do ścian, zwisająca z zawieszonych do góry nogami jelenich kopyt, umieszczona na suficie. Arsenał. Miała wrażenie, że nawet czuć tu trochę prochem, ale może była to tylko jej wyobraźnia.

W pokoju znajdowało się kilka stołów warsztatowych i foteli, zktórych sypało się wypełnienie. Pod oknem stało wielkie biurko. Heather miała wrażenie, jakby w powietrzu nagle zabrakło tlenu. Zaczęło jej brakować tchu i kręcić się wgłowie, bo właśnie przypomniał się jej e–mail, który dostała dziś rano.

Bonus: znaleźć biurko w pokoju zarsenałem i zabrać to, co jest tam ukryte.

Pokonała labirynt rupieci i podeszła do biurka. Przeszukiwanie zaczęła od szuflad po bokach – prawa, a potem lewa. Nic.

Płytka środkowa szuflada była poluzowana, jakby często jej używano. W środku zaś leżał pistolet, wyglądał jak wielki lśniący czarny żuk z chitynowym pancerzem.

Bonus.

Wyciągnęła rękę z wahaniem, a potem szybko chwyciła pistolet, jakby miał ją

ugryźć. Poczuła mdłości. Nienawidziła broni palnej.

– Co ty tu robisz?

Odwróciła się. Widziała w drzwiach sylwetkę Dodge'a, chociaż było zbyt ciemno, by mogła dojrzeć jego twarz.

– Ciii – powiedziała szeptem. – Mów ciszej.

– Co ty tu robisz, do cholery?– Dodge postąpił dwa kroki do przodu.– Miałaś przecież stać na straży.
– Istałam. – Zanim Heather mogła wyjaśnić coś więcej, Dodge jej przerwał.

– Gdzie jest Natalie?
– Na zewnątrz. Wydawało mi się, że słyszałam…

– Próbujecie jakichś sztuczek? – Dodge mówił cicho, ale wjego głosie wyraźnie pobrzmiewał gniew. – Wrabiacie mnie wbrudną robotę, a potem wślizgujecie się do środka i zgarniacie bonus? Żeby mieć przewagę?

Heather wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.
– *Co?*

– Nie rób mnie w balona, Heather. – Dwa kolejne kroki iDodge był tuż przed nią. – Nie ściemniaj.

Z trudem łapała oddech. Łzy napływały jej do oczu. Wiedziała, że powinni się zachowywać ciszej. Dużo ciszej. Wszystko szło nie tak. Broń w jej rękach była straszna, zimna, ale jednocześnie wydawała się żywa, jak jakieś obce stworzenie, które w każdej chwili może zbudzić się zrykiem do życia.

– A ty co tu robisz?– odezwała się wreszcie. – Miałeś znaleźć dla nas dowód i zaraz się wynieść.
– Usłyszałem coś – odparował Dodge. – Myślałem, że to może jakiś inny gracz…
Wtedy zapaliło się światło.

W drzwiach stał Jack Donahue, z błyskiem szaleństwa w oczach ipiersią lśniącą od potu. Zaczął krzyczeć iwywijać lufą skierowaną w ich stronę. Gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, do Heather dotarło, że Dodge właśnie cisnął krzesłem w okno. Chaos, wrzaski, wszystko zlewało się w jedno.

– Uciekaj, uciekaj! – krzyczał Dodge, popychając Heather wstronę okna.

Rzuciła się przez nie, ramieniem do przodu. Usłyszała drugi huk ipoczuła na sobie odłamki miękkiego drewna. Gdy przechodziła przez okno, ból przeszył jej rękę i wilgoć zalała pachę. Dodge podciągnął ją na nogi i po chwili już biegli wstronę ogrodzenia, podczas gdy Jack wciąż krzyczał. Posłał jeszcze dwa strzały w ciemność.

A potem, ledwo dysząc, pokonali siatkę i dobiegli do drogi, zktórej zdążyły już zniknąć niemal wszystkie samochody. Oślepiło ich światło reflektorów. Heather rozpoznała samochód Bishopa. Nagle tuż przed nią zmaterializowała się Nat, oświetlona od tyłu, jak mroczny anioł.

– Nic wam nie jest?– spytała zaniepokojonym głosem.
– Nic wam nie jest?
– Nic nam nie jest– Heather odpowiedziała za nich oboje. – Zmywajmy się stąd.

Chwilę potem siedzieli już w samochodzie podskakującym na polnej drodze. Przez kilka minut jechali wmilczeniu, wsłuchując się w odległy dźwięk policyjnych syren. Heather zaciskała zęby za każdym razem, gdy trafiali wkoleinę. Krwawiła. Odłamek szkła przeciął jej skórę po wewnętrznej stronie ramienia.

Wciąż miała ze sobą broń. Nie wiedziała, w jaki sposób wylądowała u niej na kolanach. Oszołomiona, nie była wstanie oderwać od niej wzroku.

– Jezu Chryste– odezwał się wreszcie Bishop, kiedy ujechali już dobrych kilka kilometrów i wycie syren zginęło w cichym szemraniu wiatru wgałęziach. – Ja pierniczę. To było szaleństwo.

Nagle całe napięcie z nich opadło. Dodge zaczął krzyczeć z radości, Nat się rozpłakała, a Heather opuściła szybę i zaczęła się śmiać jak szalona. Czuła ulgę, wdzięczność, *czuła, że żyje* – siedziała bezpiecznie w samochodzie Bishopa, wktórym pachniało puszkami i starą gumą.

Bishop mówił, że o mało się nie posikał, gdy Narwany Jack wybiegł z domu. Opowiedział im, że Ray wielkim kamieniem uderzył w głowę atakującego go psa, który uciekł ze skowytem, i że połowa zawodników nawet nie pokonała ogrodzenia. Wydawało mu się, że Byron Welcher został pogryziony, ale w tej ciemności, w całym tym zamieszaniu, trudno było stwierdzić cokolwiek na sto procent.

Dodge relacjonował, jak to było znaleźć się twarzą w twarz zDonahue'em. Był przekonany, że Jack rozwali mu czaszkę, ale ten pewnie był pijany, a do tego zamroczony wściekłością. Kiepsko celował.

– Bogu dzięki – dodał Dodge ze śmiechem.

Ukradł z kuchni trzy rzeczy– nóż do smarowania, solniczkę i kieliszek wkształcie kowbojskiego buta – na dowód, że wszyscy byli w środku. Nat dał kieliszek, Heather nóż, a solniczkę zostawił sobie. Kazał Bishopowi zjechać na pobocze i ustawił solniczkę na desce rozdzielczej, żeby zrobić jej zdjęcie.

– Co ty wyprawiasz?– spytała Heather. Jej mózg nadal pracował na zwolnionych obrotach.

Dodge bez słowa podał jej telefon. Zobaczyła, że wysłał zdjęcie na adres sedziowie@panika.com, z tytułem: DOWÓD. Heather przeszły dreszcze. Wolała nie myśleć otajemniczych, niewidzialnych sędziach, którzy ich obserwowali i oceniali.

– A co zbronią? – zapytał Dodge.
– Zbronią? – powtórzyła Nat.

– Heather ją znalazła – wyjaśnił Dodge pozornie obojętnym tonem.

– Dodge ija znaleźliśmy ją w tym samym czasie – sprostowała natychmiast. Sama nie wiedziała dlaczego. Czuła, że Dodge wbija w nią wzrok.

– Więc to wam należy się bonus – zawyrokowała Nat.
– *Ty*zrobisz zdjęcie, Heather – powiedział Dodge. Jego głos był już nieco łagodniejszy. – Ity je wyślesz.

Heather ustawiła kieliszek i pistolet na swoich kolanach, niezdarnie, jedną ręką. Rozbolał ją brzuch. Zastanawiała się, czy pistolet jest naładowany. Pewnie tak. Nie czuła się dobrze, gdy broń palna była choćby w pobliżu. Miała rok, gdy jej tata się zastrzelił – pewnie z pistoletu takiego jak ten. Czuła teraz paranoiczny lęk, że sam wystrzeli, wywołując huk i ból.

Kiedy wy słała zdjęcie, Bishop zapytał:
– Co zrobisz z pistoletem?

– Pewnie go zatrzymam– rzekła, ale nie podobała jej się myśl, że miałaby w domu broń, pewnie naładowaną, gotową do wystrzału, która będzie szczerzyć do niej zęby wtym swoim metalicznym uśmiechu. A jeśli znajdzie ją Lily?

– Nie możesz jej zatrzymać – odparł. – Wkońcu ją *ukradłaś*.

– To niby co mam znią zrobić? – Heather poczuła, jak narasta wniej panika.

Rzeczywiście – przecież włamała się do domu Donahue’a i ukradła stamtąd coś, co było warte kupę forsy. Za takie rzeczy ludzie wędrują za kratki.

Bishop westchnął.
– Dobra, ja wezmę pistolet i się go pozbędę.

Miała ochotę go uściskać. Miała ochotę go ucałować. Podała mu broń. Bishop zatrzasnął ją w schowku na rękawiczki.

Wokół panował spokój. Deska rozdzielcza wyświetlała na zielono godzinę 1:42. Droga była ciemna, nie licząc bladych snopów światła rzucanych przez mijane samochody. Po obu stronach ulicy to samo – domy, przyczepy, całe ulice spowite ciemnością, jak gdyby podróżowali przez niekończący się tunel, jak gdyby wszystko zlewało się w jedno.

Zaczęło padać. Heather oparła głowę o szybę. Wpewnym momencie musiała zasnąć. Śniło jej się, że spada wciemne, śliskie gardło jakiegoś zwierzęcia i że próbuje się wydostać z jego żołądka za pomocą noża do smarowania, który zmienił się w jej dłoniach w pistolet, apotem wypalił.

SOBOTA, 2 LIPCA

Następnego dnia zawiadomienia w tej sprawie były wszędzie: różowe kupony zakładowe oklejały przejścia podziemne, przyklejone były do dystrybutorów paliwa oraz do okien 7–Eleven iDuff's Bar, przyczepiono je także do ogrodzenia, które biegnie wzdłuż szosy numer dwadzieścia dwa.

Cała droga do Fresh Pines Mobile Park była nimi usłana. Wędrowały na podeszwach ubłoconych buciorów iporywały je podwozia przejeżdżających ciężarówek, zanim uniósł je wiatr. Dotarły też do cichej dzielnicy domków jednorodzinnych, gdzie mieszkała Nat. Pojawiły się przy Meth Row na pół wilgotne, nasiąknięte błotem.

Została już tylko jedna trzecia z początkowej liczby graczy. Zaledwie siedemnaścioro uczestników pokonało ogrodzenie domu Donahue'a i tylko dziesięciorgu udało się wynieść coś ze środka.

Ale były też inne ogłoszenia – wydrukowane na wielkich, lśniących kartkach, ozdobione herbem Wydziału Policji Okręgu Columbia.

WSZYSCY, KTÓRZY ZOSTANĄ PRZYŁAPANI NA UDZIALE WGRZE ZWANEJ „PANIKĄ", ZOSTANĄ POCIĄGNIĘCI DO ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ.

Mniejszymi literami były wyliczone przepisy, jakie zostały złamane przez graczy: lekkomyślne narażenie zdrowia iżycia, zniszczenie mienia prywatnego, kradzież zwłamaniem, zamiar ciężkiego uszkodzenia ciała oraz naruszenie porządku publicznego pod wpływem alkoholu.

Ktoś musiał sypnąć i dla wszystkich było oczywiste, że albo to był Cory Walsh, aresztowany podczas nalotu pod wieżami ciśnień, albo Byron Welcher, którego, jak się okazało, paskudnie pogryzł jeden z psów Donahue'a iktóry leżał teraz w szpitalu wHudson. Byron był poza zasięgiem, przynajmniej dopóki go nie wypiszą, więc kilka osób wyżyło się na Corym, który po tym również wylądował w szpitalu z twarzą obitą na kwaśne jabłko.

Zaledwie kilka godzin później Ian McFadden dowi edział się od swojego starszego brata, gliniarza, że to nie Cory inie Byron sypnęli. Winna okazała się spokojna uczennica przedostatniej klasy oimieniu Reena, której chłopak właśnie odpadł z gry.

Gdy słońce zaczęło się wykrwawiać nad horyzontem iblaknąć, gdy na niebie pojawiły się delikatne różowe chmury i pasma ostrej czerwieni – co sprawiało wrażenie, jakby było ono gigantycznym płucem kurczącym się w swoich ostatnich wydechach – wszystkie szyby wsamochodzie Reeny były już wybite, a jej dom pokryła delikatna, błyszcząca warstwa rozbitych jajek, przez co wyglądał, jakby otaczała go jakaś błona.

Oczywiście nikt nie brał pod uwagę, że to mógłby być koniec Paniki.
Gra musiała toczyć się dalej.
Gra zawsze toczyła się dalej.

PONIEDZIAŁEK, 4 LIPCA

DODGE

Po zadaniu w domu Donahue'a przez cały tydzień utrzymywała się piękna pogoda – było słonecznie, nie za zimno, nie za gorąco. W Święto Niepodległości było podobnie. Tego dnia Dodge'a obudziło słońce, które zalewało jego granatowy koc powolną falą blasku.

Był szczęśliwy. A nawet więcej – był wniebowzięty. Na dziś umówił się z Nat.

Mama była w domu, już nie spała i właśnie robiła śniadanie. Oparł się o framugę i patrzył, jak rozbija jajka na patelni imiesza je drewnianą łyżką.

– Z jakiej to okazji?– spytał.

Wciąż czuł zmęczenie, bolały go kark i plecy. Wczoraj przepracował dwie zmiany, wykładając towar na półki w Home Depot w Leeds, gdzie poprzedni facet mamy, Danny, był kierownikiem. Nudna robota, ale nieźle płacili. Miał w kieszeni sto dolarów i mógł sobie pozwolić, by kupić w galerii handlowej coś dla Nat. Do jej urodzin – dwudziestego dziewiątego lipca – zostało jeszcze trochę czasu, ale… Mógł przecież wręczyć jej jakiś drobiazg nieco wcześniej.

– Mogłabym cię zapytać o to samo.– Zostawiła jajka na ogniu, żeby się ścięły, podeszła do niego i pocałowała wpoliczek, zanim zdążył się cofnąć. – Dlaczego wstałeś tak wcześnie?

Dojrzał na jej twarzy ślady makijażu. Aha. Zatem była wczoraj na randce. Nic dziwnego, że tryskała humorem.

– Już się wyspałem – odpowiedział wymijająco. Zastanawiał się, czy mama przyzna się, że wyszła wczoraj zfacetem. Czasami tak było, jeśli randka naprawdę się udała.

– Wsamą porę na śniadanie. Zjesz trochę? Jesteś głodny? Robię jajecznicę dla Dayny. – Nałożyła ją na talerz. Była idealnie wysmażona, lśniła od masła. Zanim zdążył odpowiedzieć, ściszyła głos i powiedziała: – Słyszałeś o jej nowej terapii? Bill mówi…

– Bill?– przerwał jej Dodge.
Mama zaczerwieniła się, jakby została przyłapana na gorącym uczynku.

– To tylko znajomy, Dodge.
Dodge powątpiewał, ale nie skomentował.

– Zabrał mnie wczoraj wieczorem do restauracji w Hudson – dodała pośpiesznie. – Ładne obrusy i wogóle. On pije wino, Dodge. Niesamowite, co?– Pokręciła głową ze zdumieniem. – I zna pewnego doktora w szpitalu Columbia Memorial, który pracuje z ludźmi takimi jak Dayna. Bill powiedział, że Day musi tam chodzić częściej, najlepiej codziennie.

– Nie możemy sobie… – zaczął Dodge, ale mama domyśliła się, co chce powiedzieć.

– Mówiłam mu, że nie możemy sobie na to pozwolić. Ale stwierdził, że wszystko nam załatwi, nawet bez ubezpieczenia. Uwierzysz? *W szpitalu*.

Dodge nic nie powiedział. W przeszłości już się zdarzało, że ktoś rozbudzał ich nadzieje – nowy lekarz, nowa metoda leczenia, ktoś oferował pomoc. I zawsze coś szło nie tak. Gdzieś pękła rura i to na nią szły wszystkie środki zfunduszu nadzwyczajnego albo lekarz okazywał się szarlatanem. Jedyny raz, kiedy udało się im pójść na wizytę do prawdziwego szpitala, lekarz badał Daynę przez pięć minut, zrobił badanie neurologiczne, stuknął w kolano, ścisnął palce u nóg i wstał.

– Nic ztego nie będzie – oznajmił rozdrażniony, jakby się zezłościł, że marnują jego cenny czas. – Wypadek drogowy, tak? Moja rada: zainwestujcie wlepszy wózek inwalidzki. Szkoda, żeby dziewczyna jeździła takim złomem. – Delikatnie kopnął w wózek, wózek za pięćset dolarów, na który Dodge zbierał pieniądze, harując przez całą jesień, podczas gdy jego mama wypłakiwała oczy, a Dayna leżała na łóżku zwinięta w kłębek, zamknięta w sobie.

– To chcesz jajecznicy, czy nie?– spytała mama. Dodge pokręcił głową.

– Nie jestem głodny. – Zabrał talerz Dayny, widelec iposzedł do salonu. Jego siostra wystawiała głowę przez okno i akurat gdy wchodził, krzyknęła:
– Chyba śnisz!

Z dołu dobiegł go wybuch śmiechu.
– O co chodzi?
Odwróciła się nagle w jego stronę. Poczerwieniała.

– To tylko Ricky, gada jakieś głupoty – odparła izabrała od niego talerz. Ricky pracował w kuchni wDot's iprzysyłał Daynie prezenty – tanie kwiaty kupione na stacji benzynowej albo małe pluszowe misie. Chłopak był wporządku.

– Dlaczego tak się na mnie gapisz? – spytała.

– Nie gapię się – odparł. Usiadł obok niej i położył jej stopy na swoich kolanach, a potem, jak zawsze, zaczął masować jej łydki. Żeby znowu mogła chodzić. Żeby nie traciła wiary.

Dayna zjadła szybko, ze wzrokiem wbitym w talerz. Unikała jego spojrzenia. Wreszcie jej usta ułożyły się wuśmiech.

– Ricky powiedział, że chce się ze mną ożenić.
– Może powinnaś się zgodzić.
Dayna pokręciła głową.

– Wariat. – Wyciągnęła rękę i szturchnęła Dodge'a wramię, a on udał, że go to zabolało. W tym momencie poczuł się nieziemsko szczęśliwy.

Zapowiadał się cudowny dzień.
Wziął prysznic i zrozwagą dobrał ubranie – nawet wyprał wcześniej dżinsy, które wyglądały teraz ładnie, czysto iświeżo – po czym wsiadł w autobus jadący do dzielnicy Nat. Było zaledwie wpół do jedenastej, ale słońce już stało wysoko na niebie – wyglądało jak wielkie, zawieszone w przestrzeni oko. Gdy tylko skręcił w ulicę, na której mieszkała Nat, poczuł się jakby był w telewizji, w jednym ztych programów z lat pięćdziesiątych, wktórych zawsze ktoś mył stojący na podjeździe samochód, a kobiety wfartuchach stały w drzwiach ipozdrawiały listonoszy.

Ale tutaj nie było żadnego ruchu, żadnych głosów, nikt nie ciągnął kontenerów ze śmieciami ani nie trzaskał drzwiami. Było właściwie *zbyt*cicho. Jedna rzecz była bardzo charakterystyczna dla mieszkania na tyłach Dot's – zawsze ktoś wydzierał się na kogoś innego zjakiegoś powodu. To jednak dawało pewne ukojenie, przypominało, że nie było się jedynym na tym świecie człowiekiem z problemami.

Nat czekała na niego na schodach przed domem. Kiedy Dodge ją zobaczył, zaschło mu w gardle. Włosy spięła nisko, w kucyk z boku, imiała na sobie coś wrodzaju żółtego marszczonego bezrękawnika połączonego zkoszulką i spodenkami, co wyglądałoby głupio na każdym oprócz niej – ona wyglądała w tym zdumiewająco, jak egzotyczny lizak lodowy ludzkich rozmiarów. Mimowolnie przeszło mu przez myśl, że za każdym razem, gdy korzystała z ubikacji, musiała zdejmować z siebie wszystko.

Wstała i pomachała mu, jak gdyby tylko zakładała, że *mógł* za nią tęsknić. Chwiała się przy tym w swoich butach na wysokich koturnach. Nie miała już na kostce stabilizatora– chociaż Dodge wiedział, że podczas ucieczki z domu Donahue'a

znowu skręciła kostkę – ale przy każdym kroku lekko się krzywiła.

– Bishop iHeather skoczyli po mrożoną kawę – oznajmiła, gdy szedł w jej stronę, umyślnie starając się zwolnić tempo. – Powiedziałam, żeby kupili też dla nas. Pijesz kawę?

– Wsumie nie pogardziłbym teraz kawą – odparł i Nat się roześmiała.

Jej śmiech sprawił, że po jego ciele rozlało się ciepło, nawet jeśli wciąż czuł się dziwnie niezręcznie, stojąc przy jej domu, jakby znajdował się na obrazku z gatunku „znajdź szczegół, który nie pasuje". Zasłona w oknie na parterze drgnęła i mignęła w nim twarz, ale za szybko, by Dodge mógł się jej przyjrzeć.

– Ktoś nas szpieguje – powiedział.
– Pewnie mój tata. – Nat machnęła ręką lekceważąco.
– Nie przejmuj się. Jest nieszkodliwy.

Dodge'owi przyszło do głowy pytanie, jakby to było mieć takiego tatę, który jest w domu, blisko, którego jest się tak pewnym, że można go zbyć machnięciem ręki. Ojciec Dayny, Tom, był kiedyś mężem ich mamy – tylko przez osiemnaście miesięcy i tylko dlatego, że ich mama zaszła w ciążę, ale jednak był. Teraz regularnie pisał do Dayny e–maile ico miesiąc wysyłał pieniądze, a czasami nawet ich odwiedzał.

Jego ojciec nigdy się z nim nie kontaktował, w żaden sposób. Dodge wiedział tylko tyle, że pracował na budowie ipochodził z Dominikany. Zaczął się zastanawiać, co facet teraz porabia. Może wrócił na Florydę i dobrze mu się wiedzie. Może wreszcie się ustatkował i żyje sobie otoczony gromadką dzieci, które mają piwne oczy, tak jak Dodge, itak samo wydatne kości policzkowe.

A może jeszcze lepiej – może spadł z wysokiego rusztowania irozbił sobie łeb.

Kiedy Bishop i Heather nadjechali kolejnym zgruchotów Bishopa – który klekotał i trząsł się tak koszmarnie, że Dodge był pewien, że odmówi współpracy zanim dojadą do galerii handlowej – Dodge otworzył dla Nat tylne drzwi.

– Dodge, jesteś taki słodki – skwitowała jego gest ipocałowała go w policzek, niemal przepraszająco.

Droga do Kingston minęła im w przyjemnej atmosferze. Dodge próbował oddać Bishopowi pieniądze za kawę, ale ten nie chciał ich przyjąć. Heather udało się złapać wstarym radiu całkiem przyzwoitą stację i przez chwilę słuchali Johnny'ego

Casha, dopóki Nat nie zaczęła błagać, by puścili coś nagranego *w tym wieku*. Potem namówiła Dodge'a na magiczną sztuczkę i roześmiała się, gdy wyciągnął z jej włosów słomkę.

Samochód pachniał starym tytoniem i miętą, jak szuflada na bieliznę należąca do jakiegoś staruszka. Słońce wpadało do środka i cały stan Nowy Jork zdawał się rozświetlony jakimś niezwykłym wewnętrznym blaskiem. Dodge poczuł, po raz pierwszy od przeprowadzki do Carp, amoże w ogóle po raz pierwszy w życiu, że gdzieś przynależy. Zastanawiał się, jak inaczej wspominałby te ostatnie lata, gdyby kumplował się z Bishopem i Heather, gdyby się spotykał z Nat, gdyby po nią przyjeżdżał wpiątki, żeby zabrać ją do kina i tańczyć na szkolnych imprezach na sali gimnastycznej.

Na chwilę ogarnął go smutek. Nic z tego nie przetrwa. Nie ma szans.

W przeszłości Dodge już przejeżdżał obok galerii handlowej wKingston, ale dziś po raz pierwszy wszedł do środka. W sufit wbudowano wielkie świetliki, dzięki którym nieskazitelne, pokryte linoleum podłogi zdawały się jarzyć. Powietrze pachniało dezodorantem i małymi paczuszkami potpourri, które jego mama wkładała mu do szuflady zbielizną.

Ale przede wszystkim czuć było środek dezynfek ujący. Wszystko było białe, jak w szpitalu, jakby każdy centymetr kwadratowy budynku wyszorowano domestosem. Było dosyć wcześnie, więc w środku kręciło się niewiele osób. Dodge miał nadzieję, że Nat nie wkurza stukot jego kowbojskich butów, który rozchodził się echem po budynku.

Gdy tylko weszli do środka, Nat zerknęła na małą ulotkę, którą wyciągnęła z torebki, ioznajmiła, że spotka się z nimi za jakąś godzinę, w części restauracyjnej, przed Taco Bell.

– Zostawiasz nas?– wyrzucił z siebie zaskoczony Dodge.
Nat rzuciła Heather błagalne spojrzenie i jej przyjaciółka wyjaśniła:
– Nat idzie na casting.

– Casting do czego?– dopytywał się Dodge. Był zły na siebie, że w jego głosie jest tyle pretensji. Nat od razu się zaczerwieniła.

– Zaczniesz się ze mnie nabijać, jak ci powiem – odparła, a jego serce omało nie pękło. Jak gdyby jemu, Dodge'owi Masonowi, w ogóle mieściło się w głowie nabijanie z Nat Velez.

– Nie będę – odparł cicho. Bishop i Heather byli już daleko. Bishop udawał, że chce wepchnąć Heather do fontanny, aona wrzasnęła i walnęła go pięścią.

Nat bez słowa podała mu ulotkę. Była fatalnie wykonana, zprawie nieczytelną czcionką.
„Poszukiwane nowe twarze! Marzysz o karierze modelki lub aktorki? Zgłoś się do nas na casting!
Poniedziałek, 4 lipca, o 11:30 w galerii handlowej w Kingston, w Dazzling Gems.
Wymagania: ukończone 18 lat".

– Ty masz urodziny dwudziestego dziewiątego, co nie?– zapytał Dodge, licząc na dodatkowe punkty za to, że pamiętał.

– I co z tego? To tylko trzy tygodnie– powiedziała Nat, aDodge przypomniał sobie, że była jedną znajmłodszych osób w klasie maturalnej. Oddał jej ulotkę, którą szybko włożyła z powrotem do torebki, jakby zawstydzona tym, że mu ją pokazała.
– Wkażdym razie pomyślałam, że nie zaszkodzi spróbować.

„Jesteś piękna, Natalie", chciał jej powiedzieć. Ale zdobył się jedynie na słowa:
– Byliby idiotami, gdyby cię nie wybrali.

Uśmiechnęła się tak szeroko, że pokazała wszystkie swoje idealne zęby, które w obramowaniu jej idealnych ust wyglądały jak małe białe cukierki. Liczył na to, że znowu pocałuje go w policzek, ale niestety, nie doczekał się.

– Zajmie mi to godzinę, może dwie – rzuciła. – Ale myślę, że mniej.
I zniknęła.

Dodge został sam. Był w paskudnym nastroju. Przez chwilę wlókł się za Bishopem i Heather, ale chociaż lubił przebywać w ich towarzystwie, było jasne, że chcieli zostać sami. Mieli własny język, własne dowcipy. Przez cały czas też dotykali się – popychali, szczypali iściskali, jak dzieci zaczepiające się na podwórku. Jezu. Zastanawiał się, jak to się stało, że jeszcze nie wylądowali w łóżku. Było oczywiste, że mają bzika na swoim punkcie.

Wymigał się, że musi coś kupić dla siostry – Bishop wyglądał na zaskoczonego informacją, że Dodge w ogóle ma siostrę – po czym wyszedł na parking, który powoli zaczynał się zapełniać, i wypalił trzy papierosy z rzędu. Kilka razy sprawdził telefon z nadzieją, że Nat wysłała już SMS–a. Ale nie wysłała. Zaczął się czuć jak idiota. Miał ze sobą wszystkie zarobione pieniądze, chciał jej coś kupić. Ale to przecież nie była randka. A może jednak była? Czego naprawdę Nat od niego chciała? To było dla niego zagadką.

Wrócił do środka i zaczął łazić bez celu. Galeria handlowa nie była aż tak duża – tylko jedno piętro – i zrozczarowaniem stwierdził, że nie ma przy niej karuzeli. Kiedyś jeździł z Dayną na karuzeli w galerii w Columbus, amoże to było w Chicago? Biegali wkółko, wrzeszcząc jak kowboje, i wsiadali na wszystkie koniki po kolei, dopóki muzyka nie przestała grać.

Gdy o tym pomyślał, poczuł jednocześnie radość ismutek. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przez przypadek zatrzymał się przed sklepem Victoria's Secret. Jakaś matka z córką spoglądały na niego podejrzliwie. Pewnie wzięły go zboka. Szybko się odwrócił i postanowił pójść do Dazzling Gems i sprawdzić, czy Nat nie jest już po castingu. Wkońcu minęła już prawie godzina.

Sklep znajdował się po przeciwnej stronie galerii. Jego oczom ukazała się długa, zawijająca się kolejka przed wejściem – stały w niej dziewczyny czekające na przesłuchanie, opalone i półnagie, przypominające w tych swoich wysokich obcasach antylopy, ażadna z nich nie była nawet w połowie tak ładna jak Nat. Wszystkie jego zdaniem wyglądały tandetnie.

I wtedy ją zobaczył. Stała tuż przed wejściem do b utiku irozmawiała z jakimś starym facetem, który z twarzy przypominał Dodge'owi fretkę. Miał tłuste włosy i łysiał na czubku głowy. Do tego był ubrany w tani garnitur, który wyglądał równie niechlujnie.

W tej samej chwili Nat odwróciła się i ujrzała Dodge'a. Posłała mu szeroki uśmiech, pomachała i zaczęła się przepychać w jego stronę. Fretka rozpłynął się w tłumie.

– Ijak było? – spytał Dodge.

– Bez sensu – westchnęła. – Nawet nie weszłam do środka. Czekałam chyba godzinę i ledwo przesunęłam się o trzy miejsca. Awtedy jakaś kobieta przeszła wzdłuż kolejki isprawdziła wszystkim dowody. – Wjej głosie nie było jednak słychać zawodu.

– Awięc kto to był? – spytał ostrożnie Dodge. Nie chciał, by pomyślała, że jest zazdrosny o Fretkę, nawet jeśli w jakiś sposób był.

– Kto?– Nat zamrugała powiekami.
– Facet, zktórym przed chwilą rozmawiałaś. – Zauważył, że Nat trzyma coś w ręku. Wizytówkę.

– Ach, ten.– Przewróciła oczami. – Koleś z agencji modelek. Powiedział, że mu się podobam. – Oznajmiła to tak niedbale, jakby to nie było nic wielkiego, ale Dodge widział, że jest podekscytowana.

– Awięc facet po prostu łazi po galerii i rozdaje wizytówki?
Od razu poczuł, że te słowa ją uraziły.

– Nie rozdaje ich byle komu – odparła chłodno. – Dał ją mnie, ponieważ spodobała mu się moja twarz. Gisele Bündchen też wypatrzono w galerii handlowej.

Według Dodge'a Fretka nie wyglądał jak pracownik agencji modelek. No idlaczego niby taki ktoś miałby poszukiwać nowych twarzy akurat w galerii wKingston? Bał się jednak cokolwiek powiedzieć, żeby nie pogorszyć sytuacji. Nie chciał, by Nat pomyślała, że jego zdaniem jest za brzydka na modelkę, ponieważ uważał, że jest piękna. Tyle że modelki były wysokie, a ona była niska. Ale poza tym nadawała się idealnie.

– Uważaj na siebie – powiedział tylko, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

Na szczęście Nat tylko się roześmiała.
– Spokojnie, wiem, co robię – odparła.
– To chodź, pójdziemy coś zjeść. Umieram z głodu.

Nat nie lubiła trzymać się za ręce, ponieważ, jak twierdziła, „zaburzało to jej równowagę", ale szła tak blisko niego, że ich ramiona prawie się stykały. Przyszło mu do głowy, że ktoś obserwujący ich mógłby pomyśleć, że są parą, i nagle zalała go fala szalonej radości. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, że szedł teraz obok Nat Velez, jak gdyby jego miejsce było przy jej boku, jak gdyby ona była jego dziewczyną. Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się myśl, że jakoś łączy się to z Paniką.

W części restauracyjn ej spotkali Bishopa i Heather, którzy właśnie się kłócili, czy iść do pizzerii, czy do chińskiej restauracji. Kiedy doszli do porozumienia, Dodge iNat zgodnie ustalili, że pójdą do Subwaya. Postawił jej lunch – najpierw wybrała kanapkę z kurczakiem, ale wostatniej chwili zamieniła ją na sałatkę (oznajmiła tajemniczo, że to na wszelki wypadek) i dietetyczną colę. Usiedli przy wolnym stoliku, podczas gdy Heather i Bishop stali wkolejce do Taco Bell, na które się ostatecznie zdecydowali.

– Więc o co z nimi chodzi?– zapytał Dodge.

– Z Bishopem i Heather?– Nat wzruszyła ramionami.

– Wyglądają na dobrych kumpli. – Siorbnęła głośno colę. Podobało mu się, że je bez skrępowania, nie tak jak inne dziewczyny.– Ale myślę, że Bishop się w niej buja.
– Też mam takie wrażenie – przyznał.

Nat przechyliła głowę i spojrzała na niego.
– A co ztobą?
– To znaczy co?
– Bujasz się w kimś?

Właśnie wziął do ust wielki kęs kanapki i mało się nie udławił. Nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź, która nie brzmiałaby żałośnie.

– Ja nie… – Odkaszlnął i łyknął colę. O Jezu. Twarz mu płonęła. – To znaczy, nie jestem…
– Dodge – przerwała mu surowym tonem. – Chcę, żebyś mnie teraz pocałował.

Choć przed chwilą krztusił się kanapką zwieprzowiną, i tak ją pocałował. Czy miał wyjście? Szum wjego głowie i wokół nich przybrał na sile. Podobał mu się sposób, w jaki go całowała – jak gdyby była głodna ichciała go zjeść. Gorąco rozlało się po całym jego ciele ipomyślał ze strachem, że to musi być sen.

Położył rękę na jej włosach, z tyłu, aona odsunęła się na chwilę, tylko po to, by powiedzieć:
– Obie ręce, proszę.

Po tym hałas w jego głowie ucichł. Poczuł się całkowicie odprężony i jeszcze raz ją pocałował, tym razem wolniej.

W drodze powrotnej niewiele się odzywał. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwy i bał się powiedzieć albo zrobić coś, co by to popsuło.

Bishop najpierw podjechał pod jego dom. Dodge obiecał wcześniej Daynie, że obejrzy z nią w telewizji pokaz fajerwerków. Zastanawiał się, czy powinien pocałować Nat raz jeszcze – i bardzogo to stresowało – ale rozwiała jego dylemat, przytulając go, co pewnie byłoby rozczarowujące, gdyby nie to, że wcześniej w samochodzie siedziała do niego przyciśnięta i że czuł teraz jej biust przyciśnięty do swojej piersi.

– Wielkie dzięki, stary – rzucił do Bishopa. Pożegnali się żółwikiem. Jak gdyby byli dobrymi kumplami. Może zresztą byli.

Odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód, choć nie był już w stanie odróżnić

sylwetki Nat na tylnym siedzeniu. Wkońcu auto zniknęło za wzgórzem i było już tylkosłychać odległe, gardłowe warczenie silnika. Wciąż jednak stał przed domem, ociągając się z wejściem do środka. Nie chciał jeszcze wracać do Dayny, mamy iswojego ciasnego pokoju, po którym walały się ubrania i opakowania po papierosach i gdzie lekko zalatywało śmietnikiem.

Chciał po prostu jeszcze przez chwilę czuć się szczęśliwy.
Jego telefon zawibrował. Nowy e–mail. Serce zaczęło mu mocniej bić. Rozpoznał nadawcę.

Luke Hanrahan.
Wiadomość była krótka.
Zostaw nas wspokoju albo pójdę na policję.

Dodge prz eczytał ją kilka razy, delektując się nią, czując bijącą z niej bezradność. Przedtem zastanawiał się, czy Luke dostał jego wiadomość. Już wiedział, że tak.

Potem zszedł niżej i przeczytał raz jeszcze e–mail, który wysłał tydzień wcześniej.

Gra się rozpoczęła. Wszystko się może zdarzyć. Proponuję wymianę:
życie brata za zdrowie siostry.

Stojąc w blasku zachodzącego słońca, Dodge się uśmiechnął.
HEATHER

To był udany dzień – jeden z najlepszych tego lata. Choć raz Heather postanowiła, że nie będzie się zamartwiać przyszłością, tym, co wydarzy się jesienią, kiedy Bishop wyjedzie na studia do Binghamton, a Nat do Los Angeles, by zostać aktorką. Może – myślała – mogłaby dalej pracować u Anne. Może nawet Anne pozwoliłaby się jej do siebie wprowadzić. Zabrałaby Lily izamieszkałyby w jednej z szop.

Oczywiście oznaczałoby to, że dalej mieszkałaby wCarp, ale przynajmniej udałoby się jej wyrwać z osiedla przyczep mieszkalnych Fresh Pines.

Polubiła Anne, a najbardziej zwszystkiego polubiła zwierzęta. Jeździła na Mansfield Road trzy razy w tygodniu iwracała stamtąd niechętnie. Lubiła unoszący się wszędzie zapach mokrej słomy, starej skóry oraz trawy. Cieszyła się, gdy Muppet ją rozpoznawał, i śmieszyły ją ożywione piski kurczaków.

Uznała, że tygrysy też lubi, choć tylko na odległość. Jak urzeczona obserwowała ich ruchy, to, jak skóra na ich mięśniach marszczy się niczym powierzchnia wody, atakże ich oczy, mądre i posępne, jakby wejrzały w serce wszechświata i doznały

rozczarowania, które to uczucie Heather doskonale rozumiała.

Karmienie tygrysów wolała jednak zostawić Anne. Niewiarygodne, ile ta kobieta miała odwagi! Dobrze, że była za stara na Panikę – wykosiłaby wszystkich. Anne wchodziła do zagrody, stawała metr od tygrysów, które krążyły wokół niej, mierząc wygłodniałym wzrokiem wiadro zmięsem, chociaż Heather była pewna, że za równie apetyczną uznałyby swoją opiekunkę. Ale Anne twierdziła uparcie, że nie zrobiłyby jej krzywdy.

– Dopóki je karmię, nie potraktują mnie jak karmy. Może – ale tylko może – wcale nie masię o co bać.

Tego dnia nie podobało się jej tylko to, że Bishop ciągle sprawdzał telefon – pewnie czekał na SMS–y od Avery. To przypomniało jej, że Matt nie napisał do niej ani razu od ich zerwania. Wtym samym czasie Bishop miał Avery (Heather nie potrafiła myśleć o niej jako o jego dziewczynie), Nat miała Dodge'a, ślepo w nią wpatrzonego, ado tego spotykała się z barmanem z Kingston, jakimś obleśnym typkiem, który jeździł na włoskim skuterze, októrym Nat mówiła, że jest tak samo fajny jak motocykl. Ta, jasne.

Gdy wysadzili Dodge'a, Nat zapytała:
– Avery przychodzi dziś wieczorem, Bishop?

Gdy przyjaciel zaprzeczył, jakoś dziwnie szybko, Heather poczuła, że kocha dziś cały świat.

Nat kazała im jechać okrężną drogą, żeby skoczyć do sklepu po sześciopak piwa, potem zaś, by należycie uczcić Dzień Niepodległości, pojechali do 7–Eleven po przekąski: nachosy zdipem, pączki z cukrem pudrem, kupili nawet torebkę skwarków ze świńskiej skóry, ot tak, dla hecy, ale Bishop odważnie zadeklarował, że je skonsumuje.

Po tem pojechali do wąwozu o nagich zboczach wyłożonych popękanym betonem i wysypanych żwirem. Jego dnem biegły stare tory, teraz już rude od rdzy i pokryte warstwą śmieci. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. Zeszli ostrożnie na dół, pokonali tory i ruszyli szukać miejsca do odpalenia zimnych ogni.

To była ich tradycja. Dwa lata temu Bishop doda tkowo zaskoczył Heather tym, że kupił w Home Depot dwa dwudziestokilogramowe opakowania piasku izrobił tam plażę. A do tego przyniósł zakręcone słomki i papierowe parasolki do drinków, żeby mogli się poczuć jak na egzotycznych wakacjach.

Dzisiaj Heather za nic wświecie nie chciałaby być gdzie indziej. Nawet na Karaibach.

Nat piła już drugie piwo i coraz bardziej się chwiała. Heather też wypiła piwo i chociaż normalnie nie przepadała za alkoholem, poczuła, że zalewa ją fala ciepła iszczęścia. Potknęła się o poluzowany podkład, ale Bishop ją podtrzymał, chwytając w pasie. Zaskakujące, jaki solidny isilny się wydawał. I jaki ciepły.

– Wszystko wporządku, Heather? – Kiedy się uśmiechał, w policzkach robiły mu się dołeczki, i Heather przyszła do głowy szalona myśl, żeby go pocałować. Ale szybko się opanowała. Właśnie dlatego unikała alkoholu.

– Nic mi nie jest. – Starała się odsunąć. Przesunął rękę wyżej i położył jej na ramieniu. Czuła piwo w jego oddechu. Zastanawiała się, czy on też nie jest trochę pijany. – Stary, łapy przy sobie. – Powiedziała to żartobliwym tonem, ale nie była w nastroju do żartów.

Nat szła przed nimi i kopała kamienie. Zapadał zmrok, serce Heather waliło jak oszalałe i przez chwilę miała wrażenie, jakby ona i Bishop byli tu sami. Wpatrywał się wnią dziwnie, nie była w stanie odszyfrować wyrazu jego twarzy. Poczuła gorąco rozchodzące się po brzuchu – była zdenerwowana nie wiadomo z jakiego powodu.

– Ej, nie gap się tak, bo ci zaraz gały wyjdą na wierzch
– powiedziała i go popchnęła.
Nastrój prysł. Bishop roześmiał się i próbował jej oddać. Zrobiła unik.
– Dzieci, dzieci, nie bijcie się! – zawołała do nich Nat.

Znaleźli miejsce do odpalenia zimnych ogni. Nat się nie udało – zgasły zanim zdołały się porządnie zapalić. Heather próbowała następna. Gdy podeszła z zapalniczką, rozległa się seria trzasków, a ona odskoczyła, myśląc, że pewnie coś schrzaniła. Ale po chwili dotarło do niej, że przecież nawet nie zdążyła do niczego przytknąć zapalniczki.

– Patrzcie! Patrzcie! – Nat podskakiwała podekscytowana.

Heather odwróciła się w momencie, gdy na wschodzie, tuż nad linią drzew, rozbłysnęła kaskada fajerwerków: zielonych i czerwonych, apo nich pojawił się deszcz złotych iskier. Nat śmiała się jak wariatka.

– Cholera, co to jest?– Heather była szczęśliwa, ale też bardzo zaciekawiona. Nie było jeszcze całkiem ciemno, a do tego w Carp nigdy nie puszczano sztucznych

ogni zokazji Dnia Niepodległości. Najbliższe pokazy były wPoughkeepsie, pięćdziesiąt minut drogi stąd, w Waryas Park. Wtej chwili miała tam być Lily z mamą i Bo.

Tylko Bishop nie wydawał się podekscytowany. Stał zrękami skrzyżowanymi na piersi i kręcił głową, gdy pojawiały się kolejne fajerwerki: jeszcze raz złote, potem niebieskie iznów czerwone. Rozkwitały i więdły jak kwiaty wchłaniane z powrotem w niebo ipozostawiały ślady dymu przypominające macki. W chwili gdy Nat zaczęła biec, lekko kuśtykając, i krzyczała ze śmiechem: „Chodźcie, chodźcie!", jakby chciała dotrzeć do miejsca, skąd je puszczano, Heather uświadomiła sobie to co Bishop
– to nie były obchody święta.

To był znak.

W oddali zaczęły wyć syreny. Spektakl nagle się z akończył – upiorne palce dymu przesunęły się cicho po niebie. Wreszcie Nat się zatrzymała. Odwróciła się wstronę Heather i Bishopa.
– Co jest? O co chodzi?

Heather się wzdrygnęła, choć nie było zimno. Wpowietrzu czuć było dymem, a od przenikliwego wycia strażackich syren rozbolała ją głowa.

– To Panika – powiedziała. – Ogłaszają następne wyzwanie.

Była już prawie północ, gdy Bishop podrzucił Heather do domu. Teraz żałowała, że piła piwo – czuła się wykończona. Bishop nie odezwał się ani słowem, odkąd Natalie wysiadła z samochodu.

Teraz odwrócił się i powiedział nagle:
– Wciąż uważam, że powinnaś zrezygnować. Heather udawała, że nie wie, o co chodzi.
– Zrezygnować z czego?
– Nie udawaj, że nie rozumiesz. – Bishop potarł czoło.

Ostre światło z werandy wpadające do wnętrza samochodu oświetlało jego profil – prosty nos i mocno zarysowaną szczękę. Do Heather nagle dotarło, że Bishop nie jest już chłopcem. W pewnym momencie, który gdzieś umknął, jej przyjaciel stał się mężczyzną – wysokim isilnym. Miał podbródek świadczący o upartym charakterze, atakże *dziewczynę* oraz poglądy inne od tych, które sama wyznawała. Poczuła ukłucie w brzuchu, jednocześnie żal i pragnienie.

– Gra staje się coraz bardziej niebezpieczna, Heather. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby… – Urwał i pokręcił głową.

Heat her przypomniał się tamten okropny SMS: Zrezygnuj zgry albo stanie ci się krzywda. Zalała ją fala gniewu. Dlaczego każdy, do jasnej cholery, próbował ją zastraszyć?

– Myślałam, że trzymasz za mnie kciuki.
– Bo trzymam. – Bishop odwrócił się w jej stronę. Byli teraz bardzo blisko.– Ale nie za takie rzeczy.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. Jego oczy były jak ciemne księżyce, a jego usta znajdowały się kilka centymetrów od jej ust. Heather uświadomiła sobie, że wciąż myśli o tym, żeby go pocałować. Rzuciła więc tylko:

– Dobranoc, Bishop– iszybko wysiadła z samochodu.

W domu był włączony telewizor. Krista i Bo leżeli na kanapie ioglądali jakiś stary czarno–biały film. Bo był bez koszuli, Krista paliła. Stolik był zastawiony butelkami po piwie– Heather doliczyła się dziesięciu.

– Cześć, Heather Lynn. Krista zgasiła papierosa. Za pierwszym razem nie trafiła do popielniczki. Miała szkliste oczy. Heather nie mogła na nią patrzeć. Miała nadzieję, że nie prowadziła w tym stanie, wioząc Lily w samochodzie. Heather chyba by ją zabiła. – Gdzie byłaś?

– Nigdzie – odburknęła. Wiedziała, że jej matka i tak ma to w nosie. – Gdzie jest Lily?
– Śpi. – Krista wsadziła rękę pod spódnicę i zaczęła się drapać. Nie odrywała oczu od telewizora. – Fajny mieliśmy dzień. Widzieliśmy sztuczne ognie.

– Wcholerę było ludzi – dodał Bo. – Ajaka była kolejka do kibli!

– Idę spać – rzuciła Heather. Nawet nie starała się być miła. Krista była zbyt pijana, by prawić jej kazania. – Ściszcie telewizor, okej?

Drzwi do sypialni stawiły opór. Zdała sobie sprawę, że Lily zwinęła dresową bluzę i wetknęła ją w szparę między drzwiami anierówną podłogą, by odizolować się od hałasu idymu. Heather sama nauczyła ją tej sztuczki. W pokoju było duszno mimo otwartego okna i włączonego wiatraka, który stał na komodzie.

Nie zapaliła światła. Do środka wpadał delikatny blask księżyca, zresztą i tak

potrafiła się tu poruszać po omacku. Rozebrała się, rzuciła ubrania na podłogę i weszła do łóżka, zktórego zsunęła wszystkie koce i przykryła się tylko prześcieradłem.

Myślała, że siostra śpi, ale nagle usłyszała szelest zdrugiego łóżka.

– Heather?– wyszeptała Lily.
– Mhm?
– Opowiesz mi bajkę?
– Jaką bajkę?
– Taką, żeby się dobrze kończyła.

Lily już od dawna nie prosiła jej o bajki. Heather opowiedziała jej własną wersję jednej ze swoich ulubionych, Stańcowane pantofelki, tyle że zamiast księżniczek wjej historii występowały zwyczajne siostry, mieszkające w zrujnowanym zamku zkrólową i królem, którzy nie zajmowali się nimi, bo byli na to zbyt próżni i głupi. Ale pewnego dnia dziewczynki znalazły klapę w podłodze iprzejście prowadzące do tajemnego świata, w którym naprawdę były księżniczkami i gdzie każdy im nadskakiwał.

Gdy skończyła opowiadać, Lily oddychała już głęboko imiarowo. Heather odwróciła się i zamknęła oczy.
– Heather?– odezwała się jeszcze Lily zaspanym głosem.

Heather otwarła oczy, zaskoczona.
– Powinnaś już spać, żabko.
– Czy ty umrzesz?
Zaskoczona Heather na chwilę zaniemówiła.

– Oczywiście, że nie, Lily – odpowiedziała wreszcie ostrym tonem.
Lily mamrotała w poduszkę.
– Kyla Anderson powiedziała, że umrzesz. Przez Panikę.

Heather zalała nagle fala strachu – strachu iczegoś jeszcze, czegoś głębszego i bardziej bolesnego.
– Skąd wiesz o Panice?– spytała.

Lily mruknęła coś pod nosem. Heather nie dała za wygraną.

– Kto ci powiedział o Panice, Lily?– powtórzyła. Ale Lily już spała.

Dom Graybillów był nawiedzony. Wiedzieli o tym wszyscy wCarp, powtarzano to

od pół wieku, kiedy ostatni zGraybillów powiesił się w nim na krokwi, tak jak wcześniej jego ojciec i dziadek.

Klątwa Graybillów.

Oficjalnie nikt nie mieszkał tam od ponad czterdziestu lat, chociaż od czasu do czasu ośmielali się różni dzicy lokatorzy. Nikt by tu dłużej nie wytrzymał. Wieczorami woknach migotały światła. W opanowanych przez myszy ścianach rozlegały się szepty, a po zakurzonych korytarzach biegały duchy dzieci. Czasami sąsiedzi słyszeli dobiegające ze strychu krzyki kobiety.

Takie przynajmniej krążyły pogłoski.

Do tego teraz doszły fajerwerki. Niektórzy starsi mieszkańcy Carp, którzy twierdzili, że pamiętają dzień, kiedy ostatniego zGraybillów znaleziono zwisającego zkrokwi, przysięgali, że fajerwerków wcale nie odpaliły dzieciaki. Zresztą może to wcale nie były fajerwerki. Kto wie, jakie złowrogie siły drzemały w ścianach opuszczonego domu, jaki rodzaj czarnych mocy rozjaśnił tamtą noc ogniem?

Policja twierdziła, że był to zwyczajny chuligański wybryk zokazji Dnia Niepodległości. Ale Heather, Nat i Dodge wiedzieli lepiej. Tak samo jak Kim Hollister i Ray Hanrahan oraz pozostali gracze. Dwa dni po Święcie Niepodległości ich podejrzenia się potwierdziły. Heather akurat wyszła spod prysznica i włączyła starego laptopa, żeby sprawdzić e–maile. Wgardle jej zaschło, po plecach przebiegł jej dreszcz.

Kolejna wiadomość wysłana z adresu sedziowie@panika.com.
Temat: Podobały się fajerwerki?
Jeszcze bardziej ekscytujący pokaz czeka was wnajbliższy piątek o 22:00.
Zobaczymy, jak długo wytrzymacie. Pamiętajcie: nie wolno dzwonić po pomoc.

PIĄTEK, 8 LIPCA

HEATHER
– To zbyt proste – powtórzyła Heather.

Mocno zacisnęła ręce na kierownicy. Szczerze mówiąc, nie lubiła prowadzić, ale Bishop nie dał się uprosić. Nie zamierzał jechać na dzisiejszą konkurencję ani czekać bezczynnie przez kilka godzin, podczas gdy uczestnicy gry będą próbowali wytrzymać jak najdłużej w nawiedzonym domu. Poza tym wreszcie miała okazję skorzystać z samochodu. Jej mama iBo byli właśnie ze znajomymi na alkoholowej libacji w opuszczonej przyczepie numer sześćdziesiąt dwa, używanej głównie do imprez. Przypuszczalnie nie dowloką się do domu przed czwartą, amoże nawet dopiero po wschodzie słońca.

– Pewnie będą próbowali zabawić się naszym kosztem
– powiedziała Nat. – Iumieścili w domu różne gadżety, które będą nas straszyć.

– To *i tak* zbyt proste. – Heather pokręciła głową. – To przecież Panika, nie Halloween. – Dłonie jej się pociły. – Pamiętasz, jak byliśmy mali i Bishop sprowokował cię, żebyś postała na ganku Graybillów przez trzy minuty?

– Tylko dlatego, że ty wymiękłaś – odparła Nat.

– Ty też wymiękłaś. – Przypomniała jej Heather, żałując teraz, że przywołała tamto wspomnienie. – Nie wytrzymałaś trzydziestu sekund.
– Ale Bishop tak – rzekła Nat, odwracając twarz do okna.– Wszedł nawet do środka, pamiętasz? Siedział tam przez całe pięć minut.

– Zapomniałam o tym– przyznała Heather.
– Kiedy to było? – odezwał się milczący dotąd Dodge.

– Dawno temu. Mieliśmy jakieś dziesięć albo jedenaście lat. Co nie, Heather?

– Mniej. Dziewięć. – Heather coraz bardziej żałowała, że Bishop nie pojechał z nimi. To było ich pierwsze zadanie bez niego ina myśl o tym coś ją ściskało w piersi. Obecność Bishopa dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Za zakrętem ukazał się dom – ostry szczyt dachu odcinał się na tle kłębiących się na horyzoncie chmur, jak whorrorach. Wydawał się krzywo wyrastać z ziemi iHeather miała wrażenie, że nawet z tej odległości słyszy wiatr wyjący przez dziury w dachu

imyszy harcujące wprzegniłej podłodze. Do kompletu brakowało jedynie chmary nietoperzy.

Przy drodze parkowało kilkanaście samochodów. Najwyraźniej sporo osób doszło do tego samego wniosku co Bishop iwiększość widzów została w domu. Ale nie wszyscy. Heather dostrzegła Vivian Trager – siedziała na masce swojego samochodu ipaliła papierosa. Niedaleko przycupnęła grupa uczniów przedostatniej klasy. Podawali sobie butelkę wina, z poważnymi minami, jak gdyby przybyli na stypę. Przez chwilę, zanim Heather wyłączyła silnik iświatła, deszcz w świetle reflektorów wyglądał jak cienkie odłamki szkła.

Dodge wysiadł z samochodu iotworzył drzwi przed Nat. Heather sięgnęła po torbę, do której spakowała jedzenie, wodę i duży koc. Postanowiła, że wytrzyma tak długo, jak będzie trzeba, żeby wygrać. Nat i Dodge również.

Nagle dobiegł ją stłumiony krzyk. Gdy podniosła wzrok, przed samochodem mignął jej ciemny kształt. Nat krzyknęła. Ludzie nagle popędzili na drogę.

Heather wyskoczyła z samochodu iprzebiegła na drugą stronę akurat w momencie, gdy Ray Hanrahan uderzył Dodge'a łokciem w brzuch. Dodge zachwiał się iwpadł na resztki płotu. Za nim posypały się odłamki drewna.

– Wiem, co knujesz, ty świrze – prychnął Ray. – Myślisz, że możesz…

Nie dokończył i stęknął ciężko. Dodge, otrząsnąwszy się po ataku, chwycił Raya za gardło. Wszyscy jęknęli. Nat krzyknęła.

Dodge nachylił się i szepnął coś Rayowi do ucha – Heather nie słyszała co.

A potem równie szybko cofnął się i puścił Raya, który jeszcze przez chwilę stał w strumieniach deszczu, kaszlał isię dławił. Twarz Dodge'a była spokojna. Nat ruszyła się jakby chciała go objąć, ale najwyraźniej zmieniła zdanie.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, Mason – rzucił Ray, kiedy wreszcie odzyskał oddech. – Ostrzegam cię. Inaczej pożałujesz.

– Dajcie spokój, chłopaki – odezwała się jedna z zawodniczek, Sarah Wilson.– Leje jak zcebra. Może byśmy wreszcie zaczęli?

Ray wciąż spoglądał na Dodge'a spode łba. Ale już nic nie powiedział.

– Dobra, to zaczynajmy – powiedział Diggin. Heather wcześniej nie widziała go

wśród przybyłych. Jego głos ginął w ciemności i deszczu. – Zasady są proste. Im dłużej wytrzymacie wśrodku, tym więcej punktów zarobicie.

Heather ciarki przeszły po plecach. Wieczór Skoku, kiedy Diggin chrypiał do megafonu, wydawał jej się tak odległy jakby wszystko to wydarzyło się wiele lat temu: muzyka, piwo, nastrój radości i podniecenia.

Nagle nie była w stanie sobie przypomnieć, jak to się stało, że się tutaj znalazła – przed domem Graybillów, zdeformowanym, przekrzywionym, jakby dosłownie chylił się ku upadkowi.

– Inie można wzywać pomocy – dodał Diggin, a jego głos lekko zadrżał. Heather pomyślała wtedy, że może wie coś, o czym nie wie reszta.– To tyle. Zadanie uważam za rozpoczęte.

Wszyscy się rozproszyli. Promienie światła – głównie latarek, agdzieniegdzie niebieski odblask telefonów komórkowych – omiotły drogę, oświetliły krzywy płot, wysoką trawę i pozostałości ścieżki wiodącej do domu, zarośniętej teraz chwastami.

Dodge wyciągał plecak z bagażnika, Nat stała obok. Heather podeszła do nich.
– Oco chodziło? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparł Dodge, zamykając bagażnik. W ciemności trudno było coś wyczytać z jego twarzy. Heather zastanawiała się, czy czegoś nie ukrywa. – Ten koleś to psychopata.

Heather znowu zadrżała, gdy wilgoć zakradła się pod kołnierz jej kurtki i przesiąkła przez bluzę od dresu. Wiedziała, tak jak każdy, że dwa lata temu siostra Dodge'a walczyła w Pojedynku z bratem Raya i w wyniku wypadku została sparaliżowana. Ona sama tego nie widziała, bo razem zBishopem opiekowała się tamtego wieczoru Lily. Ale Nat opowiadała jej później, że samochód Dayny zgniótł się jak harmonijka.

Zastanawiała się, czy Dodge obwiniał o to Hanrahanów.

– Wśrodku trzymajmy się z dala od Raya, okej?– powiedziała. – Zresztą trzymajmy się z dala od nich wszystkich. – Nie zdziwiłoby jej, gdyby Ray Hanrahan próbował na nich napaść albo w jakiś inny sposób im zaszkodzić.

Dodge odwrócił się do niej i uśmiechnął. Jego białe zęby lśniły nawet w ciemności.
– Umowa stoi.

Powlekli się razem z resztą w stronę domu. Heather czuła na piersi ciężar czegoś, co nie było lękiem, raczej złym przeczuciem. To wszystko wydawało się zbyt łatwe.

Po ulewie ziemia zmieniła się w błoto, które teraz przesiąkało im do butów. Szykowała się koszmarna noc. Heather żałowała, że nie pomyślała wcześniej, by przemycić piwo. Nie lubiła jego smaku, ale alkohol przytępiłby strach idzięki niemu noc pewnie minęłaby szybciej.

Zastanawiała się, czy sędziowie gdzieś tu byli – być może siedzieli przy zgaszonym świetle na przednich siedzeniach któregoś z samochodów, z nogami wyciągniętymi na tablicy rozdzielczej. Amoże krążyli po drodze, udając normalnych widzów. To była część Paniki, której nienawidziła najbardziej – świadomość, że wszyscy zawodnicy są obserwowani.

Szybko doszli do werandy, w jej odczuciu zbyt szybko. Zev Keller właśnie zniknął w środku, drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Nat podskoczyła.

– Wszystko wporządku? – spytał Dodge cicho.
– Tak – odparła Nat, a jej głos zabrzmiał w tej ciszy zbyt donośnie.

Raz jeszcze Heather pomyślała, że wolałaby, gdyby był z nimi Bishop. Chciałaby, żeby był obok niej, rzucał głupie dowcipy i droczył się z nią, że się boi.

– Dobra, idziemy, niech się dzieje, co chce. – Nat zrobiła krok do przodu i zwysiłkiem otworzyła drzwi, które wisiały na zawiasach pod dziwnym kątem. Zawahała się. – Ale tu śmierdzi – powiedziała.

– Dopóki nic nie strzela ani nie szczeka, wszystko mi jedno – odparł Dodge. Wydawało się, że w ogóle się nie boi. Minął Nat i wszedł do środka. Nat ruszyła za nim, Heather zaś na końcu.

Od razu poczuła to samo – odór mysich odchodów, pleśni i zgnilizny, jak śmierdzących ust nieotwieranych od lat.

Promienie światła wędrowały zygzakiem przez kor ytarze iciemne pokoje, gracze powoli się rozpraszali, szukali dla siebie kryjówki. Podłoga skrzypiała, drzwi otwierały się i zamykały z jękiem. W mroku rozlegały się szepty.

Ciemność była gęsta i czarna jak smoła. Heather poczuła, jak żołądek skręca się jej ze strachu. Pogrzebała w kieszeni wposzukiwaniu telefonu. Jej przyjaciółka wpadła na ten sam pomysł. Zobaczyła nagle twarz Nat, podświetloną od dołu – jej oczy wyglądały jak głębokie jamy, askóra miała niebieskawy odcień. Heather skierowała

światło telefonu na wyblakłą tapetę i listwy nadgryzione przez termity.

Nagle błysnęło jasne światło.

– Aplikacja zlatarką – wyjaśnił Dodge, gdy Heather zasłoniła ręką oczy. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że jest taka silna.

Skie rował promień do góry, do sufitu, gdzie podmuch napływającego powietrza kołysał skrzypiące resztki żyrandola. To właśnie tutaj, jeśli wierzyć pogłoskom, powiesili się trzej Greybillowie.

– Chodźcie – powiedziała Heather, siląc się na spokój. Sędziowie mogli być wszędzie. – No już, idziemy. Ruszyli dalej. Dodge prowadził. Na piętrze ponad nimi słychać było kroki.

Latarka Dodge'a jak ostrze przecinała ciemność, aHeather przypomniał się film dokumentalny o wraku Titanica, który oglądała kiedyś z Lily, i batyskafy płynące przez ciemne odmęty, kluczące między drewnianymi częściami kadłuba i starą porcelaną, pokrytymi mchem ipodwodnymi żyjątkami. Właśnie tak się teraz czuła: jakby byli na dnie oceanu. Ciężar na jej piersi narastał inarastał. Słyszała ciężki oddech Nat. Zgóry dochodziły przytłumione krzyki, chyba ktoś się kłócił.

– Kuchnia– oznajmił Dodge.

Oświetlił przeżarty rdzą piec i podłogę, z której odpadła już połowa kafelków. Poszczególne obrazy były oderwane od siebie, jaskrawobiałe, jak w kiepskich filmach grozy. Heather wszędzie widziała insekty, pajęczyny, do tego zsufitu spadały na nią jakieś paskudztwa.

Dodge wycelował promień latarki w kąt i Heather mało nie krzyknęła. Zobaczyła twarz – ciemne oczodoły i otwarte usta.

– Czy mógłbyś mnie nie oślepiać?

Dziewczyna zasłoniła ręką przymrużone oczy iHeather na moment zamarła. To była tylko Sarah Wilson, siedziała przycupnięta w kącie. Gdy Dodge spuścił latarkę, Heather zobaczyła, że dziewczyna przyniosła ze sobą poduszkę i śpiwór. Byłoby łatwiej, dużo łatwiej, gdyby wszyscy gracze zebrali się w jednym pomieszczeniu irazem jedli chipsy oraz pili tanią wódkę, wykradzioną zbarku któregoś z rodziców.

Ale oni byli ponad to.

Opuścili kuchnię i zeszli po kilku zaśmieconych stopniach – trzęsąca się latarka oświetlała pety, resztki liści ipoczerniałe papierowe kubki po kawie. Pozostałości po dzikich lokatorach.

Heather usłyszała kroki: w ścianach, nad głową, za sobą. Trudno było stwierdzić, skąd dobiegały.

– Heather.– Nat odwróciła się i chwyciła ją za bluzę.
– Ciii – syknął Dodge. Wyłączył latarkę.

Stali w ciemności tak gęstej, że Heather czuła ją zkażdym wdechem – czuła smak powoli pleśniejących, gnijących rzeczy. Wstrętnych i oślizgłych.

Znowu kroki. Tuż za jej plecami. Przystanęły zwahaniem. Podłoga skrzypnęła. Ktoś szedł za nimi.

– Chodźmy – wyszeptała Heather. Wiedziała, że ponoszą ją nerwy, że to pewnie inny uczestnik gry próbuje wybadać teren, ale wyobraźnia płatała figle – wydawało jej się, że to jeden z sędziów czai się na nią w ciemności. Do tego nie człowiek, ale nadprzyrodzona istota o tysiącu oczu idługich, śliskich palcach, o szerokiej szczęce i ustach tak wielkich, że byłyby w stanie ją połknąć.

Kroki nie ustawały. Rozległ się jeden, za nim kolejny.
– Chodźmy – powtórzyła Heather zduszonym, rozpaczliwym głosem.

– Wejdźmy tutaj – powiedział Dodge. Było tak ciemno, że nawet go nie widziała, chociaż musiał stać obok niej. Odchrząknął. Rozległo się skrzypnięcie starego drewna ijęk zardzewiałych zawiasów.

Poczuła, że Nat oddala się, więc ruszyła za nią na ślepo, mało się nie przewracając na nierówności, która musiała być progiem nowego pomieszczenia. Dodge zamknął za nią drzwi i napierał na nie, dopóki nie wskoczyły na miejsce. Heather dyszała ciężko. Dalej słychać było kroki. Zatrzymały się przed ich drzwiami. Heather wstrzymała oddech, jak gdyby była pod wodą. Wtedy kroki cofnęły się.

Dodge z powrotem włączył latarkę w telefonie. W jej blasku jego twarz zdawała się ostrokątna, jak na kubistycznym obrazie.

– Co to było? – szepnęła Heather. Bała się, że tylko ona to słyszała.
Ale Dodge uspokoił ją:
– Nic. Ktoś próbował nas przestraszyć i tyle.

Położył telefon na podłodze, tak że światło padało na sufit, iwyjął z plecaka śpiwór. Heather rozłożyła swój koc. Nat usiadła obok latarki, naciągając koc na ramiona.

Nagle Heather zalała fala ulgi. Siedzieli zebrani wokół tego prowizorycznego ogniska ibyli bezpieczni. Może jednak wcale nie będzie tak źle.

Dodge przykucnął obok Nat.
– Pewnie za chwilę się przyzwyczaimy.

Heather zaczęła się przechadzać po ciasny m pomieszczeniu. Musiał to być kiedyś schowek, a może spiżarnia – choć nie, trochę za daleko do kuchni. Powierzchnia nie mogła przekraczać dwóch metrów kwadratowych. Wysoko, tuż pod sufitem, znajdowało się okno, jedyne wcałym pokoju, ale chmury były tak gęste, że do środka wpadało bardzo mało światła. Na jednej ścianie wisiały wypaczone drewniane półki, pokryte warstwami kurzu iśmieciami – torebkami po chipsach, zgniecioną puszką po coli istarym kluczem nastawnym. Heather poświeciła swoim telefonem po ścianach isuficie, dokonując szybkiego oglądu.

– Pająki – skomentowała, gdy blask komórki padł na idealnie symetryczną, połyskującą na srebrno pajęczynę, która rozciągała się między dwiema półkami.

Dodge skoczył na równe nogi, jak gdyby coś go ugryzło.
– Gdzie?
Heather iNat wymieniły spojrzenia. Nat uśmiechnęła się pod nosem.

– Boisz się pająków? – wyrwało się Heather. To było silniejsze od niej. Dodge nigdy nie okazywał strachu, jakby niczego się nie bał. Tego się po nim nie spodziewała.

– Mów ciszej – warknął.

– Nie przejmuj się – pocieszyła go Heather, wyłączając telefon. – To zresztą tylko pajęczyna. – Nie wspomniała otym, co na niej widniało, o zaplątanych w sieć owadach, które czekały na niechybną śmierć.

Dodge pokiwał głową, zmieszany. Odwrócił się iwłożył ręce do kieszeni kurtki.

– I co teraz?– spytała Nat.
– Czekamy – odpowiedział, nie odwracając się.

Nat sięgnęła po paczkę chipsów, otworzyła ją i zaczęła głośno chrupać. Heather rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– No co?– powiedziała Nat z pełnymi ustami. – Będziemy tu przecież tkwić przez całą noc. – Tyle że zabrzmiało to: „Besiemy tu szesiesz kwiś szes sało noc”.

Miała rację. Heather usiadła obok niej na nierównej podłodze.

– I so ysisz?– spytała Nat. Tym razem Heather nie miała problemów ze zrozumieniem.

– Co myślę o czym?– Przyciągnęła kolana do piersi. Chciałaby, żeby strumień światła był mocniejszy. Wszystko poza jego obrębem było posępnym cieniem ikształtem albo ginęło w mroku. Nawet Dodge, odwrócony do nich plecami. Wtej ciemności mógł to być ktokolwiek.

– Nie wiem. O wszystkim. Osędziach. Kto to wszystko planuje?

Heather wyjęła z torebki dwa chipsy. Włożyła je do ust: jeden zjednej ręki, drugi z drugiej. Było niepisaną zasadą, że nie rozmawiano o tożsamości sędziów.

– Aja chciałabym wiedzieć, jak to się zaczęło – powiedziała. – Ico nam odbiło, że w ogóle w to gramy. – To miał być dowcip, ale jej głos zabrzmiał niepokojąco.

Dodge postanowił zmienić pozycję i przykucnął obok Natalie.
– A Ty, Dodge?– spytała Heather. – Dlaczego grasz?

Chłopak podniósł wzrok. Jego twarz wyglądała jak maska z otworami iHeather nagle przypomniało się pewne lato, gdy pojechała na obóz harcerski i druhny zebrały młodsze dziewczynki wokół ogniska, żeby opowiadać historie oduchach. Świeciły latarkami po twarzach, tak żeby wyglądać przerażająco, i wszystkie małolaty się bały.

Przez chwilę wydawało jej się, że Dodge się uśmiecha.
– Dla zemsty.
Nat zaczęła się śmiać.
– Dla zemsty?– powtórzyła.
Heather uświadomiła sobie, że się nie przesłyszała.

– Nat – upomniała przyjaciółkę ostrym tonem. Nat najwyraźniej przypomniała sobie historię siostry Dodge’a, bo wjednej chwili przestała się śmiać. Dodge spojrzał na Heather. Szybko odwróciła wzrok. A więc winił Luke’a Hanrahana za to, co się stało. Nagle przeszył ją dreszcz. Słowo „zemsta” było takie straszne, mocne i ostre jak nóż.

Dodge uśmiechnął się, jakby odgadł jej myśli.

– Chcę tylko wygrać z Rayem, i tyle– powiedział lekkim tonem isięgnął po paczkę chipsów. Heather od razu poczuła się lepiej.

Próbowali przez chwilę grać w karty, ale było zbyt ciemno igra szła im opornie, bo cały czas musieli sobie przekazywać latarkę z rąk do rąk. Nat chciała się nauczyć magicznych sztuczek, ale Dodge się od tego wykręcił. Od czasu do czasu słyszeli z korytarza głosy albo kroki iHeather sztywniała pewna, że zaraz zacznie się prawdziwe wyzwanie – pokażą się upiorne hologramy duchów albo wyskoczą na nich ludzie w maskach. Ale nic się nie działo. Nikt nie otwierał drzwi, żeby krzyknąć: „Bu!".

Poczuła zmęczenie. Zwinęła torbę i włożyła ją sobie pod głowę. Słuchała cichej rozmowy Dodge'a i Nat – zastanawiali się, kto wygrałyby pojedynek, rekin czy niedźwiedź, a Dodge stwierdził, że muszą najpierw określić, wjakim środowisku będzie się toczyć walka…

Potem rozmawiali o psach i Heather z obaczyła parę oczu (tygrysich?), ogromnych, wielkości reflektorów, spoglądających na nią w mroku. Chciała krzyknąć i ostrzec resztę, że w ciemności czai się potwór i szykuje do ataku…

Ale gdy otworzyła usta, nie wydobył się z nich krzyk, tylko wlała się ciemność i Heather zasnęła.

DODGE

Dodge'owi śniła się karuzela, na której był z Dayną w Chicago. Albo wColumbus. Tyle że w jego śnie były palmy ijakiś człowiek sprzedawał grillowane mięso zjaskrawo pomalowanego wózka. Dayna stała przed nim, awłosy miała tak długie, że przy każdym ruchu uderzała go nimi wtwarz. Niedaleko zebrał się tłum – ludzie spoglądali na niego dziwnie i krzyczeli coś, czego nie rozumiał.

Wiedział, że powinien być szczęśliwy – powinien dobrze się bawić – ale było inaczej. Było za gorąco. Włosy Dayny wpadły mu do ust i zaczął się dławić, nie miał czym oddychać. Do tego dochodził smród z wózka z mięsem. Swąd spalenizny. Gęste chmury dymu.

Dym.

Dodge obudził się nagle i podniósł na rękach. Zasnął na gołej ziemi, z twarzą przyciśniętą do zimnego drewna. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Rozpoznał skulone kształty Heather i Nat oraz rytm ich oddechów. Wciąż trochę zaspany,

stwierdził, że wyglądają jak małe smoki.

Wtedy uświadomił sobie dlaczego – pomieszczenie wypełniało się dymem, który sączył się przez szparę pod drzwiami iwijąc się jak wąż, wpełzał do środka.

Skoczył na równe nogi, potem przypomniał sobie, że dym zawsze wędruje do góry, i padł na kolana. Zpozostałych części domu dobiegały go krzyki i odgłosy bieganiny.

„To zbyt łatwe", przypomniały mu się słowa Heather. No jasne. WDzień Niepodległości eksplodowały tu fajerwerki. Wyznaczono też nagrodę dla graczy, którzy najdłużej wytrzymają w środku.

Pożar. Dom płonął.
Mocno potrząsnął dziewczynami, nie zastanawiając się, która jest która ani czy dotyka ich łokci, czy ramion.
– Obudźcie się! Obudźcie się!
Natalie podniosła się, przecierając oczy, i natychmiast zaczęła kaszleć.
– Co się…?
– Pożar – rzucił krótko. – Nie podnoś się. Dym idzie do góry.

Heather też zaczynała się wiercić. Dodge podczołgał się z powrotem pod drzwi. Nie było wątpliwości – szczury opuszczały statek. Z zewnątrz dobiegały krzyki, trzaskanie drzwiami. To oznaczało, że pożar już się rozprzestrzenił. Nikt by nie zwiewał, gdyby dało się go łatwo opanować.

Położył rękę na metalowej klamce. Była ciepła, ale nie parzyła.

– Nat? Dodge? Co się dzieje? – Rozległ się piskliwy, histeryczny głos Heather, która była już całkowicie przytomna.– Skąd tu się wzięło tyle dymu?

– Pożar – wyjaśniła Natalie. Jej głos był zaskakująco spokojny.

Pora się stąd wydostać, zanim ogień ogranie wię kszość domu. Nagle przypomniały mu się jakieś zajęcia na sali gimnastycznej w Waszyngtonie – amoże to było w Richmond – gdzie wszystkie dzieciaki wramach ćwiczeń musiały się rzucić na podłogę i turlać po śmierdzącym linoleum. Nawet wtedy uważał, że to głupie. Jakby turlanie mogło w czymś pomóc, a nie tylko zamienić człowieka wkulę ognia.

Chwycił za klamkę i pociągnął, ale drzwi ani drgnęły. Spróbował raz jeszcze. Nic. Najpierw pomyślał, że może wciąż śpi, że może śni mu się jeden z tych jego koszmarów, gdy próbuje uciekać, ale nie jest w stanie się ruszyć, albo gdy w walce

uderza w twarz napastnika i nie zostawia na niej ani draśnięcia. Podczas trzeciej próby klamka została mu w ręku. I po raz pierwszy wtej grze poczuł ją – panikę – rosnącą mu w piersi ipodchodzącą do gardła.

– O co chodzi?– przerażony głos Heather przeszedł w krzyk. – Otwieraj drzwi, Dodge!

– Nie da się. – Ręce i nogi mu zdrętwiały. Panika wdzierała mu się do płuc i utrudniała oddychanie. Nie. To przez dym. Coraz gęstszy. Przezwyciężył paraliż. Podłubał gorączkowo palcem w dziurze po klamce ipoczuł ostry kawałek metalu. Z desperacją naparł ramieniem na drzwi.
– Zaklinowały się.

– Co to znaczy zaklinowały się? – Heather chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zaczęła kaszleć.
Dodge odwrócił się i przykucnął.

– Czekajcie. – Przyłożył rękaw do ust. – Niech pomyślę. – Nie słyszał już żadnych kroków ani krzyków. Czyżby wszyscy już się wydostali? Ale za to słychać było, jak szalał pożar, zzewnątrz dochodziły go przytłumione trzaski – to pękało stare drewno, a ogień pochłaniał zrujnowany dom.

Heather chwyciła za telefon.
– Co ty robisz?– Nat próbowała wytrącić jej go z ręki.
– Zasady nie pozwalają…

– Zasady?– przerwała jej Heather. – Czyś ty oszalała?
– Stukała nerwowo w klawiaturę. Twarz miała dziką, wykrzywioną, przypominającą woskową maskę, która zaczyna się topić. Dziewczyna wydała z siebie rozpaczliwy jęk, coś pomiędzy krzykiem a szlochem. – Nie działa. Jesteśmy poza zasięgiem.

Myśl, myśl. W gąszczu paniki Dodge wyciął w swoim umyśle przejrzystą ścieżkę. Cel. Musiał znaleźć cel. Wiedział instynktownie, że był odpowiedzialny za uratowanie dziewczyn, tak jak kiedyś za bezpieczeństwo Dayny, jego Dayny, jego jedynej siostry i najlepszej przyjaciółki. Nie mógł znowu nawalić. Choćby nie wiem co.

Okno znajdowało się za wysoko – nie miał szans się do niego dostać – poza tym było zbyt wąskie. Ale może gdyby podsadził Natalie… Powinna się zmieścić. A wtedy co? To już nie miało znaczenia. Heather może też uda się przecisnąć, ale co do tego nie miał już pewności.

– Nat.– Podniósł się. Powietrze było gęste, smakowało jak piasek. Było gorąco. – Chodź tutaj. Musisz się przedostać przez okno.

Nat spojrzała na niego z niedowierzaniem.
– Nie mogę was tak zostawić.

– Musisz. Idź. Weź ze sobą telefon. Wezwiesz pomoc.
– Dodge oparł się jedną ręką o ścianę. Tracił siły. – To jedyne wyjście.

W ciemności ledwo dojrzał, jak skinęła głową. Kiedy wstała, poczuł zapach jej potu. Nagle naszła go ochota, by ją uściskać i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie było czasu. Przed oczyma stanęła mu Dayna, wrak samochodu, jej nogi usychające z każdym miesiącem ikurczące się do rozmiarów bladych łodyżek.

To jego wina.

Pochylił się, chwycił Nat w pasie ipomógł jej wspiąć się na swoje ramiona. W pewnym momencie źle trafiła iwbiła stopę w jego pierś, a on stracił równowagę i omal nie upadł. Był coraz słabszy. To przez ten cholerny dym. Ale udało mu się wyprostować.

– Szyba! – jęknęła Nat. Heather zrozumiała. Po omacku odnalazła klucz nastawny, który widziała wcześniej, i podała go przyjaciółce. Nat zamachnęła się. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Do środka wpadł podmuch świeżego powietrza. Zaraz potem usłyszeli świst, gdy pod wpływem tlenu ogień napłynął w ich kierunku, jak ocean napierający w stronę plaży. Czarny dym wdzierał się przez szparę pod drzwiami.

– Idź! – krzyknął Dodge. Nat jeszcze niezdarnie kopnęła go w głowę i w ucho, apotem zniknęła na zewnątrz.

Znowu przykląkł. Ledwo co widział.
– Teraz ty– rzucił do Heather.

– Nie ma szans, nie zmieszczę się. – Powiedziała to szeptem, ale ją dosłyszał. Odetchnął z ulgą. Nie sądził, by dał radę ją udźwignąć.

W głowie mu się kręciło.

– Połóż się – rzekł głosem, który brzmiał jakoś obco. IHeather ułożyła się płasko na ziemi. Cieszył się, że sam też może się położyć. Podźwignięcie Nat na taką małą

wysokość go wykończyło. Dym zdawał się jak koc… nakrywał ich i zachęcał do snu…

Znowu był na karuzeli. Ale tym razem ludzie krz yczeli. Izaczęło padać. Chciał wysiąść… karuzela kręciła się coraz szybciej… nad głową wirowały światła…

Światła, wirowanie, krzyki. Wycie syren.
Niebo.
Powietrze.
Czyjś głos. Mamy? I słowa:
– Już dobrze, synu. Wszystko będzie dobrze.

SOBOTA, 9 LIPCA

HEATHER

Kiedy Heather się obudziła, natychmiast zrozumiała, że jest w szpitalu, inieco ją to rozczarowało. Na filmach wtakich sytuacjach ludzie zawsze byli półprzytomni, zdezorientowani, pytali, gdzie się znajdują i co się stało. Ale trudno było pomylić z czymkolwiek innym ten zapach środków dezynfekujących i czystych białych prześcieradeł albo pikanie aparatury medycznej. Cała sytuacja wydawała jej się nawet przyjemna – pościel była czysta i świeżo wyprasowana, nie było słychać krzyków mamy ani Bo, a wpowietrzu nie unosił się odór przetrawionego alkoholu. Już dawno tak dobrze nie spała, więc przez kilka minut leżała jeszcze z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko.

Wtedy dobiegł do niej cichy głos Bishopa:
– Daj spokój, Heather. Wiemy, że już nie śpisz. Widać, jak powieka ci drży.

Heather otwor zyła oczy. Zalała ją fala radości. Bishop siedział na krześle obok niej, pochylony tak nisko, jak tylko się dało bez wchodzenia na łóżko. Nat również tu była – oczy miała zapuchnięte od płaczu – iod razu rzuciła się Heather na szyję.

– Heather! – Znów zaczęła szlochać. – Omój Boże, Heather. Tak strasznie się bałam!

– Cześć, Nat. – Heather musiała mówić z ustami pełnymi jej włosów, które smakowały jak mydło. Pewnie jej przyjaciółka niedawno brała prysznic.

– Tylko jej nie uduś, Nat – powiedział Bishop. Nat cofnęła się, wciąż pociągając nosem, ale nie puszczała jej ręki, jakby się bała, że Heather może gdzieś uciec. Bishop się uśmiechał, ale był blady i miał podkrążone oczy. Heather pomyślała, że może siedział przy jej łóżku przez całą noc ibał się, że umrze. To byłoby całkiem miłe.

Nawet nie pytała, co się stało. To było oczywiste. Nat udało się sprowadzić pomoc, a ją przewieziono do szpitala nieprzytomną. Więc zapytała tylko: – ZDodge'em wszystko wporządku? Gdzie teraz jest?

– Już wyszedł. Obudził się kilka godzin temu iposzedł do domu. Nic mu niej jest– wyjaśniła Nat jednym tchem. – Lekarze mówią, że ty też szybko wrócisz do siebie.

– Wygrałaś tę konkurencję – powiedział Bishop ztwarzą pozbawioną wyrazu. Nat spiorunowała go wzrokiem.

Heather znów wzięła głęboki oddech i poczuła ostry ból między żebrami.

– Moja mama wie?– zapytała.
Nat i Bishop wymienili szybkie spojrzenia.

– Była tutaj – odparł Bishop. Heather znowu poczuła ucisk wpiersi. Była. A więc już sobie poszła. No jasne. – Lily również – dodał natychmiast. – Chciała zostać. Trudno ją było uspokoić…
– Wporządku – przerwała mu Heather. Bishop wciąż spoglądał na nią z dziwną miną, jak gdyby ktoś kazał mu wypić duszkiem szklankę soku z cytryny. Przyszło jej do głowy, że pewnie wygląda jak kupka nieszczęścia inieszczególnie pachnie. Poczuła, że robi się jej gorąco. Super. Do tego teraz wygląda jak burak. – Co jest?– spytała, usiłując brzmieć jak poirytowana, bez przyspieszania oddechu. – O co chodzi?

– Posłuchaj, Heather. Ostatniej nocy coś się wydarzyło i…

Drzwi się otworzyły i do środka weszła pani Velez. Trzymała dwa kubki kawy i zafoliowaną kanapkę, zapewne kupiła to wszystko w szpitalnym barze. Za nią wszedł jej mąż, trzymając torbę należącą do Nat.

– Heather! – Pani Velez uśmiechnęła się do niej promiennie. – Obudziłaś się wreszcie.
– Powiedziałam rodzicom – mruknęła Nat pod nosem, jakby to nie było oczywiste.
– Wporządku – odparła Heather.

W sumie była zadowolona, że państwo Velez przyszli. Nagle zebrało jej się na płacz. Włosy taty Nat były wnieładzie, spodnie na kolanie – poplamione trawą, a jego żona miała na sobie jeden ze swoich pastelowych kardiganów. Oboje spoglądali na Heather jakby cudem wróciła do świata żywych. Zresztą może tak właśnie było. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, *taknaprawdę*, jak blisko była śmierci. Szybko przełknęła ślinę, żeby powstrzymać łzy.

– Jak się czujesz, kochanie? – Pani Velez odłożyła kawę i kanapkę na stolik, usiadła przy łóżku Heather izaczęła ją głaskać po włosach, a ona zaczęła sobie wyobrażać, że to pani Velez jest jej mamą.

– Może być. – Heather spróbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało.

– Poprosiłam tatę, by przyniósł kilka rzeczy – rzekła Nat, ajej tata demonstracyjnie uniósł torbę. Do Heather dotarło, że straciła własną w domu Graybillów. Pewnie została z niej tylko kupka popiołu. – Gazety. I ten puszysty koc z piwnicy.

Heather zrozumiała wtedy, że zamierzają ją tu zatrzymać na dłużej.

– Naprawdę nic mi nie jest. – Podciągnęła się wyżej na łóżku, jakby na poparcie swoich słów. – Mogę iść do domu.

– Lekarze muszą się najpierw upewnić, że nie masz żadnych wewnętrznych obrażeń – wyjaśnił pan Velez. – To może chwilę potrwać.

– Nie martw się, Heather – powiedział cicho Bishop. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Zaskoczyła ją delikatność jego dotyku, spokojne ciepło, które promieniowało z jego palców do jej ciała. – Zostanę przy tobie.

W jej głowie pojawiła się nagle myśl, że go kocha. Ale te słowa, podobnie jak wcześniejszą chęć płaczu, także musiała stłumić.
– Ja też – dodała Nat lojalnie.

– Heather musi odpoczywać – rzekła pani Velez. Wciąż się uśmiechała, ale w jej spojrzeniu była też troska.
– Pamiętasz, co się wydarzyło ostatniej nocy, kochanie?

Heather stała się czujna. Nie była pewna, jak wiele może powiedzieć. Spojrzała na Nat i Bishopa w oczekiwaniu na jakąś wskazówkę, ale oboje unikali jej wzroku.

– Większość, tak, chyba tak – odparła ostrożnie.

Pani Velez wciąż patrzyła na nią z zatroskaniem jakby się bała, że Heather zaraz wpadnie w histerię albo zacznie ronić krwawe łzy.

– Czujesz się na siłach, by o tym teraz rozmawiać, czy wolisz później?
Heather ścisnęło w żołądku. Dlaczego Bishop i Nat unikali jej spojrzenia?
– Nie rozumiem, porozmawiać o czym?
– Jest tu policja – wtrącił Bishop. – Próbowaliśmy ci otym powiedzieć.
– Dalej nic nie rozumiem – oznajmiła zdezorientowana Heather.

– Ich zdaniem pożar nie był wypadkiem – rzekł Bishop. Heather miała wrażenie, że próbuje jej coś przekazać swoim spojrzeniem, tyle że ona nie jest w stanie tego załapać. – Ktoś podpalił dom celowo.

– Ale to przecież *był* wypadek – upierała się Nat.

– Błagam was, na litość boską. – Pani Velez rzadko traciła panowanie nad sobą. Nawet takie słowa w jej ustach brzmiały zaskakująco. – Przestańcie. Nikomu nie pomagacie tymi kłamstwami. To wszystko z powodu tej gry, Paniki,czy jak ją tam nazywacie. Nie udawajcie, że tak nie jest. Policja już wie. Wszystko skończone. Szczerze mówiąc, spodziewałam się po was czegoś więcej. Zwłaszcza po tobie, Bishop.

Bishop otworzył usta, a potem je zamknął. Być może chciał się wytłumaczyć, tyle że oznaczałoby to wsypanie i Heather, iNat. Heather było strasznie wstyd. Panika. Słowo to wypowiedziane na głos tutaj, w tym lśniącym bielą miejscu, brzmiało strasznie.

Głos pani Velez złagodniał.
– Będziesz musiała powiedzieć im prawdę, Heather. Powiedz im wszystko, co wiesz.
Heather zaczynała wpadać w popłoch.

– Ale ja nic nie wiem. – Wyzwoliła rękę z uścisku Bishopa. Jej dłoń zaczynała się pocić. – Dlaczego muszą rozmawiać ze mną? Przecież nic nie zrobiłam.

– Ktoś zginął, Heather – powiedziała pani Velez.– Więc sprawa jest poważna.

Przez chwilę wydawało jej się, że się przesłyszała.
– Co?
Teraz pani Velez wyglądała na zszokowaną.

– Myślałam, że już wiesz. – Odwróciła się w stronę córki. – Byłam pewna, że jej powiedzieliście.
Nat się nie odezwała.
Heather odwróciła się do Bishopa powoli, jakby jej ciało stawiało opór.
– Kto?
– Mały Bill Kelly – odparł Bishop. Próbował znowu chwycić ją za rękę, ale się odsunęła.

Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Ostatnim razem, gdy go widziała, Mały Kelly siedział na przystanku ikarmił gołębie, które jadły mu prosto z ręki. Kiedy się do niego uśmiechnęła, zamachał jej i zawołał radośnie: „Czołem, Christy!”. Nie miała pojęcia, kim jest owa Christy. Prawie go nie znała – wiedziała tylko, że był od niej starszy iprzez lata służył w wojsku za granicą.

– Nic nie… – Heather przełknęła ślinę. Państwo Velez słuchali uważnie. – Przecież

jego nie…

– Był w piwnicy– wyjaśnił Bishop. Głos mu się załamał. – Nikt otym nie wiedział. Ty też nie mogłaś wiedzieć.

Heather zamknęła oczy. Pod jej powiekami zakwitły kolory. Fajerwerki. Ogień. Dym. Znów otworzyła oczy.

Pan Velez wyszedł na korytarz. Drzwi były uchylone. Heather usłyszała pomruk głosów i skrzypienie czyichś butów.

Gdy wsunął głowę do środka, miał niemal przepraszającą minę.
– Policja tu jest, Heather – powiedział. – Już czas.

PONIEDZIAŁEK, 11 LIPCA

DODGE
– Czy mógłbym prosić o wodę?
Dodge nie był jakoś bardzo spragniony, ale chciał zyskać na czasie, żeby złapać oddech i trochę się rozejrzeć.

– Jasne.– Policjant, który przyjął Dodge'a na komisariacie iwprowadził go do małego biura bez okna, czyli OFICER SADOWSKI, jak informował identyfikator, nie przestawał się uśmiechać, jakby był nauczycielem, a Dodge jego ulubionym uczniem. – Siadaj. Zaraz wracam.

Dodg e siedział nieruchomo, na wypadek gdyby ktoś go obserwował. Nie musiał odwracać głowy, żeby objąć wzrokiem niemal całe pomieszczenie: biurko, na którym leżał stos szarych teczek, półki, gdzie piętrzyły się kolejne dokumenty, stary telefon odłączony od gniazdka, zdjęcia pulchnych, uśmiechniętych dzieci, mały wentylator. Dobrze, że Sadowski nie zabrał go do pokoju przesłuchań, pomyślał.

Policjant wrócił po minucie z plastikowym kubkiem pełnym wody. Zachowywał się wobec Dodge'a bardzo serdecznie.

– Wszystko wporządku? Woda jest okej? Nie chcesz coli albo czegoś innego?

– Nie, niczego mi nie trzeba. – Dodge łyknął wodę iprawie się zakrztusił. Była ciepła jak siki.

Sadowski albo tego nie zauważył, albo udał, że nie zauważył.
– Naprawdę się cieszę, że postanowiłeś wpaść do nas ipogadać. Dan, tak?
– Dodge – poprawił go. – Dodge Mason.

Sadowski usiadł za biurkiem. Ostentacyjnie przekładał jakieś papiery, szczerzył zęby jak idiota i bawił się długopisem, rozparty na krześle. Niby nic takiego. Ale Dodge dostrzegł, że policjant ma jego imię zapisane na kartce papieru.

– Jasne, jasne, Dodge. Trudno nie zapamiętać. Więc wczym mogę ci pomóc, Dodge?

Dodge nie dał się nabrać na tę pozę wiejskiego głupka. Wprzymrużonych oczach oficera Sadowskiego dostrzegł błysk inteligencji. Policjant miał idealnie trójkątną

szczękę. Mógł równie dobrze grać starego skurczybyka, kiedy wymagała tego sytuacja.

– Przyszedłem porozmawiać o pożarze – oznajmił Dodge.– Stwierdziłem, że i tak będziecie chcieli się ze mną spotkać.

Wyszedł ze szpitala dwa dni temu. Spodziewał się, że gliny same zapukają do jego drzwi i zaczną go maglować. To czekanie, dręczący niepokój, były gorsze niż wszystko inne.

Tego ranka obudził się z postanowieniem, że nie będzie dłużej czekał.

– Jesteś tym młodym człowiekiem, który opuścił szpital wsobotę rano, tak? – Jasne. Jakby zapomniał. – Owszem, nie udało nam się z tobą porozmawiać. Dlaczego uciekłeś w takim pośpiechu?

– Moja siostra… wymaga opieki. – Gdy tylko wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że nie powinien wspominać o siostrze. To tylko może poprowadzić rozmowę na zły tor.

Ale Sadowski się tego uczepił.
– Jakiego rodzaju pomocy?

– Jeździ na wózku inwalidzkim – wykrztusił z siebie. Nienawidził wypowiadać tych słów na głos. Wtedy wydawało się to bardziej realne, ostateczne.

Sadowski pokiwał głową ze współczuciem.
– Zgadza się. Miała wypadek samochodowy kilka lat temu, prawda?
Szuja. Awięc jednak wiejski głupek to była poza. Facet był świetnie przygotowany.
– Tak – potwierdził Dodge.
Myślał, że Sadowski będzie drążył temat, ale on tylko pokręcił głową i wymruczał:
– Straszna historia.

Dodge zaczął się rozluźniać. Znowu łyknął wodę. Cieszył się, że jednak przyszedł. Pewnie zrobił wrażenie pewnego siebie. *Iczuł się* pewny siebie.

Nagle Sadowski zapytał:
– Słyszałeś kiedykolwiek o grze zwanej Paniką, Dodge?
Dobrze, że zdążył przełknąć wodę, bo pewnie by się zakrztusił.
– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie mam tutaj zbyt wielu przyjaciół.

– Masz ich kilku – powiedział Sadowski. Dodge nie miał pojęcia, do czego facet

zmierza. Policjant znów zerknął do swoich notatek. – Heather Nill. Natalie Velez. Ktoś przecież zaprosił cię na tę imprezę.

W obieg puszczono następującą wersję – w domu Graybillów urządzono balangę. Licealiści umówili się, żeby palić trawkę, pić i straszyć się nawzajem. A potem niechcący zaprószyli ogień. Wypadek. W ten sposób wina się rozmyła, nie dało się jej przypisać żadnej konkretnej osobie.

Oczywiście Dodge wiedział, że to bzdura. Ktoś podłożył ogień. Pożar był częścią zadania.

– A, one. To nie są moje przyjaciółki, raczej zwykłe znajome. – Dodge czuł, że się rumieni. Bał się, że to kłamstwo ma krótkie nogi.

Sadowski wydał z siebie dziwny gardłowy dźwięk, którego Dodge nie potrafił zinterpretować.

– To może powiesz mi wszystko na ten temat? Swoimi słowami, w swoim tempie.

Dodge zaczął więc opowiadać, nie za szybko, żeby niczego nie pomylić, ale też nie za wolno, by nie wyszło, że jest zdenerwowany. Powiedział Sadowskiemu, że został zaproszony przez Heather. Miała to być ostro zakrapiana balanga, alekiedy dotarł na miejsce, okazało się, że impreza jest beznadziejna i niewiele tam alkoholu. On sam nic nie pił. (Pogratulował sobie w myślach, że o tym pomyślał – nie czepią się niczego, kropka).

Sadowski przerwał mu tylko raz.
– Więc skąd zamknięty pokój?
– Co?– spytał zaskoczony Dodge.
Sadowski tylko udawał, że zerka do raportu.

– Strażacy musieli wyłamać drzwi, żeby się dostać do ciebie itej dziewczyny, Heather. Dlaczego wyszedłeś razem znią, skoro impreza odbywała się gdzie indziej?

Dodge trzymał rękę na pulsie. Nawet nie mrugnął okiem.

– Mówiłem już panu, że impreza była beznadziejna. Poza tym, miałem nadzieję… – Urwał i znacząco uniósł brwi.

Sadowski załapał.
– A, rozumiem. Mów dalej.

Nie było dużo więcej do opowiedzenia. Dodge stwierdził, że musiał zasnąć obok Heather. Ocknął się, gdy usłyszał odgłosy bieganiny i poczuł dym. Nie wspomniał oNat. Dopóki ktoś go o to nie zapyta, wolał nie wyjaśniać, skąd wiedziała, żeby kierować strażaków na tyły domu.

Gdy skończył, przez chwilę siedzieli w milczeniu. Sadowski niby coś tam gryzmolił, ale Dodge wiedział, że to też tylko ściema. Wszystko już wiedział.

Wreszcie policjant westchnął, odłożył długopis ipotarł oczy.

– Ta sprawa to ciężki kaliber, Dodge. Cholernie ciężki. Dodge nic nie odpowiedział. Sadowski kontynuował.

– Bill Kelly był, jest naszym przyjacielem. Służył wpolicji. Mały Kelly służył w Iraku. Wiesz, do czego zmierzam?

– Nie bardzo– przyznał Dodge.
Sadowski wpatrywał się w niego intensywnie.

– Chcę powiedzieć, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by się dowiedzieć, co się wtedy wydarzyło. A jeśli się okaże, że ktoś celowo podłożył ogień… – Pokręcił głową. – Czeka nas sprawa ozabójstwo, Dodge.

Dodge'owi zaschło w gardle. Ale zmusił się, by wytrzymać spojrzenie.
– To był wypadek – powiedział. – Bill Kelly znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Sadowski się uśmiechnął. Ale w jego uśmiechu nie było wesołości.
– Mam taką nadzieję.

Dodge postanowił wrócić do domu na piechotę. Skończyły mu się papierosy i był w podłym nastroju. Teraz zaczął się zastanawiać, czy pójście na policję było dobrym pomysłem. Sadowski tak się na niego gapił, jakby gliny podejrzewały, że to *Dodge*wzniecił ten cholerny pożar.

A to musieli być sędziowie – kimkolwiek byli. Ijeśli któryś z graczy piśnie coś o Panice, to może oznaczać jej koniec.

Jeśli gra zostanie przerwana…

Dodge nie miał żadnych planów, co zrobi, gdy wygra Panikę, gdy pokona Raya w ostatniej rundzie, w Pojedynku, izrobi wszystko, by było to porządne, krwawe zwycięstwo. Nie myślał wcale o tym, co będzie potem. Może go aresztują. A może

nawet zginie. Nie miało to dla niego znaczenia.

Życie Dayny, jego Dayny, zostało zniszczone, legło w gruzach, iktoś musi za to zapłacić.

Ale teraz po raz pierwszy ogarnął go strach, że gra rzeczywiście mogłaby zostać przerwana, a on nie miałby szansy na zemstę. Wtedy musiałby po prostu żyć z Dayną, która ma bezwładne nogi, i ze świadomością, że nie potrafił jej ochronić. Ze świadomością, że Ray i Luke mają się dobrze i dalej zmierzają po trupach do celu.

A to było niemożliwe. Niewyobrażalne.

Słońce stało już wysoko na niebie. W ostrym świetle wszystko zdawało się nieruchome. Dodge czuł w ustach nieprzyjemny smak – jeszcze nic dziś nie jadł. Sprawdził telefon znadzieją, że może dzwoniła Nat, ale nie, nic. Rozmawiali dzień wcześniej, choć rozmowa w ogóle się nie kleiła. Kiedy Nat oznajmiła, że tata woła ją na dół imusi kończyć, był pewien, że kłamie.

Obszedł dokoła Dot's Diner, sprawdzając odruchowo, czy wśrodku, za brudnymi szybami, widać mamę. Ale wsilnym świetle słońca widać było tylko ciemne kształty.

Przed drzwiami usłyszał wybuch śmiechu. Przystanął zręką na klamce. Jeśli w domu była mama, to obawiał się, że tego nie wytrzyma. O mało nie wpadła w histerię, gdy wrócił ze szpitalną opaską, od tego czasu spoglądała na niego podejrzliwie ipytała co pięć sekund, jak się czuje. Miał wrażenie, że boi się puścić go samego nawet do toalety, bo coś może mu się stać. W dodatku po całym Dot's Diner krążyły opowieści o Małym Kellym i mama, jeśli nie pytała, czy Dodge ma gorączkę, to ciągle nawijała na temat tragedii.

Ale wtedy znowu rozległ się śmiech i zorientował się, że to nie mama, tylko Dayna.

Siedziała na kanapie, z nogami przykrytymi kocem, aRicky na składanym krześle naprzeciwko niej. Na stoliku leżała szachownica. Gdy Dodge wszedł, znajdowali się wodległości zaledwie paru centymetrów od siebie.

– Nie, nie! – mówiła Dayna, krztusząc się ze śmiechu.
– Goniec porusza się po *przekątnej*.
– Po prze–kąt–nej – powtórzył Ricky ze swoim twardym akcentem izbił pionka Dayny.
– Przecież teraz mój ruch! – Złapała pionka z powrotem iznowu wybuchnęła śmiechem.

Dodge odchrząknął. Dayna podniosła wzrok.
– Dodge! – krzyknęła. Oboje z Rickym gwałtownie odsunęli się od siebie.

– Cześć. – Nie miał pojęcia, czemu spoglądali na niego zminami winowajców. Nie wiedział też, dlaczego sam czuje się tak niezręcznie, jakby przeszkodził im w czymś dużo poważniejszym niż gra w szachy.

– Uczę Ricky'ego grać w szachy – wyjaśniła Dayna.

Była zarumieniona, a jej oczy błyszczały. Już dawno nie wyglądała tak dobrze, tak ładnie. Dodge zastanawiał się nawet, czy nie jest wymalowana.

Nagle ogarnął go gniew. Kiedy on nadstawiał za nią karku i omało nie przypłacił tego życiem, ona jak gdyby nigdy nic *grała sobie w szachy* zRickym. Do tego wzięli jego starą marmurową szachownicę, którą dostał od mamy na jedenaste urodziny iktórą od tamtej pory taszczył ze sobą wszędzie, gdzie się przeprowadzili.

Tak jakby jej wcale nie zależało. Jakby nie grał wPanikę specjalnie dla niej.

– Chcesz zagrać, Dodge? – zapytała.
Nie był pewien, czy szczerze. Po raz pierwszy spoj

rzał, tak naprawdę spojrzał, na Ricky'ego. Czy chłopak mówił poważnie, że chce się ożenić z Dayną? Miał pewnie dwadzieścia jeden lat, góra dwadzieścia dwa.

Zresztą jego siostra nigdy by tego nie zrobiła. Na litość boską, facet ledwo mówił po angielsku. Poza tym Dayna nigdy nie powiedziała Dodge'owi, że Ricky jest dla niej kimś ważnym. A przecież zawsze zwierzała mu się ze wszystkiego.

– Wpadłem tylko na chwilę, żeby się napić – odparł. – Zaraz znowu wychodzę.

W kuchni nalał sobie szklankę wody i zostawił odkręcony kran, żeby zagłuszyć szmer rozmowy z drugiego pokoju. Oczym mogli rozmawiać, do cholery? Co mieli ze sobą wspólnego? Kiedy zakręcił wodę, głosy znów umilkły. Jezu. Poczuł się jak intruz we własnym domu. Wyszedł bez pożegnania. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, znów usłyszał śmiech.

Sprawdził telefon. Wreszcie dostał odpowiedź od Heather. Napisał jej wcześniej: Jakieś wieści?.
Odpisała w dwóch słowach: Gra skończona. Dodge poczuł, jak fala mdłości podchodzi mu do gardła. I wiedział już, co musi zrobić.

Przed domem Hanrahanów był do tej pory tylko raz, dwa lata temu, kiedy Dayna ciągle jeszcze leżała wszpitalu. Myślał wtedy, że siostra nie odzyska przytomności. Dodge siedział przy niej cały czas, wychodził jedynie do toalety, na parking na papierosa ipo kawę do bufetu. Wreszcie mama nakłoniła go, by poszedł do domu iodpoczął.

Poszedł do domu, ale nie miał zamiaru odpoczywać. Wszedł tam tylko po to, żeby zabrać z kuchni nóż rzeźnicki, a z szafy kij bejsbolowy oraz parę starych rękawic narciarskich, których – ztego co wiedział – nikt z jego rodziny nigdy nie używał.

Trochę mu zajęło odnalezienie domu Raya i Luke'a. Było ciemno, a on półprzytomny jechał na rowerze, wściekły, zmęczony upałem, niewyspany. Aż go dusiło ze złości, gniew ściskał mu gardło i boleśnie szarpał wnętrzności. Wreszcie udało się – stał przed dwupiętrowym, poszarzałym budynkiem, który może prezentował się dobrze jakieś sto lat temu.

Teraz dom przypomniał człowieka, którego dusza została wessana do środka – przygnębionego i zapadniętego w sobie, zszeroko otwartymi, dzikimi oczami. Dodge'owi zrobiło się żal. Pomyślał o swoim małym mieszkaniu za Dot's, o mamie, która wkładała żonkile do starego słoika na parapecie i co niedziela sprzątała wszystko na błysk.

Przypomniał jednak sobie, po co tu przyszedł. Zost awił rower na chodniku, założył rękawiczki i wyjął z torby kij bejsbolowy oraz nóż.

Przez chwilę stał nieruchomo, próbując zmusić stopy, by ruszyły z miejsca. Oczyma wyobraźni widział to tak: mocne kopnięcie w drzwi, krzyki, błysk noża i świst kija przecinającego powietrze. Przyszedł tu po Luke'a, tylko po niego.

To miało być łatwe. I szybkie.

Ale nie dał rady. Nogi miał zdrętwiałe, ciężkie, be zużyteczne i – jak mu się zdawało – stał tak całymi godzinami aż zaczął się bać, że już nigdy się nie ruszy, że zastygł w tej pozycji na wieki.

Nagle na ganku rozbłysło światło i Dodge zobaczył otyłą kobietę. Skóra jej twarzy wydawała się obwisła, kobieta była boso, miała na sobie koszulę nocną przypominającą namiot. Wtoczyła się na ganek i zapaliła papierosa. Matka Luke'a.

Wtedy nagle poczuł, że znów jest w stanie się poruszać. Chwiejnym krokiem wrócił po rower. Dopiero cztery przecznice dalej zdał sobie sprawę, że ciągle ma w ręku rzeźnicki nóż i że zgubił gdzieś kij bejsbolowy, pewnie na trawniku.

To było całe dwa lata temu, niemal co do dnia. Wdziennym świetle dom Raya wyglądał jeszcze gorzej. Farba łuszczyła się jak szary łupież. Ganek szpeciły dwie opony, kilka śmierdzących foteli i starahuśtawka dyndająca na zardzewiałych łańcuchach, które wyglądały jakby miały się zerwać pod byle naciskiem.

Obok drzwi z moskitierą był dzwonek, tyle że odłączony. Dodge zaczął więc walić we framugę. W odpowiedzi telewizor wśrodku nagle zamilkł. Po raz pierwszy Dodge'owi przyszło do głowy, że może to nie Ray otworzy drzwi, ale gruba kobieta, którą widział dwa lata temu albo ojciec Raya, albo jeszcze ktoś inny.

Ale to był Ray. Miał na sobie tylko krótkie sportowe spodenki. Przez ułamek sekundy zawahał się i zatrzymał, najwyraźniej przestraszony, tuż przed moskitierą.

Zanim Dodge miał szansę cokolwiek powiedzieć, Ray kopniakiem otworzył drzwi. Dodge musiał uskoczyć, żeby nie oberwać. Stracił równowagę.

– Co ty tu robisz, do cholery?

Ray wykorzystał moment zaskoczenia, złapał Dodge'a za koszulkę i popchnął. Dodge stoczył się po schodach izarył łokciami w ziemi, przygryzając sobie język.

Ray błyskawicznie przyskoczył do niego, rozwścieczony, gotowy do ataku.

– Chyba ci rozum odebrało – wyrzucił z wściekłością. Dodge odtoczył się od niego i wstał.
– Nie przyszedłem, żeby się bić.

Ray roześmiał się chrapliwie.
– Nie masz wyboru.

Znów ruszył naprzód i się zamachnął, ale Dodge zdążył już odzyskać równowagę i zrobił unik.

– Zaczekaj. – Uniósł rękę. – Tylko mnie posłuchaj, okej? Przyszedłem porozmawiać.
– Niby dlaczego miałbym z tobą gadać? – spytał Ray. Ręce miał wciąż zaciśnięte w pięści, ale już nie próbował atakować.

– Bo obaj chcemy tego samego– stwierdził Dodge. Przez chwilę Ray milczał. Rozluźnił ręce.
– Czyli…? – odezwał się wreszcie.

– Paniki. – Dodge oblizał usta. W gardle mu zaschło. – Obaj jej potrzebujemy.
W powietrzu wisiało napięcie. Ray znów zbliżył się do Dodge'a.
– Luke powiedział mi o twoich groźbach. W co próbujesz grać?

Stał tak blisko, że Dodge czuł jego oddech zalatujący płatkami kukurydzianymi i kwaśnym mlekiem. Ale się nie cofnął.

– Jest tylko jedna gra, która się liczy. Dobrze o tym wiesz. Luke też o tym wiedział. Dlatego zrobił to, co zrobił, prawda?

Po raz pierwszy Ray wyglądał na przestraszonego.
– To był wypadek – próbował tłumaczyć. – On wcale nie chciał…

– Daj spokój.
Ray pokręcił głową.
– Nie wiedziałem – rzekł. Dodge był pewien, że to również kłamstwo.

– Pomożesz mi czy nie? – zapytał.
Ray znowu wybuchnął śmiechem, ale nie było w nim radości.
– Dlaczego miałbym ci pomóc? Przecież chcesz mojej śmierci.
Dodge się uśmiechnął.
– Ale nie wten sposób – powiedział. I dokładnie to miał na myśli. – Jeszcze nie teraz.

Koło północy, gdy pogrążone we śnie Carp połysk iwało w delikatnej mgiełce deszczu, Zeva Kellera obudził uścisk twardych rąk. Zanim zdążył krzyknąć, już dławił się smakiem bawełny w ustach. Skarpeta. Apotem ktoś go podniósł i wywlókł z łóżka.

W całym tym szoku jego pierwszą myślą było, że przyszły po niego gliny. Gdyby był w stanie jasno myśleć, zdałby sobie sprawę, że napastnicy mają na głowach kominiarki. Zauważyłby, że wrzucili go do bagażnika granatowego taurusa, modelu, jakim jeździ jego brat. I że to *jest*samochód jego brata, zaparkowany tam gdzie zawsze.

Ale nie myślał jasno. Ogarnęła go panika.

Wierzgał nogami, gdy zamykano nad nim bagażnik, awidoczny pasek nieba błyskawicznie się zmniejszał. Nagle poczuł coś mokrego i zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od czasu, gdy miał pięć lat, zsikał się w majtki.

Wreszcie dotarło do niego ito, że gra jednak toczy się dalej. Aon właśnie odpadł.

ŚRODA, 13 LIPCA

HEATHER

Narada wojenna odbyła się w domu Bishopa. To była jedyna opcja. Przyczepa Heather była za mała, Dodge nie zaprosiłby ich do siebie, a rodzice Nat byli cały dzień w domu isprzątali garaż. Heather musiała zabrać ze sobą Lily. Teraz, gdy nie było szkoły, mała nie miała co ze sobą zrobić. Przeważnie jeździła sama autobusem do odległego opół godziny drogi Hudson, gdzie znajdowała się biblioteka.

Ale bibliotekę zamknię to na czas remontu. Wreszcie Lily miała dobry humor, mimo że była brudna, spocona iśmierdziała końmi. Tego ranka pomagała Heather i Anne. Przez całą drogę do domu Bishopa śpiewała piosenkę o tygrysach imachała ręką przez okno.

Bishop mieszkał w lesie. Oprócz warsztatu jego ojciec miał kiedyś też antykwariat i lombard, więc Bishop lubił mawiać o nim, że „kolekcjonuje" rzeczy. Heather zawsze groziła, że zgłosi ich do programu telewizyjnego o zwariowanych zbieraczach. Dom ipodwórze były zagracone różnymi przedmiotami, od zwykłych śmieci po prawdziwe osobliwości: zawsze stały tam przynajmniej dwa albo trzy samochody wróżnym stadium naprawy, poza tym skrzynki farb wsprayu, zardzewiałe metalowe części, stosy drewna oraz stare meble, do połowy już zapadnięte w ziemi. Lily wybiegła z samochodu z krzykiem irzuciła się pomiędzy ten labirynt staroci.

Heather zastała Nat i Bishopa za domem. Siedzieli na starej, zepsutej karuzeli. Bishop wyglądał jakby nie spał od wielu dni. Gdy zobaczył Heather, uściskał ją mocno, co raczej rzadko mu się zdarzało.

Nie była tym zachwycona. Była pewna, że cuchnie końmi.
– Co się z tobą dzieje? – spytała, odsunąwszy się od niego. Miał ciemne sińce pod oczami.
– Po prostu cieszę się, że cię widzę.

– Wyglądasz koszmarnie. – Starym zwyczajem wyciągnęła rękę, by przygładzić mu włosy, ale złapał ją za nadgarstek. Wpatrywał się w nią intensywnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jej twarzy.

– Heather…
– Heather!– wykrzyknęła w tym samym czasie Nat.

Wyglądało na to, że śmierć Billa Kelly'ego zupełnie jej nie obeszła. „No wiecie, w końcu nawet go nie znaliśmy", powiedziała kilka dni wcześniej, gdy Heather wyznała, że czuje się winna.

Heather nie czekała aż przyjaciółka się odezwie, choć to Nat zwołała to zebranie, i zmiejsca oświadczyła: – Wycofuję się. Nie będę dalej grać.

– Musimy zaczekać na Dodge'a – upomniała ją Nat.
– Nie muszę na nikogo czekać – warknęła Heather.

Spokój Nat działał jej na nerwy. Przymrużyła oczy wsłońcu, zaspana, beztroska, jakby nic się nie stało. – Wycofuję się zgry. Nie mam zamiaru nic więcej wyjaśniać.

– To chore – wtrącił Bishop gwałtownie. – Chore. Każdy przy zdrowych zmysłach…

– To chyba sędziowie nie są przy zdrowych zmysłach, co nie?– zaprotestowała Nat, odwracając się w jego stronę.
– Wszystko na to wskazuje. Słyszałeś o Zevie?

– To wcale nie… – Bishop urwał i pokręcił głową.

– Ja na przykład nie zamierzam rezygnować z szansy na zdobycie sześćdziesięciu siedmiu tysięcy dolców – oznajmiła Nat z tym samym irytującym spokojem. Pokręciła głową. – To nie w porządku zaczynać bez Dodge'a.

– Dlaczego?– rzuciła się na nią Heather. – Dlaczego tak się o niego martwisz? To *ja*zawarłam z tobą układ, pamiętasz?

Nat odwróciła wzrok i wtedy już Heather wiedziała. Poczuła w ustach smak goryczy.
– Znim też zawarłaś układ. Okłamałaś mnie.

– Nie. – Nat spojrzała na nią błagalnie. – Nie. Heather, to nie tak. Nigdy nie planowałam wchodzić z nim wukłady.

– O czym wy gadacie?– spytał Bishop. – Co ma znaczyć „wchodzić z nim wukłady"?
– Nie mieszaj się w to, Bishop– ostrzegła go Heather.

– Już jestem w to wmieszany. – Przejechał ręką po włosach i wtej właśnie chwili Heather poczuła, że już nigdy nie wrócą do tego, co było: do żartów z jego włosów,

do pakowania na nie tony żelu i układaniu ich tak, by stały sztywno jak druty. – Wkońcu jesteście w moim domu.

– To już nie jest zabawa – powiedziała Heather. Wszystko wymykało się spod kontroli. – Jeszcze to do was nie dotarło? Zginął *człowiek*.

– Jezu. – Bishop usiadł ciężko, pocierając oczy, jakby dopiero po słowach Heather fakt ten nabrał realności.

– Dlaczego zaczęłaś w to grać? – Nat się podniosła w chwili, wktórej Bishop usiadł. Miała ręce skrzyżowane na piersi irytmicznie uderzała językiem o podniebienie.– Jeśli nie chciałaś ryzykować, jeśli to dla ciebie za dużo, to po co zaczynałaś? Bo głupi Matt Hepley cię rzucił? Bo miał już dość zadawania się z taką cnotką?

Heather zatkało. Była świadoma, że całe powietrze uchodzi z niej z sykiem.

Bishop podniósł wzrok.
– Nat – skarcił ją ostrym tonem.

Sama Natalie wyglądała na zaskoczoną swoimi słowami izaraz na jej twarzy odmalowało się poczucie winy.

– Przepraszam– rzuciła szybko, unikając wzroku Heather.– Nie chciałam…
– Co straciłem?

Heather odwróciła się. Z labiryntu rupieci właśnie wyłonił się Dodge. Zastanawiała się, jak cała ta scena wyglądała w jego oczach – Nat czerwona ze wstydu, Bishop zprzerażonym wzrokiem, blady jak trup, i ona, zwszystkich sił próbująca powstrzymać łzy, wciąż mokra od potu.

I wszyscy wściekli – ta wściekłość była wręcz namacalna.
Nagle do Heather dotarło, że cała sytuacja też była wynikiem gry, była jej integralną częścią.

Dodge wydawał się nieświadomy całego napięcia.
– Mogę zapalić? – zapytał Bishopa. Ten przytaknął. Wtedy wtrąciła się Heather:

– Wycofuję się z gry. Tak powiedziałam i tego właśnie chcę. Ta gra powinna się zakończyć…

– Ta gra się nigdy nie kończy – powiedział Dodge. Nat odwróciła się do niego plecami i na chwilę, ale tylko na chwilę, opuściła go pewność siebie. Heather

poczuła ulgę. Dodge zmienił się tego lata. Nie był już tym przygarbionym dziwakiem, outsiderem, który przez trzy lata nie odzywał się do nikogo. Było tak, jakby gra jakoś go *karmiła*; jakby dzięki niej rósł. – Słyszeliście o Zevie?– Wypuścił zust smużkę dymu. – To moja sprawka.

Nat spojrzała na niego.
– Twoja?
– Moja i Raya Hanrahana.
Zapadła cisza.
– Co?– Heather wkońcu odzyskała głos.

– My to zrobiliśmy. – Dodge zaciągnął się ostatni raz izgniótł niedopałek obcasem kowbojskiego buta.
– To wbrew zasadom– zaprotestowała Heather. – Przecież to sędziowie ustalają zadania.

Dodge pokręcił głową.
– To Panika. Tu nie ma zasad.

– Dlaczego?– Bishop bawił się płatkiem lewego ucha. Był wściekły i starał się tego po sobie nie okazać, ale ten gest go zdradzał.

– By przekazać wiadomość sędziom oraz pozostałym graczom. Gra będzie się toczyć dalej, tak czy inaczej. Nic tego nie powstrzyma.

– Nie masz prawa – wycedził Bishop.
Dodge wzruszył ramionami.
– Co jest prawem? A co bezprawiem?
– A co z glinami? Ipożarem? Co z Billem?

Nikt nie odpowiedział. Heather zdała sobie sprawę, że z nerwów cała dygocze.

– Ja ztym skończyłam – oznajmiła.
Odwróciła się i mało nie wpadła na zardzewiały pie

cyk, zaznaczający wraz z przewróconym rowerem początek wąskiej ścieżki, która wiła się przez labirynt rupieci wstronę domu. Bishop krzyknął za nią, ale go zignorowała.

Znalazła Lily przykucniętą na niezagraconym kawałku podwórza. Mała spryskiwała trawę znalezioną gdzieś jasnoniebieską farbą.

– Lily – rzuciła Heather ostrym tonem. Mała upuściła puszkę i podniosła się z miną winowajcy. – Idziemy – zakomenderowała.

Twarz Lily znów spochmurniała, między jej brwiami pojawiła się mała zmarszczka. Można było odnieść wrażenie, że dziewczynka w momencie skurczyła się ipostarzała. Heather przypomniał się wieczór, kiedy Lily wyszeptała: „Czy ty umrzesz?”, i poczucie winy uderzyło ją mocno w brzuch, niczym pięść. Nie wiedziała, czy dobrze robi. Wydawało się jej, że nic, co robi, nie jest właściwe.

Ale to, co się przydarzyło Billowi Kelly’emu, było złe. Iudawanie, że nic się nie stało też było złe. Tyle akurat wiedziała.

– Co się z tobą dzieje? – burknęła Lily, wydymając dolną wargę.

– Nic. – Heather chwyciła ją za nadgarstek. – Chodź.
– Nie pożegnałam się z Bishopem– jęknęła mała.
– Zrobisz to następnym razem – warknęła Heather

i niemal siłą zaciągnęła Lily do samochodu. Już nie słyszała Nat, Bishopa ani Dodge’a. Zastanawiała się, czy rozmawiają teraz o niej. Chciała opuścić to miejsce jak najszybciej. Prowadziła w ciszy, ściskając kierownicę tak mocno, jakby się bała, że może wyślizgnąć się jej z rąk.

ŚRODA, 20 LIPCA

HEATHER

Pogoda zrobiła się paskudna. Było zimno i mokro, ziemia zmieniła się w błoto. Przez dwa dni Heather nie miała żadnych wiadomości od Nat, a sama nie chciała się odzywać pierwsza. Wymieniała SMS–y z Bishopem, ale nie miała ochoty się z nim spotykać, więc żeby dotrzeć do pracy, musiała tłuc się autobusem do 7–Eleven, apotem iść ponad kilometr wulewie. Na miejsce docierała przemoczona do suchej nitki. Kolejne godziny spędzała wdeszczu, rzucając kurczakom mokrą karmę i znosząc narzędzia do szop, żeby nie zardzewiały.

Chyba tylko tygrysy były w bardziej opłakanym stanie niż ona. Gdy siedziały przycupnięte pod klonem, obserwując ją w trakcie pracy, zastanawiała się, czy tak samo jak ona marzą o odległych miejscach. Upał, spalona słońcem trawa, ogromna tarcza słońca. Po raz pierwszy uderzyło ją, jakie to samolubne ze strony Anne trzymać je tutaj, w tym koszmarnym klimacie, gdzie po upalnym lecie następują ulewne deszcze, apo nich śnieg i mróz.

Krążyły pogłoski, że policja znalazła dowód na po dpalenie domu Graybillów. Przez cały dzień Heather – pewna, że dowodem była jej torba – czekała wmęczarniach, aż zjawi się policja i zaciągnie ją na posterunek. Co się z nią stanie, jeśli oskarżą ją o morderstwo? Miała osiemnaście lat. To oznaczało, że wyląduje wprawdziwym więzieniu, a nie w poprawczaku.

Ale kiedy minęło kilka dni i okazało się, że nikt jej nie szuka, nieco się uspokoiła. W końcu to nie ona zapaliła tę głupią zapałkę. Tak właściwie, gdyby o tym pomyśleć, to wszystkiemu winien był Matt Hepley. To on powinien zostać aresztowany. I Delaney też.

O Panice nie było żadnych wieści. Posunięcie Dodge’a najwyraźniej wcale nie pobudziło sędziów do działania. Heather zastanawiała się, czy chłopak jeszcze spróbuje, ale zaraz przypomniała sobie, że to już nie jej sprawa.

W każdym razie padało – typowa pogoda wśrodku lipca wpółnocnej części stanu Nowy Jork, bujnej, zielonej i wilgotnej jak lasy deszczowe.

Mama zachorowała. Twierdziła, że od wilgoci coś robi się jej w płucach. Heather powstrzymała się od uwagi, że jej płucom najlepiej by zrobiło, gdyby przestała palić paczkę mentoli dziennie. Krista zadzwoniła do pracy, że jest chora, ileżała na

kanapie zamroczona lekami na przeziębienie. Wyglądała jak wzdęte zwłoki wyrzucone na brzeg przez ocean.

Heather mogła przynajmniej skorzystać z samochodu. Bibliotekę znowu otwarto. Podrzuciła tam Lily.

– Podjechać po ciebie, gdy będę wracać? – spytała. Lily znowu stroiła fochy.

– Nie jestem dzieckiem– burknęła, wysiadając z auta. Nie zabrała ze sobą parasola.
– Pojadę autobusem.
– Aco z…? – Zanim Heather miała okazję przypomnieć siostrze o parasolu, ta zdążyła już trzasnąć drzwiami iruszyła w stronę biblioteki przez ciemne, błotniste kałuże.

Pomimo deszczu Heather była w całkiem niezłym nastroju. Lily miała prawie dwanaście lat. Było normalne, że o wszystko się dąsa. Może to był nawet dobry znak. Świadczył o tym, że dorasta prawidłowo, tak jak każda inna nastolatka– że może nie będzie popaprana tylko dlatego, że wychowała się w przyczepie pełnej dymu z fajek palonych przez Kristę i mrówek, które łaziły nawet po sztućcach.

Poza tym policja wciąż nie zapukała do jej drzwi iwciąż nie było ani słowa o Panice.

Tego dnia miała mnóstwo do roboty. Anne poprosiła ją, by wywaliła gnój ze stajni, apotem razem uszczelniały fragment piwnicy wmiejscu, gdzie deszcz przeciekał do środka i od wilgoci ściany pokryły się grzybem. Anne wyjątkowo zatrzymała ją na cały dzień. Dochodziła siedemnasta, ale Heather nawet nie wiedziała, która jest godzina. Lało jak z cebra, ściana deszczu przywodziła na myśl drżące ostrza gigantycznej gilotyny.

Gdy Anne przygotowywała herbatę, Heather spojrzała na telefon po raz pierwszy od kilku godzin iżołądek się jej wywrócił – miała dwanaście nieodebranych połączeń od Lily.

Poczuła taki ścisk w gardle, że z trudem mogła oddychać. Od razu wybrała numer siostry. Przekierowało ją na pocztę głosową.

– Co się dzieje, Heather? – Anne stała przy piekarniku. Jej skręcone siwe włosy tworzyły wokół twarzy dziwną aureolę.

– Muszę iść – rzuciła tylko w odpowiedzi.

Nie pamiętała potem, jak wsiadała do samochodu ani jak ruszała. Nie pamiętała drogi do biblioteki, jednak jakoś tam dotarła. Zaparkowała samochód, nawet nie zamknęła drzwi. Wniektóre kałuże wpadała po kostki, ale się tym nie przejmowała. Pobiegła do wejścia. Biblioteka była zamknięta od godziny.

Krążyła po parkingu, wołając siostrę po imieniu. Gdy biegała po sąsiednich ulicach, szukając Lily, wyobrażała sobie wszystkie te straszne rzeczy, które mogły ją spotkać
– że została ranna, porwana, zamordowana – i z wszystkich sił próbowała nie stracić kontroli nad sobą, nie zwymiotować ani się nie załamać.

Wreszcie stwierdziła, że nie ma wyjścia, musi wrócić do domu izadzwonić na policję.
Zalała ją kolejna fala paniki. To się działo naprawdę.

Droga wiodąca do Fresh Pines była błotnista, pełna kolein ikałuż. Heather przejechała przez nie wpodskokach, koła co chwila grzęzły w błocie. Jej osiedle wyglądało smutniej niż zazwyczaj: deszcz bębnił oprzyczepy, ściekał z wiszących przed nimi ozdób iwylewał się z palenisk.

Jeszcze zanim zatrzymała samochód, dostrzegła Lily – przycupnęła pod wątłą brzozą pozbawioną większości liści, zaledwie pięć metrów od wejścia do ich przyczepy, idrżąc na całym ciele, obejmowała nogi rękami. Heather sama nie wiedziała, kiedy zaparkowała, i już po chwili biegła, rozchlapując wodę, by chwycić Lily w ramiona.

– Lily!– Nie chciała wypuścić siostry z objęć. Jest, jest, jest. Bezpieczna. – Wszystko dobrze? Wszystko wporządku? Co się stało?

– Zimno mi – wymamrotała Lily z twarzą wtuloną wramię siostry. Serce Heather się ścisnęło. Oddałaby królestwo za koc.

– Chodź – powiedziała. – Wejdziemy do środka. Lily wygięła się do tyłu, najeżona. Spojrzała na Heather dzikim wzrokiem.
– Nie pójdę tam – oznajmiła. – Nie chcę tam iść!

– Lily. – Deszcz ściekał Heather po twarzy, gdy przykucnęła, by spojrzeć siostrze w oczy. Usta małej zaczynały sinieć. Boże. Jak długo tu siedziała? – Co się dzieje?

– Mama kazała mi się wynosić – odparła Lily i dodała ciszej łamiącym się głosem:
– Kazała… kazała mi się iść pobawić na zewnątrz.

Coś w Heather pękło. W tej właśnie chwili dotarło do niej, że przez całe swoje życie budowała w sobie mury obronne, aza nimi narastało ciśnienie. Teraz tama pękła iwszystko się przelało, a ona tonęła w gniewie inienawiści.

– Chodź – powiedziała. Była zaskoczona, że mówiła spokojnym tonem, podczas gdy wśrodku niej aż się kotłowało, czarna dziura zasysała wszystko. Wzięła Lily za rękę. – Usiądziesz sobie w samochodzie, dobrze? Włączę ogrzewanie. Tambędzie sucho i przyjemnie.

Zabrała Lily do auta. Na tylnym siedzeniu leżał stary podkoszulek należący do Kristy. Śmierdział papierosami, ale przynajmniej był suchy. Heather pomogła Lily zdjąć mokrą koszulkę, rozwiązała jej buty i zdjęła przemoczone skarpetki, apotem mała przyłożyła stopy do dmuchawek, zktórych zaczęło lecieć ciepłe powietrze. Przez cały czas Lily była bezwolna, posłuszna, jakby uszło z niej całe życie. Heather działała bez zastanowienia.

– Zaraz wracam– rzuciła siostrze. Nie czuła wypowiadanych przez siebie słów, jakby to nie ona mówiła. Pulsujący gniew wygnał z niej świadomość wszystkiego innego.

Bum, bum, bum.

Dochodząca z przyczepy muzyka dudniła tak głośno, że aż ściany drżały. Mimo spuszczonych żaluzji widać było, że w środku pali się światło. Widziała kołyszącą się sylwetkę, być może w tańcu. Przedtem nie zwróciła na to uwagi, zbyt martwiła się o Lily. Ciągle miała przed oczami małą postać skuloną pod smutną brzozą, właściwie jedynym drzewem, jakim mogło pochwalić się Fresh Pines.

„Mama kazała mi się wynosić. Kazała mi się iść pobawić na zewnątrz”.
Bum, bum, bum.

Już była u drzwi. Zamknięte. Zza nich dobiegł ją piskliwy śmiech. Jakoś udało jej się włożyć klucz do zamka. Nie trzęsła się zatem i pomyślała, że to dziwne. A potem jeszcze,że mimo wszystko mogłaby wygrać Panikę.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

W środku siedzieli Krista, Bo i Maureen z przyczepy numer dziewięćdziesiąt dziewięć. Znieruchomieli, Heather też. Poczuła się tak, jakby weszła na scenę i zapomniała swojej roli – nie była w stanie oddychać, nie wiedziała, co robić. Lampa świecąca pod sufitem ją raziła. Cała trójka przypominała aktorów oglądanych ze zbyt małej odległości. Byli zbyt mocno wymalowani. Do tego

makijaż był koszmarny. Wyglądał jakby zaczynał spływać z ich twarzy, powoli je deformując. Ich oczy były jasne, błyszczące, jak u lalek.

Heather zobaczyła wszystko naraz: błękitną mgiełkę dymu, puste butelki po piwie, kubki służące za popielniczki, zktórych wysypywały się pety, i butelkę wódki, opróżnioną do połowy.

A na stole mały niebieski plastikowy talerzyk Lily, na którym wciąż widać było słaby zarys postaci z Ulicy Sezamkowej, zakryty ścieżkami białego proszku.

Wszystko to uderzyło w Heather niemal fizycznie, jakby ktoś z całej siły kopnął ją w brzuch. Pociemniało jej w oczach. Talerz. Talerzyk Lily.

Krista chwiejnym gestem wzięła papierosa do ust, ledwo trafiła.

– Heather Lynn – wybełkotała. Poklepała się po koszuli, jakby w poszukiwaniu zapalniczki.– Co się dzieje, kochanie? Dlaczego gapisz się na mnie jak na…

Heather rzuciła się do przodu. Zanim jej matka d okończyła zdanie, zanim ona sama zdała sobie sprawę, co robi, cały jej gniew spłynął do rąk. Chwyciła za niebieski talerzyk, poprzecinany białym proszkiem jak bliznami inim cisnęła.

Maureen krzyknęła, Bo wrzasnął. Kriście ledwo udało się zrobić unik. Próbowała się wyprostować, ale zachwiała się i wylądowała na kolanach siedzącej na fotelu Maureen, która wtedy krzyknęła jeszcze głośniej. Talerz z hukiem uderzył o ścianę i nagle wpowietrzu niczym śnieg zaczął wirować biały proszek. Byłoby to całkiem zabawne, gdyby nie było takie straszne.

– Co jest, do cholery?– Bo zrobił dwa kroki w stronę Heather iprzez chwilę myślała, że ją uderzy. Ale on tylko stał, z zaciśniętymi pięściami, czerwony na twarzy iwściekły. – Co jest, *do cholery?*

Kriście udało się podnieść.
– Za kogo się niby uważasz, co?

Dobrze, że oddzielał je stolik. Gdyby nie to, Heather nie była pewna, co mogłaby zrobić. Miała ochotę zamordować matkę. Dosłownie ją zamordować.

– Brzydzę się tobą – rzuciła zduszonym głosem. Miała wrażenie, jak gdyby coś oblepiło jej gardło.

– Wynocha. – Twarz Kristy powoli odzyskiwała kolory. Mówiła coraz bardziej

podniesionym głosem i trzęsła się, jakby zaraz miała eksplodować. – Wynocha! Słyszysz mnie? Wynocha! – Złapała butelkę wódki i nią rzuciła. Na szczęście była zbyt wolna i Heather bez trudu zrobiła unik. Usłyszała trzask rozbijanego szkła i plusk wylewającego się płynu. Bo powstrzymał Kristę, łapiąc ją za ramiona, ale ona wciąż piszczała i wiła się jak piskorz, atwarz miała czerwoną, wykrzywioną i straszną.

Nagle cały gniew uleciał z Heather. Nie czuła absolutnie niczego. Żadnego bólu. Żadnego gniewu. Ani strachu. Nic poza odrazą. Miała wrażenie, jakby unosiła się nad ziemią i obserwowała tę scenę z wysoka.

O dwróciła się i ruszyła do sypialni. Najpierw sprawdziła w górnej szufladzie plastikowe puzderko, gdzie trzymała kolczyki. Zostało czterdzieści dolarów, reszta zniknęła. No jasne. Mama jej ukradła.

Nie poczuła kolejnej fali gniewu, tylko nowy rodzaj odrazy. Zwierzęta. Wszyscy troje byli jak zwierzęta, aKrista była z nich wszystkich najgorsza.

Schowała pieniądze do kieszeni i przeszła szybko przez pokój, wpychając do plecaka Lily buty, spodnie, podkoszulki ibieliznę. Kiedy plecak był pełen, zawinęła resztę rzeczy wkoc. Będą potrzebowały czegoś do okrycia. Iszczoteczek do zębów. Przypomniało jej się, że kiedyś przeczytała w jakiejś gazecie, że szczoteczki są rzeczą najczęściej zapominaną przez podróżnych. Ale ona nie zapomniała. Była spokojna, myślała trzeźwo. Nad wszystkim panowała.

Zarzuciła plecak na jedno ramię – był mały iniewygodny. Biedna Lily. Heather chciała wziąć jeszcze jedzenie zkuchni, ale to by oznaczało, że musi przejść obok mamy, Bo iMaureen. Postanowiła więc sobie darować. I tak pewnie niewiele było do zabrania.

W ostatniej chwili sięgnęła po leżącą na komodzie różę z metalu, którą zrobił dla niej Bishop. Miała nadzieję, że przyniesie jej szczęście.

Wzięła koc w ramiona, teraz ciężki od wszystkich tych ubrań i butów, i bokiem wysunęła się zpokoju. Bała się, że mama będzie próbowała ją zatrzymać, ale niepotrzebnie. Krista siedziała na kanapie i szlochała w objęciach Maureen. Jej strąkowate włosy były rozczochrane. Heather usłyszała słowa: „Wszystko musiałam zrobić… sama”. Dotarły do niej tylko strzępy zdania, Krista była zbyt pijana ibełkotała niezrozumiale. Bo zniknął. Z narkotyków został tylko biały nalot na dywanie, więc może poszedł po więcej.

Heather popchnęła drzwi. To było bez znaczenia. I tak nigdy go już nie zobaczy. Ani

mamy, ani Maureen, ani wnętrza tej przyczepy. Gdy schodziła po schodach, przez moment czuła, że zbiera jej się na płacz. Nigdy więcej – ta myśl przyniosła jej tak ogromną ulgę, że nogi się pod nią ugięły i omało się nie przewróciła.

Ale nie mogła się rozpłakać, jeszcze nie. Musiała być silna dla Lily.

Lily spała na przednim siedzeniu. Miała otwarte usta, ajej włosy unosiły się lekko w ciepłym powietrzu. Wreszcie wargi dziewczynki odzyskały swój normalny kolor, aona sama już się nie trzęsła.

Otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy samochód po dskoczył przy wyjeździe z osiedla na drogę numer dwadzieścia dwa.

– Heather?– odezwała się cichutko.
– Co tam, żabko? – Heather próbowała się uśmiechnąć, ale nie dała rady.

– Nie chcę tam wracać. – Mała odwróciła się i oparła czoło o szybę. Odbicie jej twarzy było wąskie i blade, jak płomień świecy.

Heather zacisnęła palce na kierownicy.

– Nie wrócimy tam – powiedziała, a słowa te miały posmak wymiocin. – Nigdy tam nie wrócimy, jasne? Obiecuję.
– To gdzie teraz pojedziemy?– zapytała Lily.

Heather wyciągnęła rękę i ścisnęła kolano siostry. Jej dżinsy wreszcie wyschły.

– Coś wymyślimy, okej? Wszystko będzie dobrze. – Wciąż lało jak z cebra. Samochód tworzył na drodze fale, które wpadały z chlupotem do rynsztoków. – Wierzysz mi, prawda?

Lily skinęła głową, nie odwracając twarzy od szyby.
– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła Heather, cofnęła rękę i obie dłonie mocno zacisnęła na kierownicy.

Zrozumiała, że nie może jechać ani do Bishopa, ani do Nat. Zabrała samochód mamy i nie zamierzała go zwracać, co wsumie można uznać za kradzież. A właśnie od domów jej przyjaciół zacznie poszukiwania jej matka, gdy wytrzeźwieje i uświadomi sobie, co się stało.

Czy zadzwoni na policję? Czy policja namierzy He ather? Może Krista przekona ich, że Heather jest kryminalistką i to ją obarczą winą za pożar w domu

Graybillów?

Ale nie było sensu teraz się tym martwić.

Nikt nie mógł się dowiedzieć. Wszystko sprowadzało się właśnie do tego. Przez następne kilka tygodni ona i Lily będą musiały być bardzo, bardzo ostrożne. Wyjadą z Carp, gdy tylko zdobędą wystarczającą ilość pieniędzy. A do tego czasu będą się musiały ukrywać. Trzeba też będzie ukryć samochód i korzystać z niego jedynie w nocy.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł: Meth Row. Wzdłuż tej ulicy stały stare auta i opuszczone domy. Nikt nie zauważy kolejnego grata.

Lily znowu zasnęła i pochrapywała cichutko. Meth Row wyglądała nawet bardziej przygnębiająco niż zwykle. Deszcz zamienił dziurawą drogę w błoto i Heather ztrudem udawało się utrzymać kierownicę. Trudno było stwierdzić, który dom jest zajęty, a który nie, ale wreszcie znalazła miejsce obok szopy na narzędzia i starego buicka, zktórego została właściwie tylko metalowa rama. Zaparkowała samochód tak, że nie było go widać z drogi.

Wyłączyła silnik. Lepiej nie marnować paliwa. Teraz trzeba oszczędzać wszystko.

Wygodniej by im było na tylnym siedzeniu, ale Lily już spała, a Heather nie sądziła, żeby ona sama w ogóle była w stanie zasnąć – nie było jeszcze szóstej – więc sięgnęła do tyłu i wyrzuciła wszystkie rzeczy z koca. Rzeczy, które jeszcze godzinę temu leżały na ich łóżkach, na podłodze ich sypialni. Ich domu.

„Bezdomne”. Słowo to przyszło jej do głowy po raz pierwszy, ale natychmiast wypchnęła je z umysłu. Było brzydkie, śmierdzące.

„Uciekinierki” było lepsze, nieco bardziej wyrafinowane.

Przykryła Lily kocem, delikatnie, żeby jej nie obudzić. Znalazła z tyłu bluzę z kapturem iwłożyła ją na podkoszulek, nasunęła kaptur i mocno ściągnęła sznurki. Na szczęście było lato i nie groziło jej, że *zbytnio* zmarznie.

Uświadomiła też sobie, że powinna wyłączyć telefon, by oszczędzać baterie. Ale zanim to zrobiła, wysłała SMS– a do Nat iDodge’a. Dołączyła do adresatów również Bishopa. Tak jak powiedział, niezależnie od wszystkiego już był w to zamieszany.

Zmieniłam zdanie – napisała. − Wracam do gry. Teraz już grała na serio. Dla Lily.

Nat może zapomnieć o obietnicy. Pieniądze będą jej, i tylko jej.

Tej samej nocy, kiedy Heather wreszcie zasnęła zgłową wtuloną w przednie siedzenie taurusa, kiedy Nat leżała zwinięta na łóżku z komputerem iszukała winternecie śmiesznych filmików, kiedy nawet zamykano już bary i ludzie, którzy chcieli się napić, musieli to robić pod chmurką albo na parkingu 7–Eleven, właśnie wtedy Ellie Hayes obudziły dwie zamaskowane postacie. Brutalnie postawiono ją na nogi i zakuto jej ręce w kajdanki zprzodu ciała, jakby była więźniem.

Jej rodzice wyjechali na tydzień – gracze wiedzieli więc, co robią. Jej starszy brat Roger, usłyszawszy hałas iodgłosy szamotaniny, wpadł na korytarz z kijem bejsbolowym. Ale Ellie krzyknęła tylko:

– To Panika! – IRoger opuścił kij, pokręcił głową, po czym wrócił do swojego pokoju. On też kiedyś w to grał.

Oprócz głębokiej wody Ellie najbardziej bała się z amkniętych przestrzeni, odczuła więc ulgę, gdy okazało się, że nie wpakowano jej do bagażnika, tylko wepchnięto na tylne siedzenie jakiegoś nieznanego samochodu.

Miała wrażenie, że jechali przez całą wieczność, wkażdym razie na tyle długo, że znużona, przysnęła. Nagle samochód się zatrzymał, Ellie obudziła się i zobaczyła ogromny, pusty parking, otoczony siatką z drutem kolczastym. Zanim zgasły reflektory zauważyła zniszczoną tablicę przyczepioną do smutnego, podupadłego budynku.

WITAMY NA BASENIE DENNY. CZYNNE OD CZERWCA DO SIERPNIA, OD 9:00 DO ZMROKU.

Kłódka przy wejściu była otwarta. Ellie przypomniała sobie, gdy przechodzili przez bramę, że zeszłego lata Ray Hanrahan wykonywał na basenie prace remontowe. Czyżby to była jego sprawka?

Przeszli po mokrej trawie, chlupoczącym błocie, aż znaleźli się na brzegu basenu, którego tafla migotała wświetle księżyca, delikatnie oświetlona od dołu zamontowanymi na dnie lampkami.

Wszechogarniający strach dopadł Ellie na nowo.

– Chyba was pogięło. – Stała na brzegu przy głębinie, chciała się cofnąć, ale nie mogła się ruszyć. Zbyt mocno ją trzymali. Poczuła, jak jakiś metalowy przedmiot wrzyna jej się w dłonie, i instynktownie zacisnęła wokół niego palce, zbyt

przerażona, by się zastanowić, co to takiego. – Jak niby mam…?

Nie pozwolono jej dokończyć. Została brutalnie wepchnięta do wody, głową naprzód.
Głęboka woda. Mnóstwo wody, wdzierającej się wszędzie: do ust, oczu, nosa.

Wyciągnięto ją na brzeg po jakiejś minucie, ale potem przysięgała, że spędziła pod wodą co najmniej pięć minut, albo nawet siedem. Niekończące się sekundy, kiedy serce jej waliło jak młotem, w uszach jej dudniło, kiedy płuca błagały o powietrze, anogi wierzgały, szukając punktu oparcia. Sekundy paniki tak totalnej, tak wszechogarniającej, że dopiero gdy była znowu na powierzchni i zulgą głęboko oddychała, uświadomiła sobie, że cały czas ściskała w rękach mały metalowy kluczyk, który pasował do jej kajdanek.

Hazardowe zagrywki Dodge'a wreszcie się opłaciły. Rano historia Ellie rozniosła się wśród nastolatków, a do południa znów pojawiły się kupony zakładowe. Tym razem podawano je zrąk do rąk, ostrożnie, w tajemnicy. Zarówno Zev Keller, jak i Ellie Hayes oblali indywidualne zadania i wypadli z gry. Tak samo jak Colin Akinson. On jako pierwszy zwiał z domu Graybillów – plotka głosiła, że biegł przed siebie aż zatrzymał się dopiero u granic Massachusetts.

Dodge, Ray, Heather iNat wciąż byli w grze. Tak samo jak Harold Lee, Kim Hollister i Derek Klieg. Zostało tylko siedmiu graczy.

ŚRODA, 27 LIPCA

DODGE

W grze nie było już żadnej radości – żadnej lekkości ani humoru. Panika, oile Dodge się orientował, nigdy nie była taka poważna. Nigdy też nie była rozgrywana w takiej tajemnicy. Chodziło o coś więcej niż strach przed złamaniem zakazu dalszego prowadzenia gry. Policja wciąż szukała winnego pożaru w domu Graybillów i śmierci Małego Billa.

Najwyraźniej nawet sędziowie stracili poczucie h umoru. Kolejny e–mail, który od nich przyszedł, kilka dni po wyeliminowaniu Ellie zgry, był do bólu rzeczowy:

Malden Plaza, przy drodze I–87. Środa, 21:00.

Bishop prowadz ił. Stało się to już niemal tradycją – Heather siedziała obok niego, a Nat i Dodge ztyłu. Nat przez całą drogę bębniła knykciami o szybę, nieświadomie wybijając jakiś tylko sobie znany rytm. Mogłoby się wydawać, że jadą po prostu na wieczorny wypad do galerii handlowej. Tyle że Heather wyglądała na wykończoną iciągle ziewała, a Bishop ledwo się odzywał, spytał tylko cicho, co się dzieje.

– Dlaczego niby zakładasz, że coś się dzieje? – warknęła. Dodge mimowolnie przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Twoja mamadzwoniła – rzekł Bishop po chwili milczenia. – Powiedziała, że dawno nie było cię w domu.
– Pomieszkuję u Anne od kilku dni. Nic mi nie jest.
– Powiedziała też, że zabrałaś jej samochód.
– Więc teraz jesteś po jej stronie?

Wyglądało na to, że Bishop był na pogrzebie Małego Billa. Na lusterku wstecznym, zawieszony na wstążce niczym jakiś talizman, wisiał program uroczystości żałobnych zwizerunkiem anioła. Dodge'owi wydało się dziwne, że Bishop postanowił go tu zawiesić. Nie wydawał się przesądny. Ale tak naprawdę Dodge słabo go znał. Nie rozumiał na przykład, dlaczego zachowywał się tak, jakby sam uczestniczył w grze, albo czemu czuł się winny zpowodu śmierci Billa Kelly'ego.

Kiedy minęli wieże ciśnień, Dodge spojrzał przez szybę i przypomniał sobie tamtą noc, kiedy on, Nat iHeather ukrywali się przed glinami. Nagle poczuł smutek, że czas tak nieubłaganie pędzi do przodu. Był jak fala powodziowa– zostawiał za sobą

tylko śmieci.

Niebo dławiło się pod masami ciemnych chmur, ale przynajmniej przestało wreszcie padać. Jakimś cudem słońce się przedarło i gruby promień światła padł na szosę. Ale droga do Malden Plaza była długa – musieli zrobić objazd, by dostać się do północnej części galerii – i zanim dojechali, słońce zdążyło już zajść.

Na parkingu stało kilkadziesiąt samochodów osob owych, większość w pobliżu McDonald'sa, oraz parę osiemnastokołowych ciężarówek, które pewnie były w trasie zAlbany do Kanady. Przez wielkie wahadłowe drzwi wyszła jakaś rodzina, wszyscy mieli w rękach papierowe torby z fast foodami oraz wielkie kubki znapojami. Dodge zastanawiał się, dokąd jadą. Pewnie gdzieś, gdzie jest lepiej niż w Carp.

Zawodnicy zaparkowali możliwie najdalej od b udynku galerii, na skraju parkingu, gdzie przy chodniku rosły drzewa i gdzie było dużo ciemniej. Siedmiu graczy itylko dwudziestu paru widzów. Dodge był zaskoczony, że pojawił się Diggin. W świetle wysokich lamp jego twarz wydawała się zielonkawa, jakby zbierało mu się na mdłości.

– Zasady są proste. – Diggin musiał przekrzykiwać ryk samochodów pędzących za jego plecami. I–87, oddzielona od parkingu jedynie marną, wysoką do połowy łydki barierką, była trzypasmową autostradą. – Każdy z was musi przejść na drugą stronę. Pierwsza piątka z najlepszym czasem zostaje wgrze. Pozostała dwójka odpada.

– Idę pierwszy.– Ray wystąpił naprzód.

Ani razu nie spojrzał na Dodge'a. Między nimi było coś w rodzaju tymczasowego zawieszenia broni. To było dziwne. Poza Lukiem Dodge chyba nikogo na świecie nienawidził tak bardzo jak Raya. A mimo to Ray znał więcej jego sekretów niż ktokolwiek inny.

– Chcę to mieć za sobą.
– Zaczekaj. – Diggin wyjął z kieszeni pasek czarnego materiału i go strzepnął. Chłopak naprawdę był przygnębiony. – Musisz jeszcze założyć to.

– Co to jest?– spytał Ray, choć od razu było widać, że to opaska na oczy.

Nat i Heather wymieniły spojrzenia. Dodge wiedział, co sobie pomyślały. W Panice nic nie było tak proste, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Zawsze musiał być jakiś haczyk.

Diggin się zawahał. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby sam zamierzał zawiązać Rayowi oczy.
Ray rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Daj mi to – rzekł i wyrwał Digginowi opaskę z rąk. Diggin cofnął się szybko z wyraźną ulgą. Ray założył opaskę i zawiązał ją sobie z tyłu głowy.

– Teraz zadowoleni?– rzucił w przestrzeń.

Dodge w ystąpił z szeregu istanął tuż przed Rayem. Zamachnął się i zatrzymał pięść tuż przed jego nosem. Nat jęknęła, Diggin krzyknął. Ale Ray ani drgnął.

– Wporządku – stwierdził Dodge. – Rzeczywiście nic nie widzi.
– Nie ufasz mi, Mason?– Usta Raya wykrzywiły się wuśmiechu.

– Ani odrobinę – odparł Dodge.
Diggin musiał pomóc Rayowi podejść do barierki

odgradzającej parking od wąskiego pasma trawy i żwiru, który biegł wzdłuż pobocza autostrady. Ciężarówki mijały ich zrykiem, wypluwając z siebie gorące spaliny. Jakiś samochód zatrąbił, kiedy Ray przeszedł po omacku przez barierkę, i Dodge wyobraził sobie, jak auto nagle skręca, blask reflektorów pada na Raya, który nieruchomieje i… bum.

Ale to nastąpi później.

– Czas start!– krzyknął Diggin. Cały czas miał telefon wpogotowiu. Dodge zauważył, że Bishop stoi nieco z boku, ajego usta poruszają się niczym w cichej modlitwie. Twarz miał straszną, jakby wykrzywioną jakimś cierpieniem.

W tym momencie wsercu Dodge’a zrodziło się pewne podejrzenie. Amoże raczej przeczucie.
Szybko przepędził tę myśl. To niemożliwe.

– Minęło dziesięć sekund – oznajmił Diggin. Dodge znowu popatrzył w stronę autostrady. Ray wciąż się wahał, kołysał się jak pijany, jakby z nadzieją, że z rozpędu uda mu się oderwać nogi od ziemi. Ciężarówka zatrąbiła, a on odskoczył do tyłu. Ten dźwięk przetoczył się echem w nocnym powietrzu, zoddali brzmiał jak dziki krzyk. Każdy ruch wywoływał jakieś dźwięki: Dodge zamknął oczy iusłyszał świst opon po asfalcie, dudnienie muzyki, zgrzyt silnika ipęd powietrza wywołany przez mijające ich auto. Zpowrotem otworzył oczy.
– Dwadzieścia sekund! – wrzasnął Diggin.

Nagle w ruchu nastąpiła przerwa. Cztery–pięć sekund
– na wszystkich sześciu pasach droga była wolna. Ray wyczuł to i rzucił się biegiem przed siebie. Wpadł prosto na barierkę po drugiej stronie autostrady i omało nie wylądował twarzą w ziemi. Ale to nie miało znaczenia. Wykonał zadanie. Zdarł z oczu opaskę i triumfująco zamachał nią nad głową. Przejście zajęło mu dwadzieścia siedem sekund.

Musiał poczekać na następną przerwę w ruchu, ale tym razem, pewnie żeby się popisać, przebiegł powoli.

– Kto następny? – odezwał się Diggin. – Miejmy to za sobą, zanim… – Kolejna ciężarówka przetoczyła się zhukiem obok nich, zagłuszając pozostałe słowa.

– Ja. – Dodge wystąpił naprzód. Ray trzymał wwyciągniętej ręce kołyszącą się opaskę. Na chwilę ich oczy się spotkały. Jeszcze nigdy tyle ich ze sobą nie łączyło.

– Połamania nóg – powiedział cicho Ray. Dodge wyrwał opaskę z jego ręki.
– Dzięki – mruknął.

Tkanina była gruba izupełnie nieprzezroczysta, jak brezent. Gdy tylko Dodge nałożył opaskę na oczy, przestał widzieć cokolwiek. Nagle poczuł ścisk w piersi, kompletną dezorientację i zawroty głowy, jak wtedy, gdy człowiek budzi się z koszmaru wobcym miejscu. Skupił się na dźwiękach – ciężarówki, muzyka, świst opon – i stopniowo udało mu się stworzyć sobie w głowie mapę tego miejsca. Dziwne, jak bezbronny się czuł, gdy nie mógł polegać na swoich oczach. Ktoś mógłby go zaatakować, a on nie miałby przy nim żadnych szans.

Poczuł dwie delikatne dłonie na swoich nadgarstkach.
– Uważaj na siebie – szepnęła Nat.

Nie odpowiedział, tylko po omacku poszukał jej tw arzy, mając nadzieję, że nie natrafi przypadkiem na jej biust. Ajednocześnie mając nadzieję, że natrafi.

– Wporządku – rzucił w kierunku, gdzie wydawało mu się, że powinien stać Diggin.
– Jestem gotowy.

Tak jak w przypadku Raya Diggin wziął go za rękę, podprowadził do barierki i kazał mu przez nią przejść. Nic nie widząc, Dodge stanął na skraju drogi. Ciężarówki i inne samochody mijały go z hukiem. Uderzał w niego gorący powiew ismród spalin, a ziemia trzęsła się od ciężkich kół. Klaksony trąbiły i ginęły w oddali.

Serce Dodge’a waliło mocno, w ustach mu zaschło. Nie spodziewał się, że tak się będzie bał. W uszach mu dudniło – nie wiedział, czy to hałas z autostrady, czy też echo jego serca. Ledwo usłyszał, jak Diggin rozpoczyna odliczanie. Cholera. Skoro niewiele słyszał, to jak będzie wiedział, kiedy ma ruszyć?

A co jeśli się potknie? Nogi miał jak z waty– jeśli się ruszy, ugną się pod nim i upadnie. Wyobraził sobie ręce Nat ito, jak przybliżała twarz, gdy ją całował. Wyobraził sobie łodyżkowate nogi Dayny, jej wózek stojący przy oknie, słońce zalewające pokój, wyobraził sobie, jak jej uda iłydki przybierają na masie, z powrotem przekształcając się w silne, umięśnione nogi.

Dudnienie w uszach ustało. Znów mógł swobodnie oddychać. Nagle uświadomił sobie, że jest cicho. Nie ma świstu opon, dźwięku klaksonów ani ryku pędzącego wjego stronę silnika. Spokój na drodze.

Rzucił się do biegu.

Chodnik, potem wąski pas trawy, który oddzielał oba pasma autostrady. Powinien się zatrzymać i jeszcze raz nastawić uszu, aby się upewnić, że nic nie jedzie, ale nie mógł sobie na to pozwolić – wiedział, że jeśli przystanie, ponownie już nie ruszy, więc musiał biec dalej. Wiatr szumiał mu w uszach, krew wżyłach szaleńczo tętniła. Nagle poczuł ostry ból w goleniach ipoleciał do przodu. Dotarł do barierki po drugiej stronie.

Zaliczył zadanie.

Zdarł z oczu opaskę i się odwrócił. Wydawało mu się, że słyszy radosne krzyki Nat i Heather, ale nie był pewien – mignęły mu przed oczami dwa samochody i chociaż widział, że dziewczyny krzyczą, nie był w stanie zrozumieć ich słów. W blasku lampy ulicznej wszyscy po drugiej stronie wyglądali jak aktorzy na scenie albo małe figurki na wystawie – asamochody, przejeżdżając przez pasmo światła, lśniły jak zabawkowe modele prawdziwych samochodów.

Wciąż trochę szumiało mu w głowie. Poczekał na następną przerwę w ruchu iwrócił powolnym truchtem. Chciał szybciej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ledwo był w stanie je podnieść, żeby przejść przez barierkę.

Diggin poklepał go po plecach, a Heather chwyciła go za ramię. Całe szczęście. Inaczej chyba by się przewrócił.
– Dziewiętnaście sekund! – oznajmił Diggin, aHeather ciągle powtarzała:
– Niesamowite, niesamowite!

To ona zgłosiła się jako następna w kolejce. Coś się znią podziało w ciągu ostatnich kilku dni, coś się w niej zmieniło. Dodge zawsze uważał, że jest ładna – miała fajne, wysportowane ciało, jak modelki z reklam dezodorantów. Ale była też trochę niezgrabna – poruszała się bardzo ostrożnie, jakby się bała, że wystarczy odrobina nieuwagi, acoś lub kogoś przewróci. Sam nie poszedł na bal maturalny, ale widział zdjęcia na Facebooku i Heather rzucała się w oczy– była lekko zgarbiona, by za bardzo nie górować nad Mattem, miała na sobie różową sukienkę zfalbanami, która w ogóle jej nie pasowała, i mimo zakłopotania starała się uśmiechać.

Ale teraz nie było w niej nic niezdarnego. Była poważna, wyprostowana, skupiona. Gdy stanęła na skraju drogi, właściwie się nie zawahała. Pobiegła w chwili, wktórej nic nie jechało.

– Samochód… – jęknęła Nat. Zacisnęła palce na ramieniu Dodge'a.

Rzeczywiście w stronę Heather pędziło auto. Kierowca musiał ją zauważyć, gdy weszła na drogę, ponieważ trzy razy nacisnął klakson.

– Jezu.– Bishop zamarł, blady jak ściana.
– Heather!– krzyknęła Nat.

Ale Heather biegła dalej i dotarła na drugą stronę wmomencie, gdy samochód śmignął tam, gdzie ona znajdowała się zaledwie kilka sekund wcześniej. Kierowca zatrąbił wściekle jeszcze cztery razy. Heather zdarła z oczu opaskę i stała, z falującą piersią, na poboczu. Przez chwilę zniknęła im z oczu, gdy rozdzieliło ich kilka samochodów: dwie ciężarówki, które nadjechały naraz z dwóch kierunków, oraz strumień osobówek za nimi.

Kiedy Heather wróciła, Diggin otoczył ją ramieniem.
– Siedemnaście sekund! – zaryczał. – Jak na razie najszybciej. Na pewno przeszłaś dalej.
– Dzięki – rzuciła.

Oddychała ciężko. Dodge spojrzał na nią w świetle lampy – na jej długie splątane włosy spływające na plecy, na wysokie kości policzkowe oraz błyszczące oczy – istwierdził, że wygląda naprawdę pięknie.
– Świetna robota – rzekł.

Dziewczyna przyjęła pochwałę skinieniem głowy.

– Heather! Tak się o ciebie bałam! Ten samochód… – Nat zarzuciła jej ręce na szyję i musiała w tym celu stanąć na palcach.

– To nie jest takie straszne, Nat– powiedziała Heather. Przez chwilę wpatrywała się w Dodge’a. Coś błysnęło wjej spojrzeniu. Wydawało mu się, że było to ostrzeżenie.

Następna była Kim Hollister. Miała pecha. Gdy st anęła z zasłoniętymi oczami na skraju drogi, z obu stron zaczęły pędzić samochody. Ale nawet gdy nastała cisza, stała w miejscu, zwahaniem, najwyraźniej przerażona.

– Idź! – krzyknął Diggin. – Jest czysto. Idź!
– To nie fair – warknął Ray. – Nie fair. To jakieś cholerne oszustwo!
Zaczęli się kłócić, ale i tak nie miało to znaczenia. Kim wciąż się nie ruszyła. Wreszcie wrzasnęła:
– Cicho bądźcie! Proszę. Nic nie słyszę. Proszę. Minęło kolejnych kilka sekund zanim weszła na drogę, ale niemal od razu się cofnęła.
– Słyszeliście to? – Jej piskliwy głos przeciął ciszę. – To samochód?
Zanim udało jej się przejść, minęły osiemdziesiąt dwie sekundy.

Potem nadeszła kolej na Natalie. Nagle odwróciła się wstronę Dodge’a, oczy jej błyszczały. Uświadomił sobie, że jest bliska łez.

– Myślisz, że on na nas patrzy? – szepnęła. Dodge pomyślał, że mówi o Bogu.

– Kto?– zapytał jednak dla pewności.
– Bill Kelly. – Jej twarz wykrzywił grymas.

– Nikt nas nie obserwuje – odparł. – Nikt oprócz sędziów.
Jego oczy napotkały wzrok Bishopa. Znów przebiegła mu przez głowę ta sama myśl.

PIĄTEK, 29 LIPCA

DODGE

Dodge miał nadzieję, że impreza urodzinowa Nat będzie raczej skromna, więc poczuł rozczarowanie, gdy zaparkował rower obok domu Bishopa izauważył w jedynej niezagraconej części podwórza kilkanaście samochodów, poustawianych ciasno jak elementy Tetrisa. Skądś dobiegała muzyka, a na całym podwórku rozmieszczono latarenki – zatknięte na różnych przedmiotach wyglądały jak metalowe świetliki, które przysiadły na chwilę, żeby odpocząć.

– Przyszedłeś!

Nat podeszła do niego z plastikowym kubkiem wręku. Wylała trochę piwa na jego but i Dodge uświadomił sobie, że jest już pijana. Miała na sobie bardzo krótką sukienkę, mocny makijaż i wyglądała przerażająco pięknie, a do tego dużo poważniej niż zazwyczaj. Oczy jej błyszczały, jakby coś wzięła. Widział, że przed chwilą rozmawiała z grupą chłopaków, których nie znał – oni też wyglądali na starszych i właśnie się na niego gapili – i nagle poczuł się nieswojo.

Dostrzegła jego wzrok i machnęła ręką.

– Nie przejmuj się nimi – powiedziała nieco bełkotliwie. – Poznałam tych kolesi w barze w Kingston. Zaprosiłam ich tylko dlatego, że mieli przynieść alkohol. Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Dodge t rzymał w kieszeni prezent dla Nat opakowany wbibułkę. Chciał jej go wręczyć, ale nie przy wszystkich. Chciał jej też powiedzieć, że jest mu przykro z powodu Paniki. Podczas ostatniego zadania Nat zamarła na skraju autostrady iruszyła się dopiero po chwili. Przejście zajęło jej nieco ponad minutę. Gra się dla niej skończyła.

Kiedy po tym zadaniu wracali do domu, Nat prawie się nie odzywała, tylko siedziała sztywno obok niego, a po jej twarzy płynęły łzy. Wszyscy milczeli. Dodge był zły na Bishopa i Heather. Byli najlepszymi przyjaciółmi Nat, powinni więc wiedzieć, jak poprawić jej humor. On sam czuł się bezradny, był tak samo przerażony jak wtedy, gdy stał na skraju drogi z opaską na oczach.

Ale teraz nie było czasu na wracanie do przeszłości. Nat już ciągnęła go na tyły domu.

– Chodź, napijesz się czegoś. I przywitasz z wszystkimi.

Za domem znad wielkiego grilla unosiły się kłęby dymu, który pachniał mięsem i węglem drzewnym. Jakiś starszy facet, stojący z piwem wręku, obracał na nim burgery. Dodge stwierdził, że to pewnie tata Bishopa – miał ten sam nos, te same niesforne włosy, choć już siwe – ito była dla niego pewna niespodzianka. W szkole zawsze uważał Bishopa za nieszkodliwego idiotę, pełnego dobrych chęci, ale nijakiego. Wyobrażał sobie, że jego rodzina wygląda bardzo typowo – mama, tata, siostra, starszy brat, dom otoczony płotem, a nie facet zpiwem smażący mięso na grillu wotoczeniu rdzewiejących gratów.

Ale to była kolejna rzecz, której uczył się człowiek w trakcie gry – ludzie zaskakiwali. I to w najbardziej nieoczekiwany sposób. To była właściwie jedyna rzecz, której można było być pewnym.

Jego dawni koledzy ze szkoły stali w małych grupkach albo rozsiedli się na starych meblach lub ramach samochodowych. Wszyscy gapili się na Dodge'a, niektórzy z zaciekawieniem, a inni zotwartą wrogością, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że na imprezę nie zaproszono żadnego z graczy Paniki oprócz niego i Heather. Wtedy też dotarło do niego, że nie zostało ich już wielu. Zaledwie pięcioro.

A on był jednym z nich.

Te dwie rzeczy – Nat trzymająca go za rękę oraz świadomość, że jest coraz bliżej celu – sprawiły, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

– Beczka z piwem jest tam, za starym motocyklem. – Nat zachichotała.

Wskazała ręką, w której trzymała kubek, i znów wylała trochę piwa, a jemu nagle przypomniało się, jak na ognisku wzeszłym roku nazwała go Dave'em. Poczuł ścisk w żołądku. Nienawidził imprez, nigdy nie czuł się na nich dobrze.

– Zaraz do ciebie wrócę, okej? Muszę trochę pokrążyć. Wkońcu to moja impreza.

Pocałowała go, w policzek, apotem oczywiście w drugi, iszybko zniknęła, wmieszawszy się w grupkę stojącą przy beczce z piwem. Bez Nat u boku znowu poczuł się jak na szkolnych korytarzach, tyle że tym razem, zamiast go olewać, wszyscy się na niego gapili. Gdy zauważył Heather, miał ochotę podbiec do niej i ją ucałować.

Dostrzegła go w tym samym czasie iprzywołała machnięciem ręki. Siedziała na masce jakiegoś wraku, zapewne remontowanego właśnie przez Bishopa – forda

pinto, pozbawionego kół i stojącego na pustakach. Z tego miejsca Dodge doliczył się sześciu samochodów w różnym stadium rozbiórki i składania.

– Hej. – Heather piła colę. Wyglądała na zmęczoną. – Nie wiedziałam, że tu będziesz.

Dodge wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co chciała przez to powiedzieć. Może Nat zaprosiła go w ostatniej chwili?

– Nie chciałem przegapić tak ważnej imprezy – stwierdził tylko.
– Nat już jest nawalona – parsknęła Heather.

Odwróciła wzrok i zmrużyła oczy. Po raz kolejny uderzyła go zmiana, jaka zaszła w niej tego lata. Zeszczuplała, rysy jej twarzy się wyostrzyły, a uroda stała się bardziej wyrazista. Jakby przez całe życie nosiła na sobie pelerynę niewidkę, a teraz ją zdjęła.

Dodge oparł się o maskę i wyjął z kieszeni papierosy. Nawet nie miał ochoty na palenie, po prostu musiał coś zrobić z rękami.

– Jak się miewa Lily? – zapytał.
Spiorunowała go wzrokiem.

– Wporządku – powiedziała powoli. I dodała: – Jest wśrodku, ogląda telewizję.

Dodge kiwnął głową. Dzień wcześniej palił papierosa przed domem, gdy usłyszał czyjś śpiew dochodzący zza szopy, gdzie zwykle trzymał rower. Zaciekawiony, ruszył wtamtą stronę.

I zobaczył Heather.
Półnagą.

Krzyknęła, więc odwrócił się szybko, ale i tak zdążył zauważyć, że myła się szlauchem z Dot’s Diner, tym samym, którym pomocnicy kuchenni wieczorem polewali alejkę. Zobaczył samochód, jej samochód, i ubrania suszące się na masce. Oraz dziewczynkę, zapewne jej siostrę, która siedziała na trawie i coś czytała.

– Tylko nikomu nie mów – poprosiła wtedy Heather.

Dodge wciąż stał plecami do ni ej, ze wzrokiem utkwionym wparze majtek, które wiatr musiał zdmuchnąć zmaski na ziemię. Były to wyblakłe figi w truskawki. Obok nich, na wiadrze odwróconym do góry dnem, leżały dwie szczoteczki do zębów i

zwinięta tubka pasty, a na ziemi wrzędzie stało kilka par butów. Zastanawiał się, jak długo tu koczowały.

– Nie powiem– odparł, nie odwracając się.

I nie miał zamiaru nikomu o tym mówić. To była kolejna rzecz, którą Dodge lubił w tajemnicach – wiązały ze sobą ludzi.

– Jak długo zamierzasz to ciągnąć? – zapytał ją teraz.
– Dopóki nie wygram.

Spojrzał na nią – na jej poważną, zdeterminowaną twarz– ipoczuł nagle przypływ czegoś podobnego do radości. Zrozumienie. To było to. On i Heather rozumieli się nawzajem.

– Lubię cię, Heather – powiedział. – Jesteś wporządku.
Spojrzała na niego badawczo, jakby chciała się upewnić, że się z niej nie nabija. Apotem się uśmiechnęła.
– Wzajemnie, Dodge.
Nat pojawiła się z powrotem. Wręce trzymała butelkę tequili.

– Napij się ze mną, Heather.
– Tequili?– skrzywiła się Heather.

– No co ty.– Nat zrobiła nadąsaną minę. Mówiła coraz bardziej bełkotliwie, a jej oczy dalej błyszczały tym dziwnym, nienaturalnym, jakimś nieludzkim blaskiem. – To moje urodziny.

Heather pokręciła głową. Nat wybuchnęła śmiechem.
– Wiesz, to dziwne– mówiła coraz głośniej. – Grasz wPanikę, a boisz się napić.
– Ciii. – Heather zaczerwieniła się.

– Ona nawet nie zamierzała grać – powiedziała Nat, wskazując butelką na Heather, jakby zwracała się do publiczności. A ludzie owszem, słuchali. Dodge zobaczył, że odwracali się w stronę Heather, szepcząc i uśmiechając się złośliwie.

– Daj spokój, Nat. Przecież nie wolno rozmawiać o grze– wtrącił się, ale go zignorowała.

– Ja od początku zamierzałam grać – ciągnęła Nat. – Igrałam. Ale już nie gram. Ona mnie wyrolowała. Ty mnie wyrolowałaś. – Odwróciła się do Heather.

Heather wpatrywała się w nią przez chwilę.
– Jesteś pijana – stwierdziła oschłym tonem iześlizgnęła się z maski samochodu.
Nat próbowała ją złapać.
– Ej, ja tylko żartowałam. – Ale Heather nie zatrzymała się. – Daj spokój, Heath, to były tylko wygłupy.
– Idę poszukać Bishopa – powiedziała Heather iruszyła przed siebie.
Nat oparła się o samochód, stając obok Dodge'a. Otworzyła butelkę, pociągnęła łyk i się skrzywiła.
– Co za impreza – wymruczała.

Dodge czuł zapach jej skóry, alkohol w jej oddechu iszampon truskawkowy na jej włosach. Tak bardzo chciał jej dotknąć. Ale tylko wsunął rękę do kieszeni i dotknął prezentu. Musiał dać jej go teraz, zanim stchórzy albo zanim ona upije się jeszcze bardziej.

– Nat, jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pójść? Gdzie moglibyśmy być sami przez chwilę? – Uświadomiwszy sobie, że Nat może odebrać jego pytanie dwuznacznie, dodał szybko: – Mam coś dla ciebie. – Iwręczył jej małe pudełeczko owinięte w bibułkę. Wprawdzie się zgniotło nieco w kieszeni, ale miał nadzieję, że to nie popsuje efektu.

Jej twarz się zmieniła. Uśmiechnęła się do niego sz eroko, ukazując rząd idealnie białych zębów, i postawiła butelkę na ziemi.

– Dodge, nie musiałeś – rzekła i dodała po chwili:– Chodź, wiem, gdzie możemy pójść.

Tuż za werandą z tyłu domu znajdowała się strefa dekoracji ogrodowych: stały tam wykute z wapienia posągi mitycznych postaci, których Dodge nie znał, choć pewnie powinien, oraz kamienne ławki i poidełka dla ptaków, pełne wody, mchu i liści. Dzięki posągom i werandzie miejsce to było ukryte przed wzrokiem innych, a gdy weszli za półkolistą balustradę, muzykę słychać było dużo słabiej.
– Proszę – powiedział, podając jej prezent. – Otwórz.

Z nerwów bolał go brzuch. A co jeśli jej się nie spodoba? Nat zdołała w końcu rozwinąć bibułkę, otworzyła pudełeczko i stała nieruchomo wpatrzona w jego zawartość: spoczywającą na bawełnianej poduszeczce ciemną aksamitną obróżkę z małym, kryształowym wisiorkiem wkształcie motyla, w którego skrzydłach migotało światło.

Wpatrywała się w niego tak długo, że Dodge uznał, że jej się nie podoba, a wtedy

naprawdę go zemdliło. Naszyjnik kosztował go całe trzy dniówki wykładania towarów.

– Jeśli chcesz, bym go zwrócił… – zaczął, ale gdy uniósł wzrok, ujrzał, że Nat płacze.

– Jest przepiękny – rzekła. – Strasznie mi się podoba. – Izanim zorientował się, co się dzieje, przyciągnęła go do siebie ipocałowała. Jej usta smakowały solą i tequilą.

Kiedy się cofnęła, kręciło mu się w głowie. Całował się już z dziewczynami, ale nie wten sposób. Zwykle zbytnio się stresował tym, co zrobić z językiem albo tym, czy całował za mocno, czy za delikatnie. Przy Nat wyłączał myślenie, zapominał nawet o oddychaniu, przez co przed oczami latały mu mroczki.

– Posłuchaj– odezwał się nagle. – Chcę, byś wiedziała, że ciągle uznaję podział kasy. To znaczy jeśli wygram. Oddam ci twoją część.

Nat nagle stężała, jakby wymierzył jej policzek. Przez chwilę stała sztywno, a potem podała mu pudełeczko z naszyjnikiem.

– Zabierz to – oznajmiła. – Nie mogę tego przyjąć. Dodge poczuł się tak, jakby coś wielkiego usiadło mu na klatce piersiowej.
– To znaczy?

– To znaczy, że go nie chcę. – Wcisnęła mu pudełko do ręki. – Nie jesteśmy parą, jasne? Owszem, lubię cię i wogóle, ale… Spotykam się z kimś innym. To by nie było w porządku.

Poczuł, że całe jego ciało zdrętwiało, jakby siedział zbyt długo na mrozie. Był zdezorientowany i wściekły. Nie czuł się sobą i nie rozpoznał swojego głosu wypowiadającego pytanie:

– Kto to taki?
Odwróciła się do niego plecami.
– To bez znaczenia. I tak go nie znasz.

– Pocałowałaś mnie. Pocałowałaś mnie, przez ciebie pomyślałem…
Pokręciła głową. Wciąż nie miała odwagi na niego spojrzeć.
– Chodziło o grę, jasne? Chciałam, żebyś mi pomógł wygrać. I tyle.
Znowu przemówił tym obcym głosem:
– Nie wierzę ci. – Ale słowa te brzmiały słabo i bez przekonania.
Tymczasem Nat mówiła dalej, jakby wcale go tam nie było.

– Ale już nie potrzebuję Paniki. Nie potrzebuję ciebie. Heather też nie potrzebuję. Kevin mówi, że mam potencjał iże przed obiektywem…

– Kevin?– Coś zaskoczyło w jego mózgu i zrobiło mu się słabo. – Ta kreatura z galerii handlowej?

– Nie mów tak o nim. – Nat wreszcie odwróciła się wjego stronę. Cała się trzęsła. Dłonie miała zaciśnięte, jej oczy błyszczały, a na policzkach miała ślady łez, i na ten widok coś zakłuło go w serce. Wciąż chciał ją pocałować. Inienawidził jej. – On jest wporządku. I wierzy we mnie. Powiedział, że mi pomoże…

Zimno wjego piersi zwarło się w twardą pięść. Czuł, jak tłucze o jego żebra, grożąc, że przebije się na zewnątrz.

– Nie mam wątpliwości, że tak powiedział. – Praktycznie wypluł te słowa. – Niech zgadnę. Musiałaś tylko pokazać mu cycki…

– Zamknij się – wyszeptała.

– Może musiałaś dać mu się trochę pomacać. A może też rozłożyć nogi? – Pragnął cofnąć te słowa w chwili, wktórej je wypowiedział.

Natalie zesztywniała, jakby porażona prądem. Iodczytał z jej twarzy – na której malowało się poczucie winy i smutek – że tak, zrobiła to.

– Nat. – Ledwo był w stanie wypowiedzieć jej imię. Chciał ją przeprosić, powiedzieć, że jest mu przykro, że żal mu jej, że to zrobiła. Chciał jej powiedzieć, że w nią wierzy iuważa, że jest piękna.

– Idź sobie – rzuciła cicho.
– Błagam cię, Nat. – Wyciągnął rękę w jej stronę.

Ale ona, cofając się, straciła równowagę i omal nie upadła.

– Idź – powtórzyła. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Ujrzał dwie czarne dziury, jak ziejące rany. Potem Nat odwróciła się i zniknęła.

HEATHER

Bishop miał w ogrodzie trampolinę, a dokładnie ramę od trampoliny. Siatka już dawno temu się rozpadła i została zastąpiona mocno napiętym brezentem. Heather nie była zaskoczona, że znalazła tam Bishopa kryjącego się przed innymi gośćmi.

Nigdy nie był specjalnie towarzyski. Tak samo jak ona. To była jedna z rzeczy, które ich łączyły.

– Dobrze się bawisz? – zapytała, usadowiwszy się obok niego. Pachniał cynamonem i masłem.
Wzruszył ramionami. Kiedy się uśmiechnął, jego nos lekko się zmarszczył.

– Tak sobie. A ty?
– Tak sobie– przyznała. – Jak się miewa Lily?

Heather nie mia ła wyjścia, musiała ją zabrać ze sobą. Ulokowali ją w salonie, aBishop zgłosił się na ochotnika, że sprawdzi, co u niej, gdy pójdzie do domu po kolejne plastikowe kubki.

– Wporządku. Urządziła sobie maraton z jakimś celebryckim show. Zrobiłem jej popcorn. – Położył się, żeby móc patrzeć w niebo, igestem zachęcił ją do tego samego.

Kiedy byli mali, czasami spali tutaj w śpiworach obok siebie, otoczeni paczkami po chipsach i ciastkach. Pewnego razu, gdy się obudziła, okazało się, że na jej piersi śpi szop.Bishop odstraszył go krzykiem, ale dopiero wtedy, gdy zrobił im zdjęcie. To było jedno z jej ulubionych wspomnień z dzieciństwa.

Wciąż pamiętała, jak to było budzić się obok niego, gdy rosa pokrywała ich śpiwory i wsiąkała w brezent, jak ich oddechy parowały w chłodnym powietrzu – ich ciała ułożone obok siebie były takie ciepłe. Jak gdyby znajdowali się w jedynym bezpiecznym miejscu na ziemi.

Teraz odruchowo położyła głowę we wgłębieniu pod jego obojczykiem, aon otoczył ją ramieniem. Gdy jego palce musnęły jej nagie ramiona, poczuła ciepło rozlewające się po ciele. Zastanawiała się, jak wyglądają z góry – pewnie jak dwa kawałki układanki, które idealnie do siebie pasują.

– Będziesz za mną tęsknić? – zapytał niespodziewanie Bishop.
Serce Heather zaczęło bić mocno iboleśnie, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi.
Przez całe lato starała się nie myśleć o tym, że Bishop wyjeżdża na studia. A teraz został im niecały miesiąc.
– Nie zadawaj głupich pytań. – Szturchnęła go.

– Pytam poważnie. – Poruszył się, wyjął ramię spod jej głowy, po czym przewrócił się na bok i wsparł na łokciu, żeby na nią spojrzeć. Niedbałym gestem zarzucił drugą rękę na jej talię. Podkoszulek podjeżdżał jej do góry i jego dłoń wylądowała

na jej brzuchu – jego opalona skóra na tle jej bladego, piegowatego brzucha. Heather z trudem zaczęła łapać powietrze.

„To Bishop – powiedziała do siebie w duchu. − To tylko Bishop”.

– Bo ja będę za tobą strasznie tęsknił, Heather – dodał. Znajdowali się tak blisko siebie, że widziała mały puszek przyczepionydo jego rzęsy. Była w stanie dostrzec każdą plamkę koloru w jego tęczówkach. I jego usta, które wydawały się takie miękkie. I jego cudownie nierówne zęby.

– A co z Avery?– wyrwało jej się. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się te słowa. – Za nią też będziesz tęsknił?

Bishop odsunął się i zmarszczył brwi. A potem westchnął i przejechał ręką po włosach. Heather oddałaby wszystko, by znów poczuć jego dotyk.

– Nie jestem już z Avery – powiedział ostrożnie. – Zerwaliśmy ze sobą.
– Kiedy?– Heather spojrzała na niego zdziwiona.

– A czy to ma znaczenie?– Bishop wyglądał na rozdrażnionego. – Posłuchaj, to nigdy nie było nic poważnego, jasne?

– Po prostu chciałeś ją bzyknąć – stwierdziła.

Nagle poczuła złość i zimno, dotarło do niej, jak bardzo się odsłoniła. Usiadła, skubiąc rąbek podkoszulka. Bishop ją zostawiał. Znajdzie sobie nowe dziewczyny, ładne i drobne jak Avery, i zapomni oniej. Ciągle się słyszy o takich sytuacjach.

– Heather. – Bishop również się podniósł. Nie miała odwagi na niego spojrzeć, więc ujął ją za podbródek iskierował jej twarz w swoją stronę. – Próbuję z tobą porozmawiać, rozumiesz? Musiałem… musiałem zerwać zAvery. Zależy mi… zależy mi na kimś innym. Jest ktoś inny. To właśnie próbuję ci powiedzieć. Ale to skomplikowane…

Wpatrywał się w nią tak intensywnie. Heather wyczuwała ciepło między nimi.
Nie myślała. Po prostu nachyliła się, zamknęła oczy ipocałowała go.

To było jak smak lodów, które zdążyły nieco stopnieć: słodkie, miękkie, doskonałe. Nie przejmowała się, czy to, co robi, jest właściwe, tak jak kilka lat temu za kinem, kiedy była w stanie myśleć jedynie o popcornie, który tkwił jej między zębami. Po prostu była, wdychała zapach jego ciała, zapach jego ust. Muzyka dudniła cicho w tle, awokół nich dzwoniły cykady. Heather poczuła, jak szczęście eksploduje jej w

piersi małymi iskrami, jak gdyby ktoś umieścił tam zimne ognie.

Nagle Bishop odsunął się.
– Zaczekaj– powiedział. – Zaczekaj.

I natychmiast iskry w jej piersi zgasły, zostawiając jedynie czarną dymiącą dziurę. Wystarczyło to jedno słowo i już wiedziała, że popełniła błąd.

– Nie mogę… – Nagle wwyglądzie Bishopa coś się zmieniło: jakby się postarzał, zgorzkniał, stał się kimś niemal obcym.– Nie chcę cię okłamywać, Heather.

Poczuła, jak twarz zaczyna jej płonąć. Nie chodziło onią. Był zakochany w kimś innym. A ona właśnie wepchnęła mu język do gardła jak wariatka.

Odsunęła się od niego tyłem aż na skraj trampoliny.
– Rany. To było głupie. Zapomnij o tym, okej? Nie mam pojęcia, co sobie myślałam.

Przez chwilę miała wrażenie, że go zraniła. Ale była zbyt zawstydzona, by się przejmować jego uczuciami. Apotem Bishop zmarszczył brwi – wyglądał na zmęczonego inieco poirytowanego, jakby była niesfornym dzieckiem, aon cierpliwym ojcem. Nagle dotarło do niej, jak on ją postrzega – jak dziecko. Jak młodszą siostrę.

– Czy możesz usiąść i się nie ruszać? – powiedział głosem znużonego rodzica. Jego włosy sterczały jak wykrzykniki.

– Robi się późno – stwierdziła, choć wcale nie było późno. – Muszę zabrać Lily do domu. Mama będzie się martwić. – Kłamstwo na kłamstwie. Sama nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Może dlatego, że w tej właśnie chwili naprawdę o tym marzyła, by móc wrócić do prawdziwego domu znormalną, troskliwą mamą, a nie na tylne siedzenie samochodu zaparkowanego przy Meth Row. Marzyła, by być małą i delikatną istotą, jak wyjątkowa ozdoba choinkowa, zktórą trzeba się ostrożnie obchodzić. Marzyła, by być kimś innym.

– Heather, proszę – odezwał się Bishop błagalnie. Świat rozpadał się na części, na kolory – iwiedziała, że jeśli natychmiast stąd nie pójdzie, zacznie płakać.

– Zapomnij o tym– rzekła. – Poważnie. Mógłbyś to dla mnie zrobić? Po prostu zapomnij, że to się w ogóle wydarzyło.

Wystarczyło, by odeszła kilka kroków, a łzy popłynęły jej z oczu. Otarła je szybko

wierzchem dłoni. Żeby dostać się do domu, musiała minąć kilkunastu dawnych kolegów ze szkoły, w tym najlepszego kumpla Matta, iwolałaby chyba umrzeć, niż rozkleić się na urodzinach najlepszej przyjaciółki. Pewnie wszyscy pomyślą, że się upiła. Dziwne, że ludzie mogą się znać przez tyle lat i tak bardzo mylić się co do siebie.

Weszła przez kuchenne drzwi, w środku na chwilę przystanęła, wzięła kilka głębokich oddechów ispróbowała się opanować. Chociaż podwórze wyglądało jak złomowisko, sam dom był czysty, ascetycznie umeblowany izawsze pachniał środkiem do czyszczenia dywanów. Heather wiedziała, że Carol, z którą ojciec Bishopa był od wielu lat, uznała porządek na podwórzu za straconą sprawę, jednak dom był jej królestwem więc zawsze go szorowała, sprzątała i darła się na Bishopa, żeby zabrał swoje brudne giry z ławy, na litość boską! Chociaż nie remontowano go od lat siedemdziesiątych i w salonie wciąż leżał kosmaty dywan, a w kuchni dziwne linoleum wbiało–pomarańczową kratkę, to wyglądał nieskazitelnie.

Znowu poczu ła ścisk w gardle. Wszystko tutaj było takie znajome: laminowany stół w jadalni, pęknięcie biegnące wzdłuż blatu kuchennego, zdjęcia z zawiniętymi rogami przyczepione do lodówki magnesami reklamowymi. Nic, co nazywała własnym, nie było jej tak bliskie.

To wszystko było jej, tak jak Bishop był kiedyś jej. Ale już nie jest.

Usłyszała wodę płynącą z kranu iprzytłumione dźwięki telewizora z salonu, wktórym siedziała Lily. Wyszła na ciemny korytarz i zauważyła, że drzwi do łazienki są uchylone. Promień światła padał na dywan. Teraz usłyszała wybijający się ponad szumem wody płacz. Przed oczami mignęła jej zasłona ciemnych włosów.

– Nat?– Heather ostrożnie otworzyła drzwi.

Znad porcelanowej umywalki unosiła się para. Woda musiała być strasznie gorąca, ale Nat ciągle szorowała ręce ipociągała nosem. Skórę na jej dłoniach była czerwona ibłyszcząca, wyglądała jak poparzona.

– Nat. – Heather zapomniała na chwilę o swoich problemach. Weszła do łazienki. Od razu zakręciła kran. Nawet kurki były gorące. – Nat, wszystko wporządku?

To było głupie pytanie. Na pierwszy rzut oka było widać, że nic nie jest w porządku.

Natalie odwróciła się w jej stronę. Miała podkrążone oczy icała jej twarz była

podpuchnięta, wyglądała niczym źle wyrośnięty chleb.

– To już nie działa – wyszeptała.
– Co nie działa? – zapytała Heather.

Nagle wszystko zaczęło jej się układać w całość: kapanie z kranu ipotwornie czerwone ręce Nat, zwisające po bokach jej ciała jak przekłute balony. Pomyślała o tym, jak jej przyjaciółka zawsze wyrównywała przedmioty względem środka. Że czasem brała prysznic kilka razy dziennie. Często wystukiwała swój własny rytm i śmiesznie uderzała językiem o podniebienie. Pomyślała o rzeczach, na które nie zwracała uwagi, bo tak bardzo do nich przywykła. Kolejny przykład na to, że ludzie patrzą, a nie widzą.

– To dlatego nie byłam w stanie się ruszyć, wtedy, na autostradzie – mówiła dalej Nat. – Zacięłam się. – Oczy znów jej zaszły łzami. – Nic nie działa. – Głos jej drżał. – Nie czuję się bezpiecznie, wiesz?

– Chodź do mnie – powiedziała Heather. Przyciągnęła Nat do siebie iprzytuliła, a ona dalej szlochała, pijana, na jej piersi. Ścisnęła Heather tak mocno, jakby się bała, że może upaść. – Ciii – mruczała Heather. – Ciii. To twoje urodziny.

Ale nie powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Nie mogła. Wiedziała, że Nat ma rację.
Nikt znich nie był bezpieczny.
Już nie. I nigdy nie będzie.
DODGE

Dodge usłyszał głosy z salonu, gdy tylko otworzył drzwi, inatychmiast pożałował, że po imprezie przyszedł od razu do domu. Było dopiero po jedenastej i w pierwszej chwili pomyślał, że Ricky znowu wpadł z wizytą. Nie miał ochoty na spotkanie zchłopakiem, który szczerzył zęby jak idiota, irumieniącą się Dayną, którą próbowała rozładować niezręczną sytuację, rzucając Dodge'owi piorunujące spojrzenia, jakby to *on*był intruzem.

Ale wtedy usłyszał głos mamy:
– Chodź tutaj, Dodge!

Na kanapie siedział jakiś mężczyzna. Miał siwiejące włosy, a na sobie pomięty garnitur, który jakoś dziwnie pasował do jego pomarszczonej twarzy.

– O co chodzi?– warknął Dodge, ledwo zerkając na mamę. Nawet się nie silił na uprzejmość. Nie zamierzał udawać miłego wobec jednego z gachów matki.

Mama zmarszczyła brwi.

– Dodge – powiedziała, przeciągając głoski, jak ostrzegawczy dzwonek. – Znasz Billa Kelly'ego, prawda? Bill wpadł z wizytą. – Bacznie wpatrywała się w syna, który wyczytał w jej spojrzeniu kilka wiadomości naraz: Bill Kelly niedawno stracił syna, jeśli będziesz dla niego nieuprzejmy, przysięgam, że wylądujesz na ulicy…

Poczuł nagle, że całe jego ciało stało się kanciaste, aon sam nie pamięta, jak się rusza nogami i rękami. Odwrócił się nerwowo do mężczyzny na kanapie – Duży Bill Kelly. Teraz dojrzał podobieństwo między nim a synem. Te same blond włosy, choć u ojca zaczynały już siwieć, te same przenikliwe niebieskie oczy i mocno zarysowana szczęka.

– Dobry wieczór – wychrypiał Dodge. Odchrząknął. – Było mi… to znaczy jest mi… jest nam bardzo przykro…
– Dziękuję, synu.

Głos pana Kelly'ego był zaskakująco ciepły. Dodge zulgą przyjął fakt, że mu przerwano, ponieważ nie miał pojęcia, co powiedzieć dalej. Było mu strasznie gorąco, miał wrażenie, że twarz zaraz mu eksploduje. Naszła go nagła, histeryczna ochota, by wykrzyczeć: „Byłem tam. Byłem tam, gdy zginął pana syn. Mogłem go ocalić".

Wziął głęboki oddech. Gra dawała mu się we znaki. Zaczynał pękać.
Po chwili, która zdała się wiecznością, oczy gościa przeniosły się z Dodge'a na jego matkę.

– Powinienem już iść, Sheila. – Podniósł się powoli. Był tak wysoki, że o mało nie dotknął sufitu głową. – Jutro jadę do Albany. Zrobili sekcję. Nie spodziewam się żadnych niespodzianek, ale… – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Chcę wiedzieć wszystko. *Idowiem się* wszystkiego.

Dodge poczuł, jak pot zbiera mu się pod kołnierz ykiem. Może to tylko jego wyobraźnia, ale był pewien, że słowa te były skierowane do niego. Pomyślał o wszystkich kuponach zakładowych, które zbierał tego lata. Gdzie one były? Czy schował je do szuflady z bielizną? A może zostawił na stoliku przy łóżku? Jezu. Musi się ich pozbyć.

– Oczywiście. – Mama również się podniosła. Teraz cała trójka stała w niezręcznej ciszy, jak aktorzy na scenie, którzy zapomnieli swoich ról. – Pożegnaj się z panem Kellym, Dodge.

Dodge odkaszlnął.
– Tak. Jasne. Jeszcze raz chciałem powiedzieć, jak bardzo mi…
Pan Kelly wyciągnął rękę.

– Wola Boża – powiedział cicho. Ale Dodge poczuł, że gdy mężczyzna uścisnął mu dłoń, zrobił to nieco za mocno.

Tego samego wieczoru Diggin poszedł na imprezę, która odbywała się w wąwozie, i skończył ze złamanym żebrem, podbitymi oczami i wybitym zębem. Derek Klieg był pijany. Właśnie tym próbował się potem tłumaczyć, ale wszyscy wiedzieli, że chodzi o coś więcej, i gdy opuchlizna nieco zeszła z twarzy Diggina, zaczął rozpowiadać wszystkim wokół, jak to Derek rzucił się na niego, jak mu groził i próbował wymusić na nim podanie nazwisk sędziów, nie zważając na zapewnienia Diggina, że ich nie zna.

To było jawne pogwałcenie jednej z wielu niepisanych zasad Paniki. Komentator był nietykalny. Podobnie jak sędziowie.

Derek Klieg został z miejsca zdyskwalifikowany. Wypadł z gry ido rana jego nazwisko zostało usunięte zkuponów zakładowych.

W ten sposób Natalie, ostatnia pod kreską, wróciła do gry.

SOBOTA, 30 LIPCA

HEATHER

Heather obudziło stukanie w szybę. Podniosła się iprzetarła oczy, wystraszona. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Słońce wpadało do środka. Ujrzała, jak przez przednią szybę wpatruje się w nią Dodge.

Kiedy wreszcie oprzytomniała, wszystko wyraźnie stanęło jej przed oczami: wczorajszy pocałunek z Bishopem i jego fatalny finał, Natalie płacząca włazience, a teraz Dodge, który gapił się na prześcieradło iplastikowe kubki na siedzeniu pasażera oraz na porozrzucane ztyłu opakowania po chipsach, klapki i ubrania.

Lily, bosa i ubrana wkostium kąpielowy, bawiła się na zewnątrz.
Heather otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

– Co ty tu robisz?– Była na niego wściekła. Złamał niepisane porozumienie między nimi. Kiedy powiedziała: „Nie mów nikomu", miała też na myśli: „Nie wracaj".

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale masz wyłączony telefon. – Jeśli wyczuł, że jest wściekła, chyba nie robiło to na nim wrażenia.

Telefon. Wyłączała go często, ponieważ mogła go ładować tylko wtedy, gdy pracowała u Anne. Zresztą nie miała zbytnio ochoty na czytanie SMS–ów od mamy. Ale dotarło do niej teraz, że ładowała go ostatniego wieczoru w kuchni u Bishopa izapomniała zabrać. Cholera. To oznaczało, że musi po niego wrócić.

Spała w tych samych ciuchach, które miała na sobie na imprezie Nat, wliczając w to podkoszulek na ramiączkach z cekinami. Zasłoniła więc dekolt rękami.

– O co chodzi?
Podał jej złożoną kartkę papieru. Najnowszy kupon zakładowy.
– Nat wróciła do gry. Derek został zdyskwalifikowany.

– Zdyskwalifikowany?– powtórzyła Heather. Do tej pory słyszała tylko o jednym przypadku, by wyrzucono kogoś z gry, i to sprzed wielu lat – jedna z zawodniczek przespała się z sędzią. Potem okazało się, że ów koleś, Mickey Barnes, wcale nie był sędzią, tylko udawał, by zaciągnąć laskę do łóżka. Ale było już za późno. Zawodniczka została wymieniona.

Dodge wzruszył ramionami. Bawiąca się za jego pl ecami Lily przewróciła wiadro z wodą i robiła rzekę z błota. Dobrze, że ich nie słuchała.

– Powiesz jej?– zapytał.
– Ty możesz to zrobić – odparła.
Znowu na nią spojrzał. Coś błysnęło w jego oczach.
– Nie,nie mogę.

Stali przez chwilę w milczeniu. Heather chciała go zapytać, co się stało, ale czuła się zbyt niezręcznie. Ona iDodge nie znali się na tyle dobrze. Coś ich łączyło, ale nie była w stanie stwierdzić co. Może tak naprawdę z nikim nie była blisko.

– Nasza umowa już nie obowiązuje – dodał po chwili.
– Nie będziemy się dzielić kasą.

– Co?– spytała zaskoczona Heather. A zatem Dodge wiedział, że ona wiedziała o jego umowie z Nat. Aczy był świadom, że ona też zawarła z Nat podobny pakt?

Jego oczy pociemniały, jak niebo przed burzą.

– Teraz gramy tak, jak się grać powinno – oznajmił, aona niemal zaczęła się go bać. – Zwycięzca bierze wszystko.

– Dlaczego nie mogę wejść i zobaczyć się z Bishopem?

Lily była w złym humorze. Marudziła od samego rana. Że jest jej za gorąco. Że jest brudna. Że jedzenie, które daje jej Heather– głównie dania z puszek albo kanapki kupowane w 7–Eleven – jest ohydne. Heather domyśliła się, że przygoda, jaką było życie poza domem (nie potrafiła się zmusić do wypowiedzenia nawet w myślach słowa „bezdomność”), straciła swój posmak nowości i już się siostrze nudziła.

Ścisnęła mocno kierownicę, aby w ten sposób dać ujście frustracji.

– Wpadnę tam tylko na chwilkę, żabko – powiedziała, siląc się na pogodny ton. Nie będzie warczeć, nie będzie krzyczeć. Tak postanowiła. Zapanuje nad wszystkim, dla Lily. – ABishop jest zajęty. – Nie miała pojęcia, czy to prawda: nie miała nawet odwagi zadzwonić i sprawdzić, czy jest w domu, igłęboko w środku miała nadzieję, że go tam nie ma. Ciągle wracała pamięcią do tego pocałunku, tej chwili ciepła i poczucia, że to jest właściwe… i tego, jak potem się odsunął, jakby pocałunek sprawił mu fizyczny ból. „Nie chcę cię okłamywać, Heather”.

Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona. Co ją, do licha, napadło? Na myśl o

tym miała ochotę popędzić prosto nad ocean inie zdejmując nogi z gazu, wjechać do wody.

Ale musiała odzyskać telefon. Trzeba będzie zacisnąć zęby i zaryzykować spotkanie z Bishopem. Może nawet udałoby się jej trochę zatrzeć złe wrażenie i wyjaśnić mu, że wcale nie chciała go pocałować, by sobie nie pomyślał, że się w nim zakochała albo coś.

Serce znów stanęło jej w gardle. Bo przecież nie była zakochana w Bishopie.

Prawda?
– Za chwilę będę z powrotem– rzuciła do Lily.

Zaparkowała z dala od domu, na wypadek gdyby Bishop był na zewnątrz, żeby nie zobaczył samochodu idowodów na to, że w nim mieszka. Ostatnią rzeczą, ojakiej marzyła, była jeszcze większa dawka litości z jego strony.

Na podwórzu wciąż było widać ślady po imprezie: plastikowe kubki, niedopałki papierosów, parę tanich okularów tkwiącą w poidełku dla ptaków pełnym zamulonej wody. Ale wszędzie panowała cisza. Może nie było go w domu.

Zanim jednak dotarła do drzwi, pojawił się Bishop zworkiem pełnym śmieci. Znieruchomiał na jej widok, aona poczuła, że ostatnia iskra nadziei – że wszystko będzie normalnie, że będą się zachowywać, jakby ostatnia noc się nie wydarzyła – zgasła.

– Co ty tu robisz?– wyrwało mu się.

– Przyszłam tylko po telefon. – Jej głos brzmiał dziwnie, jakby był puszczany z odtwarzacza koszmarnej jakości. – Nie martw się, zaraz uciekam.

Ruszyła w stronę domu, mijając go. Złapał ją za ramię.

– Zaczekaj.– Było coś desperackiego w jego spojrzeniu. Oblizał wargi. – Zaczekaj. Chyba się źle… muszę ci coś wyjaśnić.

– Zapomnij o tym.
– Nie. Nie mogę… musisz mi zaufać.

Bishop przejechał ręką po włosach, które zaczęły sterczeć do góry. Heather zbierało się na płacz. Te jego śmieszne włosy. Ta jego wyblakła koszulka New York Rangers ipoplamione farbą spodnie od dresu. Ten jego zapach. Myślała, że to

należy do niej – że on należy do niej
– ale przez cały ten czas on dorastał, miewał dziewczyny isekretne miłości i stawał się kimś, kogo nie znała.

A ona zrozumiała, patrząc na niego, jak stał z tym głupim workiem ze śmieciami, że jest w nim zakochana, ito od zawsze. Pewnie od pocałunku w pierwszej klasie. Amoże nawet wcześniej.

– Nic nie musisz wyjaśniać – rzekła i minąwszy go, weszła do domu. Na zewnątrz było jasno, więc w środku przez chwilę nic nie widziała. Zrobiła dwa niepewne kroki wstronę salonu, z którego dochodził warkot wentylatora, gdy za jej plecami Bishop otworzył drzwi.

– Heather – zawołał ją.
Zanim miała okazję mu odpowiedzieć, rozległ się inny głos. Kobiecy.
– Bishop?

Czas się zatrzymał. Heather zamarła, Bishop również, inic się nie poruszało oprócz mroczków skaczących przed oczami Heather, gdy jej wzrok powoli dostosowywał się do półmroku. Spojrzała na dziewczynę wyłaniającą się zciemnego salonu. Dziwne, chociaż od zawsze chodziły ze sobą do szkoły, Heather nie rozpoznała Vivian Trager od razu. Może to był szok, że zobaczyła ją tutaj, w domu Bishopa, bosą, trzymającą w ręku kubek z jego kuchni. Jakby była tu zadomowiona.

– Cześć, Heather – odezwała się Vivian, upijając łyk zkubka. Rzuciła znad niego spojrzenie w stronę Bishopa iHeather zobaczyła w jej oczach ostrzeżenie.

Heather odwróciła się do Bishopa. Jedyne, co widziała, to poczucie winy, niemal namacalne i lepkie.
– Co ty tu robisz?– spytała ją Vivian, niby od niechcenia.
– Wychodzę – odparła Heather.

Rzuciła się przed siebie, przez korytarz i do kuchni. Zwalczała mdłości, zwalczała falę zalewających ją wspomnień: że tyle razy piła kakao z tego kubka, że jej usta były tam, gdzie teraz były usta Vivian, że jej usta były na ustach Bishopa– Bishopa, który należał do Vivian.

Telefon wciąż leżał podłączony do gniazdka obok mikrofali. Palce Heather wydawały się opuchnięte iniezgrabne. Dopiero po paru próbach udało jej się odłączyć kabel.

Nie miała odwagi minąć znowu Bishopa i Vivian, więc pomknęła do tylnych drzwi,

wybiegła przez werandę iominąwszy dom, znalazła się na podwórzu. Idiotka. Była taką idiotką. Poczuła smak łez zanim nawet zorientowała się, że płacze.

Dlaczego Bishop miałby pragnąć jej, Heather? Był inteligentny. Wybierał się na studia. A ona była nikim. Zerem. Matt też ją rzucił właśnie dlatego.

Nikt nigdy nie powiedział jej tej podstawowej prawdy
– nie każdy ma szansę na miłość. Przypominało jej to krzywą dzwonową, o której uczyli się na matematyce. Pośrodku był ogromny garb pełen szczęśliwych par i roześmianych rodzin jedzących razem przy wielkim stole. Ana zwężających się końcach byli ci poza normą: świry, dziwolągi i zera takie jak ona.

Otarła łzy przedramieniem i przez kilka chwil oddychała głęboko, próbując się uspokoić przed powrotem do samochodu.Lily skubała ślad po ugryzieniu komara na dużym palcu u nogi. Gdy Heather wsiadła do auta, siostra rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

– Widziałaś się z Bishopem?– spytała.
– Nie – odparła Heather i uruchomiła silnik.

ŚRODA, 3 SIERPNIA

DODGE

Dodg e zgubił paragon za naszyjnik dla Natalie, więc musiał oddać go do lombardu za połowę ceny. Potrzebował pieniędzy. Czas uciekał, był już początek sierpnia, a on jeszcze nie miał samochodu na Pojedynek. Wystarczyłby mu jakiś stary gruchot, rozważał nawet odkupienie czegoś od Bishopa, byle tylko jeździło.

Właśnie skończył zmianę w Home Depot, kiedy dostał SMS–a. Przez chwilę miał nadzieję, że to Natalie, ale to była mama. Jesteśmy w Columbia Memorial, przyjedź jak najszybciej!

O Boże. Szpital. Coś złego musiało się stać z Dayną. Próbował się dodzwonić do mamy, a potem do siostry, ale bez skutku.

Nawet się nie zorientował, kiedy minęło dwadzieścia minut wautobusie do Hudson. Nie był w stanie usiedzieć na miejscu. Czuł mrowienie w nogach, serce kołatało mu w piersi. Wkieszeni znowu zabrzęczał telefon. Kolejny SMS. Tym razem znieznanego numeru. Czas na twój solowy numer. Jutro wieczorem sprawdzimy, ile naprawdę jesteś wart.

Zablokował aparat i włożył go do kieszeni. Kiedy dojechał do szpitala, praktycznie wyskoczył z autobusu.
– Dodge! *Dodge!*

Dojrzał Daynę z mamą przy podjeździe dla niepełnosprawnych. Dayna machała do niego entuzjastycznie, podnosząc się wysoko na wózku.

I uśmiechała się promiennie. Zresztą obie się uśmi echały tak szeroko, że nawet z tej odległości widać im było wszystkie zęby.

Jednak gdy biegł przez parking, serce ciągle waliło mu jak młotem.
– Co jest?– Gdy do nich dobiegł, z trudem łapał oddech. – Co jest? Co się stało?

– Ty mu powiedz, Day– odezwała się mama, nie przestając się uśmiechać. Wokół oczu miała rozmazany tusz do rzęs. Najwyraźniej płakała.

Dayna wzięła głęboki oddech. Oczy jej błyszczały. Nie widział jej tak szczęśliwej od czasu wypadku.

– *Odzyskuję czucie*, Dodge. Poruszyłam palcami unóg.
Popatrzył na Daynę, potem na mamę, potem znowu na Daynę.

– Jezu Chryste– wyrzucił z siebie wreszcie. – Myślałem, że coś się stało. Myślałem, że nie żyjesz albo coś w tym rodzaju.

Dayna pokręciła głową. Chyba ją to zabolało.
– Tak, *coś się stało*.

Dodge zdjął czapkę i przeczesał ręką włosy. Był spocony. Włożył czapkę z powrotem. Dayna wpatrywała się w niego wyczekująco. Wiedział, że zachowuje się jak palant.

Wypuścił powietrze z płuc.

– To niesamowite, Day – powiedział. Starał się, by zabrzmiało to autentycznie. Był szczęśliwy, tylko ciągle buzowały w nim emocje, ten strach onią, który czuł, gdy tu jechał.

– Jestem z ciebie dumny. – Pochylił się i uścisnął ją. Ipoczuł w jej ciele delikatne drżenie, jak gdyby powstrzymywała szloch.

Mama nalegała, żeby poszli do restauracji to uczcić, mimo że tak naprawdę nie było ich na to stać, tym bardziej teraz, kiedy musieli płacić te wszystkie rachunki za lekarzy.

Wylądowali w restauracji Applebee niedaleko Carp. Na początek mama zamówiła margaritę i nachosy, które Dodge uwielbiał, ale teraz nie był w stanie zmusić się do jedzenia. Mama ciągle opowiadała o Billu Kellym– jaki zniego miły, troskliwy człowiek, chociaż sam jest pogrążony w żałobie. Jak to wykonał telefon w ich imieniu iumówił je na spotkanie, bla, bla, bla.

W trakcie kolacji zadzwoniła jej komórka.

– O wilku mowa – powiedziała i wstała. – To Bill. Może ma jakieś wiadomości…
– Ojakie wiadomości jej chodzi? – zapytał Dodge, kiedy wyszła na zewnątrz.

Obserwował, jak krąży po parkingu. W ostrym świetle lamp ulicznych wyglądała staro. Wydawała się zmęczona ijakaś oklapnięta, bardziej mamuśkowata niż zwykle.

Dayna wzruszyła ramionami.
– Pieprzą się czy co? – Nie dawał za wygraną Dodge.

Dayna westchnęła i starannie wytarła palce wserwetkę. Rozbierała hamburgera warstwa po warstwie. Zawsze tak robiła: rozdzielała swoje jedzenie na części iskładała z powrotem wtaki sposób, jaki jej pasował. Jeśli chodzi oburgery, to sałata i pomidor szły na spód, potem ketchup, ana samej górze lądowały mięso i bułka.

– Są przyjaciółmi, Dodge – odparła, a on wyczuł w jej głosie nutkę irytacji. Mówiła do niego swoim dorosłym głosem, głosem, który zawsze go drażnił. – Aco cię to wogóle obchodzi?

– Mama nie ma przyjaciół – rzekł, choć wiedział, że było to trochę podłe.
Dayna odłożyła serwetkę z takim impetem, że aż podskoczyły szklanki z wodą.

– Co się z tobą dzieje?
Dodge wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.
– Co się *ze mną* dzieje?
– Dlaczego tak bardzo uprzykrzasz mamie życie? Ten

lekarz nie jest tani. A ona robi, co może. – Dayna pokręciła głową. – Taki Ricky na przykład, żeby tu przyjechać, musiał zostawić całą swoją rodzinę…

– Proszę cię, nie mieszaj w to Ricky'ego.
– Chcę tylko powiedzieć, że powinniśmy docenić, jakie mamy szczęście.
– *Szczęście*? – parsknął Dodge. – Od kiedy jesteś taką nawiedzoną optymistką?
– A od kiedy ty zachowujesz się jak palant? – odparła.

Dodge poczuł, że traci grunt pod nogami. Nie wi edział, skąd wzięło się to uczucie, i starał się od niego uwolnić.

– Mama na niczym się nie zna. – Dźgnął widelcem swój makaron z serem, byle tylko nie patrzeć Daynie w oczy. – Poza tym nie chcę, żebyś robiła sobie nadzieję…

Teraz to Dayna wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Jesteś niemożliwy – powiedziała cicho i wjakiś sposób było to gorsze, niż gdyby krzyczała. – Przez cały ten czas powtarzałeś mi, żebym próbowała, żebym nie traciła nadziei. I kiedy wreszcie robię jakieś postępy…

– A co z tym, co *ja*robię? – Dodge wiedział, że zachowuje się jak dziecko, ale to było silniejsze od niego. Dayna zawsze była po jego stronie, tylko na nią mógł liczyć w każdej sytuacji inagle to się zmieniło.
– Chodzi ci ogrę? – Dayna pokręciła głową. – Posłuchaj, Dodge. Sporo o tym

myślałam i wiesz, już nie chcę, żebyś grał.

– Że co!? – wybuchnął. Kilka osób przy sąsiednim stoliku odwróciło głowy w ich stronę.

– Mów ciszej. – Dayna patrzyła na niego tak jak wtedy, gdy był mały i nie rozumiał zasad gry, w którą ona chciała grać: z rozczarowaniem i lekkim zniecierpliwieniem. – Po tym, co stało się z Billem Kellym… to nie jest tego warte. To nie jest właściwe.

Dodge wziął łyk wody, ale ledwo był w stanie ją przełknąć.
– Sama chciałaś, żebym grał – powiedział. – Prosiłaś mnie o to.
– Ale zmieniłam zdanie.

– Ta gra nie działa w ten sposób. – Znowu podniósł głos. Nie był w stanie nad tym zapanować. – Może już zapomniałaś?

Dayna zacisnęła usta, tak że wyglądały jak różowa blizna na jej twarzy.
– Posłuchaj mnie, Dodge. To dla twojego własnego dobra.

– Grałem dla ciebie. – Dodge miał już gdzieś, czy inni go słyszą. Gniew i gorycz pochłonęły wszystkie inne uczucia isprawiły, że świat przestał dla niego istnieć. Kogo miał? Nie miał przyjaciół. Nigdy w żadnym miejscu nie został na tyle długo, by z kimś się zaprzyjaźnić, komuś zaufać. Myślał, że z Heather był blisko. To samo z Natalie. Ale się mylił. A teraz nawet Dayna go atakowała. – O tym też zapomniałaś? To wszystko dla ciebie. Żeby wrócić do tego, co było.

Nie zamierzał tego mówić – nawet tak nie pomyślał, nie wiedział, skąd się to wzięło. Na moment zapadła cisza. Dayna wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, asłowa te tkwiły między nimi, posępne i nieodwracalne, jak pozostałości po wybuchu bomby.

– Dodge – odezwała się. Był przerażony, widząc współczucie na jej twarzy. – Nie da się wrócić do tego, co było. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Świat nie działa w ten sposób. Cokolwiek zrobisz, nic nie zmieni tego, co się stało.

Dodge odsunął talerz i wstał od stołu.

– Idę do domu – oznajmił. Nie był nawet w stanie myśleć. Słowa Dayny wywołały burzę w jego głowie. Nie da się wrócić do tego, co było.

Po jaką cholerę więc grał?

– Daj spokój, Dodge – powiedziała Dayna. – Siadaj.

– Nie jestem głodny. – Nie był w stanie na nią spojrzeć: na te cierpliwe oczy, na te wąskie, wykrzywione wgrymasie niezadowolenia usta. Jakby był małym dzieckiem. Głupim dzieckiem. – Pożegnaj mamę ode mnie.
– Przecież jesteśmy ładnych parę kilometrów od domu

– rzekła zdziwiona.

– Przespaceruję się – odparł. Wsadził papierosa do ust, chociaż nie miał ochoty na palenie. Mógł mieć jedynie nadzieję, że nie zacznie padać.

HEATHER

Heather nie wróciła na Meth Row. To miejsce miało swoje plusy, ale teraz, gdy Dodge wiedział, gdzie się zatrzymała, już nie było wystarczająco dobre. Nie chciała, by ją szpiegował, widział, jak żyje, albo zaczął o tym rozpowiadać.

Do tej pory była bardzo ostrożna, przemieszczała się samochodem tylko w nocy, zparkingu na pustą drogę i zpowrotem na parking, kiedy było mniejsze ryzyko, że ktoś ją zobaczy. Trzymała się ustalonego porządku: w dni pracujące ustawiała budzik na czwartą rano i podczas gdy Lily jeszcze spała, jechała w egipskich ciemnościach do Anne. Znalazła malutką polanę, niedaleko jej posesji, gdzie można było zaparkować. Czasem na powrót zasypiała. Aczasami czekała, obserwując, jak czerń zaczyna się rozmywać i przechodzić w półmrok, by potem wyostrzyć się, rozdzielić i złuszczyć w jaskrawe fioletowe cienie ipasma światła.

Ze wszystkich sił starała się wtedy nie myśleć ani oprzeszłości, ani o przyszłości, ani w ogóle o niczym. Potem, gdy zbliżała się dziewiąta, szła na piechotę do domu Anne, tłumacząc, że Bishop ją podrzucił. Czasami zabierała ze sobą Lily. Czasami mała zostawała wsamochodzie albo bawiła się w lesie.

Dwa razy Heather przyjechała wcześniej, żeby się wykąpać. Przemykała wtedy przez las do stojącego na wolnym powietrzu prysznica. Potem rozbierała się i drżąc z zimna, wchodziła z ulgą pod strumień gorącej wody, która lała się jej do ust, oczu i na całe ciało. Gdyby nie to, myłaby się pod szlauchem.

Musiała stłumić marzenia o bieżącej wodzie, mikrofali, klimatyzacji, lodówce i toalecie. Zwłaszcza o toalecie. Minęły dwa tygodnie od kiedy opuściła dom i od tego czasu zaliczyła dwa ugryzienia w tyłek przez komary, kiedy sikała w krzakach oszóstej rano; jadła też więcej zimnego jedzenia zpuszek, niż był w stanie znieść jej żołądek.

Zamierzała teraz pojechać do Malden Pl aza – tam, gdzie odbywała się konkurencja z przechodzeniem przez autostradę – na duży parking, oświetlony nielicznymi lampami. Ciężarówki często zjeżdżały tam z drogi izostawały na całą noc. Był tam McDonald's i publiczne toalety z prysznicami dla kierowców.

Ale najpierw potrzebowała benzyny. Nie było jeszcze ciemno iwolała się nie zatrzymywać w Carp. Tyle że od prawie doby jechała na rezerwie, a nie chciała też, by samochód rozkraczył się na drodze. Podjechała więc do Citgo przy Main Street, która była najmniej popularną z trzech stacji benzynowych wmieście, ponieważ była najdroższa i nie sprzedawano na niej piwa.

– Zostań w samochodzie – powiedziała do siostry.
– Tak, tak – wymruczała Lily.

– Mówię poważnie, żabko. – Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma te odwarkiwania ipyskówki. Miała już dość. Traciła siły. Smutek jak pętla zaciskał się na jej szyi. Dusiła się. Wciąż miała przed oczami Vivian pijącą zkubka Bishopa, jej czarne włosy okalające ładną, bladą jak księżyc twarz. – I nie rozmawiaj z nikim, dobra?

Rozejrzała się po parkingu – żadnych radiowozów ani znajomych aut. Dobry znak.

W środku położyła na ladzie dwadzieścia dolarów za benzynę i skorzystała z okazji, by uzupełnić zapasy: kupiła kilka paczek zupek chińskich, które zjedzą rozpuszczone w zimnej wodzie, chipsy isalsę, suszoną wołowinę i dwie kanapki zpewnością nie pierwszej świeżości. Mężczyzna za ladą miał ciemną twarz bez wyrazu i rzednące włosy zaczesane na bok, które wyglądały jak wodorosty przyczepione do czoła. Kazał jej czekać na resztę. Kiedy wrzucał jednodolarówki do kasy, poszła do łazienki. Nie czuła się komfortowo w ostrym świetle jarzeniówek, nie podobał jej się też sposób, w jaki ten facet na nią spoglądał
– jakby był w stanie przejrzeć jej wszystkie tajemnice.

Kiedy myła ręce, usłyszała dzwonek przy wejściu icichy pomruk konwersacji. Następny klient. Kiedy wyszła z łazienki, oddzielał ją od niego stojak z tanimi okularami przeciwsłonecznymi, i dopiero tuż przy ladzie zauważyła mundur i broń przypiętą do pasa.
Glina.

– Jak tam sprawa zMałym Kellym? – zapytał kasjer. Policjant, zwielki brzuchem wystającym ponad pasek, wzruszył ramionami.
– Przyszły wyniki sekcji. Wychodzi na to, że to nie pożar go zabił.

Heather miała wrażenie, jakby coś twardego uderzyło ją w pierś. Naciągnęła kaptur na głowę i udawała, że szuka czegoś do jedzenia. Wzięła z półki paczkę precelków iwpatrywała się w nią intensywnie.

– Naprawdę?

– Smutna historia. Wygląda na to, że przedawkował. Brał jakieś prochy od kiedy wrócił z wojny. Pewnie szukał jakiegoś spokojnego miejsca, żeby się naćpać, i tak wylądował w domu Graybillów.

Heather odetchnęła głęboko. Poczuła ogromną, nie opisaną ulgę. Nie była świadoma aż do tej pory, jak obwiniała się, przynajmniej po części, za śmierć Małego Billa.

Nikt z nich jednak nie był winny.

– Ale przecież i tak ktoś podłożył ogień – dodał policjant, aHeather uświadomiła sobie, że wpatruje się w tę paczkę o kilka sekund za długo, czym przykuła uwagę gliniarza. Odłożyła precle na półkę, schyliła głowę iruszyła w stronę wyjścia.

– Hej! Proszę pani!
Zamarła.
– Zapomniała pani zakupów. Mam też dla pani resztę.

Jeśli rzuci się do ucieczki, będzie to podejrzane. Pol icjanta na pewno zainteresuje, czego się przestraszyła. Powoli więc odwróciła się w stronę lady, z wzrokiem wciąż wbitym wziemię. Gdy zabierała torbę z jedzeniem, czuła, że obaj się na nią gapią. Policzki jej płonęły, a wgardle zaschło.

Była już prawie przy drzwiach, już czuła się bezpieczna, kiedy gliniarz ją zawołał.
– Hej, ty tam. – Wpatrywał się w nią uważnie. – Spójrz na mnie.

Zmusiła się, by podnieść wzrok. Facet miał twarz pucołowatą jak pączek, a oczy wielkie iokrągłe jak umałego dziecka albo zwierzęcia.

– Jak masz na imię? – zapytał.
Wypowiedziała pierwsze, jakie przyszło jej do głowy:
– Vivian.

– Ile masz lat, Vivian?– dopytywał się policjant, żując gumę. – Chodzisz do liceum?

– Już skończyłam. – Czuła mrowienie w dłoniach. Miała ochotę odwrócić się na

pięcie i uciec. Przyglądał się jej wnikliwie, jakby chciał zapamiętać jej twarz.

– Słyszałaś kiedyś o grze zwanej Paniką, Vivian? – Gliniarz zrobił krok w jej stronę.
Odwróciła wzrok.

– Nie – odparła szeptem. To było głupie kłamstwo inatychmiast pożałowała, że nie powiedziała „tak".
– Myślałem, że wszyscy grają w Panikę.

– Nie wszyscy– powiedziała, spoglądając na niego. Zobaczyła w jego oczach iskrę triumfu, jakby się do czegoś przyznała. Boże. Ale się wkopywała. Czuła, jak pot spływa jej po karku.

Policjant wpatrywał się w nią jeszcze przez kilka chwil, po czym rzekł:
– No dobra, możesz iść.

Gdy już była na zewnątrz, wzięła kilka głębokich o ddechów. Powietrze było gęste od wilgoci. Zbliżała się burza – wyjątkowo paskudna, sądząc po kolorze nieba. Było niemal zielone, jakby cały świat miał zwymiotować. Zdjęła kaptur, żeby wysechł jej pot na czole.

Pobiegła prze z parking wstronę dystrybutora paliwa. I zatrzymała się.
Lily zniknęła.

Rozległ się straszny huk, tak głośny, że aż podsk oczyła. Niebo otwarło się i deszcz zasyczał gniewnie wzetknięciu z chodnikiem. Dotarła do samochodu w momencie, wktórym pierwsza błyskawica rozświetliła niebo. Szarpnęła klamkę. Zamknięte. Gdzie, do diabła, jest Lily?
– Heather! – Głos małej przebił się przez szum deszczu.

Odwróciła się. Obok biało–niebieskiego radiowozu stał drugi policjant i trzymał rękę na ramieniu jej siostry.
– Lily! – Heather podbiegła do niej, choć wiedziała, że powinna unikać policji. – Niech ją pan puści – powiedziała.
– Proszę się uspokoić. – Policjant był wysoki i chudy, ztwarzy przypominał muła. – Tylko bez histerii, okej?

– Niech ją pan puści – powtórzyła Heather. Gliniarz posłuchał i Lily rzuciła się pędem w stronę siostry, po czym objęła ją mocno w pasie, jakby była małym dzieckiem.

– Nie tak szybko – rzekł policjant. Błyskawica znowu przeszyła niebo, oświetlając jego szare, krzywe zęby. – Chcę się tylko upewnić, że tej młodej damie nie dzieje się krzywda.

– Nic jej nie jest – odparła Heather. – Mnie też. – Już miała się odwrócić, kiedy policjant położył jej rękę na ramieniu.

– Zaraz, zaraz, jeszcze chwila. Wciąż mamy pewien problem.

– Nic złego nie zrobiłyśmy – odezwała się Lily. Policjant spojrzał na nią.

– Wierzę ci – powiedział nieco łagodniej. – Ale to – wskazał na zdezelowanego taurusa – jest kradziony samochód.

Deszcz padał tak mocno, że zupełnie zagłuszał myśli Heather. Z podkoszulkiem przyklejonymdo żeber Lily wyglądała jeszcze chudziej i smutniej.

Gliniarz otworzył tylne drzwi radiowozu.
– Wejdź do środka – zwrócił się do Lily. – Żebyś już nie mokła.

Heather się to nie podobało, wolała, by siostra trz ymała się z dala od policji. Właśnie w taki sposób dopadają człowieka – udają miłych, dają mu złudne wrażenie, że jest bezpieczny, apotem maska opada. Pomyślała o Bishopie iścisnęło ją w gardle. Wszyscy nas wten sposób wystawiają.

Ale Lily wskoczyła do środka, zanim Heather zdążyła ją powstrzymać.

– Może pójdziemy gdzieś pogadać? – zaproponował policjant. Przynajmniej nie brzmiał, jakby był na nią wściekły.

Heather skrzyżowała ręce na piersi.

– Tu jest okej.– Miała nadzieję, że nie widać, jak się trzęsie. – Inie ukradłam tego samochodu – dodała. – To samochód mojej mamy.

Policjant pokręcił głową.

– Twoja mama twierdzi, że go ukradłaś. – Ledwo go słyszała w tym deszczu. – Masz na tylnym siedzeniu niezły zestaw: jedzenie, koce, ubrania. – Kropla deszczu spadła z koniuszka jego nosa iHeather pomyślała, że ten gliniarz wygląda prawie tak samo żałośnie jak Lily.

Odwróciła wzrok. Chciała wszystko z siebie wyrzucić iwyjaśnić, to uczucie rosło w niej jak balon inaciskało na żebra. Ale powiedziała tylko:

– Nie wracam do domu. Nie może mnie pan zmusić.
– Awłaśnie że mogę.
– Mam osiemnaście lat.
– Nie masz pracy, pieniędzy, domu.

– Mam pracę. – Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się głupio, uparcie, ale miała to gdzieś. Obiecała Lily, że nie wrócą, i tak właśnie będzie. Pewnie gdyby doniosła na mamę, powiedziała o imprezach i narkotykach, nie musiałaby wracać. Ale kto wie, może wsadziliby Kristę do więzienia, a Lily oddali jakiejś rodzinie zastępczej, która wogóle by się nią nie przejmowała. – Bardzo dobrą pracę.

I nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie: An ne. Spojrzała na policjanta.

– Czy nie mam prawa do wykonania jednego telefonu czy jakoś tak?
Po raz pierwszy się uśmiechnął. Ale jego oczy pozostały smutne.

– Nie zostałaś aresztowana.
– Wiem. – Poczuła nagle, że mdli ją ze zdenerwowa

nia. Co, jeśli Anne nie będzie chciała jej pomóc? Albo jeszcze gorzej: stanie po stronie policji?– Ale itak chcę zadzwonić.

DODGE

Dodge był dopiero w połowie drogi do domu, gdy zaczęło lać jak z cebra. Zawsze miał takie cholerne szczęście. Już po kilku minutach był przemoknięty do suchej nitki. Minął go samochód, przy wtórze klaksonu, i ochlapał mu spodnie wodą. A on miał do pokonania jeszcze trzy kilometry.

Miał nadzieję, że burza szybko przejdzie, ale było coraz gorzej. Błyskawice przecinały niebo, co chwilę świat tonął wdziwnym zielonkawym blasku. Woda wylewała się zrowów, tak że Dodge musiał brnąć wśród liści i kubków jednorazowych. Prawie nic nie widział. Nadjeżdżające samochody dostrzegał dopiero wtedy, gdy go mijały.

Uświadomił sobie nagle, że niedaleko stąd jest d om Bishopa. Odbił od głównej drogi i zaczął biec. Przy odrobinie szczęścia zastanie Bishopa w domu i przeczeka uniego ulewę albo poprosi go o podwózkę.

Ale gdy dotarł na podwórze, zobaczył, że w całym domu są zgaszone światła. Mimo to podszedł na ganek izapukał do drzwi, modląc się, by Bishop mu otworzył. Niestety.

Pamiętał, że weranda z tyłu jest obita siatką przeciw owadom, więc brnąc przez błoto, obszedł budynek. Potknął się o starą kosiarkę i omało nie wylądował twarzą wziemi. Zaklął.

Drzwi werandy oczywiście również były zamknięte. Był przemoknięty i czuł się do tego stopnia zdesperowany, że przez chwilę rozważał wydarcie dziury w siatce, ale wtedy znowu błysnęło i wtym ułamku sekundy nienaturalnej jasności zobaczył coś w rodzaju szopy ogrodowej, która stała nieco z tyłu i była częściowo zasłonięta przez drzewa.

Na drzwiach wisiała kłódka, ale do Dodge'a wreszcie uśmiechnęło się szczęście, bo nie była zamknięta. Wśrodku było przyjemnie i sucho. Dodge dygotał iwdychając zapach mokrych koców oraz starego drewna, czekał, aż wzrok przystosuje mu się do półmroku. Nie widział nic, tylko kontury ciemnych przedmiotów, jak się domyślał – kolejnych rupieci.

Wyjął komórkę, żeby sobie poświecić, i zobaczył, że bateria mu pada. Nawet nie dałby rady zadzwonić do Bishopa, żeby zapytać, gdzie jest i kiedy będzie w domu. Fantastycznie. Ale przynajmniej wblasku ekranu mógł się przyjrzeć wnętrzu i zzaskoczeniem stwierdził, że doprowadzono tu prąd, o czym świadczył włącznik na ścianie igoła żarówka u sufitu.

Nie świeciła wprawdzie zbyt jasno, ale to było lepsze niż nic. Od razu zwróciło jego uwagę, że szopa wcale nie jest taką rupieciarnią, jak się spodziewał. Na pewno był tutaj większy porządek niż na podwórzu. Znajdowały się tu taboret, biurko ipółki. Na biurku leżały kupony zakładowe, pofałdowane od wody i przygniecione metalowym żółwiem.

Obok nich leżało kłębowisko starych kabli i sprzęt do nagrywania oraz jeden ztych tanich telefonów na kartę, których nie trzeba rejestrować.

Znowu szczęście mu dopisało – telefon się włączył inie wymagał podania PIN–u. Zanim jego własny telefon padł, udało mu się znaleźć w kontaktach numer do Bishopa.

Wstukał go teraz w klawiaturę znalezionej komórki izadzwonił. Pięć sygnałów, a potem przekierowanie na pocztę głosową. Rozłączył się, nie zostawił wiadomości, tylko wszedł do skrzynki SMS–ów, zamierzając wysłać do Bishopa prośbę o

pomoc. Wkońcu kiedyś musi wrócić do domu. Zresztą gdzie mógł się włóczyć w taką pogodę?

Wtedy zamarł. Bębnienie deszczu o dach, nawet ciężar telefonu – wszystko to zeszło na dalszy plan, a on widział jedynie słowa ostatniej wysłanej wiadomości: Czas na twój solowy numer. Jutro wieczorem sprawdzimy, ile naprawdę jesteś wart.

Przeczytał go jeszcze raz, a potem znowu.
Przeczucie, które kiedyś zakiełkowało, wróciło.

Zszedł w dół ekranu. Kolejne SMS–y: instrukcje do gry. Wiadomości do innych graczy. I na samym dole wiadomość wysłana na numer Heather: Zrezygnuj z gry albo stanie ci się krzywda.

Dodge ostrożnie odłożył telefon na miejsce. Teraz na wszystko patrzył inaczej. Sprzęt do nagrywania. Aparaty. Stojące w kącie puszki z farbą i kawałki sklejki oparte ościanę. Wszystko potrzebne Bishopowi do organizowania kolejnych zadań dla graczy.

Na jednej z półek stało kilka słoików. Pochylił się, by się im przyjrzeć, iodskoczył z krzykiem, omało co nie przewracając stosu sklejki.

Pająki. Szczelnie wypełniały słoiki – pełzały po szkle, aich ciemnobrązowe odwłoki zlewały się w jedną brunatną plamę. Pewnie były przeznaczone dla niego.

– Co ty tu robisz?

Dodge odwrócił się błyskawicznie. Jego serce wciąż biło jak szalone. Miał wrażenie, że po jego skórze pełzają setki pająków.

W drzwiach, nieruchomo, stał Bishop. Za jego plecami szalała burza, wylewając na ziemię hektolitry wody. Bishop miał na sobie pelerynę, na głowie kaptur, a jego twarz była skryta w cieniu. Przez chwilę Dodge naprawdę się go przestraszył. Wyglądał jak seryjny morderca z kiepskiego horroru.

Nagle zrozumiał, że właśnie o to chodzi w tej grze. Na tym polegał prawdziwy strach – nigdy się nie znało innych ludzi, nie do końca. To zawsze była tylko zgadywanka.

Wtedy Bishop wszedł do środka, zdjął kaptur iwrażenie minęło. Znów był tylko Bishopem. Dodge trochę się uspokoił, ale skóra wciąż go swędziała i nie bardzo mu się podobało, że kilka kroków od niego, za kruchym szkłem, jest tyle pająków.

– Co jest, do cholery, Dodge!?– wybuchnął Bishop, zaciskając dłonie w pięści.

– Szukałem cię – odpowiedział Dodge, unosząc obie ręce, na wypadek gdyby Bishop zamierzał go uderzyć. – Chciałem się schronić przed deszczem.

– Nie powinno cię tu być.
– No dobrze, dobrze. Wiem wszystko, jasne? Już wiem.
Nastąpiła chwila elektryzującej ciszy. Bishop nie spuszczał z niego wzroku.
– Co wiesz?– zapytał wreszcie.

– Daj spokój, stary. Nie wciskaj mi już więcej kitu – rzekł Dodge cicho. – Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: dlaczego? Wydawało mi się, że nie cierpisz Paniki.

Myślał, że Bishop nie odpowie, że może wciąż będzie próbował wszystkiemu zaprzeczyć. A wtedy jego ciało zapadło się w sobie, jakby ktoś wyciągnął z niego korek. Zamknął za sobą drzwi i osunął się na krzesło. Przez chwilę siedział z głową opartą na rękach. Wreszcie podniósł wzrok.

– A ty dlaczego grasz?– zapytał.
„Dla zemsty – pomyślał Dodge. – Bo nie mam niczego innego". Ale na głos powiedział:

– Dla pieniędzy. A niby po co?
Bishop rozłożył szeroko ręce.
– Ja też.

– Poważnie? – Dodge przyglądał mu się bacznie. Wtwarzy Bishopa dostrzegł coś dziwnego, coś, czego nie był w stanie rozszyfrować. Bishop pokiwał głową, ale Dodge czuł, że chłopak kłamie. Chodziło o coś więcej. Ale postanowił odpuścić.

Każdy potrzebował sekretów.
– Więc co teraz? – spytał Bishop.

Słychać było, że jest wyczerpany. I było to po nim widać. Dodge uświadomił sobie, jak bardzo musiało mu ciążyć tego lata całe to planowanie, te wszystkie kłamstwa.

– Ty mi powiedz – powiedział Dodge. Oparł się obiurko. Czuł się teraz nieco swobodniej i trochę mu ulżyło, gdy Bishop zasłonił mu widok pająków.

– Nie możesz pisnąć ani słowa Heather – odezwał się Bishop znagłą gwałtownością, pochylając się w jego stronę. – Ona *nie może* się dowiedzieć.

– Wyluzuj, stary. – Umysł Dodge’a pracował na najwyższych obrotach, już przyswajał nowe informacje imyślał, jak je wykorzystać. – Nie powiem jej. Ale też nie wezmę udziału w indywidualnym zadaniu. Po prostu powiesz, że je zaliczyłem.

Bishop świdrował go wzrokiem.
– To nie fair.
Dodge wzruszył ramionami.

– Może i nie. Ale tak się właśnie stanie. – Wytarł ręce odżinsy. – Co zamierzałeś zrobić z tymi pająkami?

– Ajak myślisz? – Wgłosie Bishopa zabrzmiała irytacja.– Okej. Wporządku. Trafisz prosto do Pojedynku. Pasuje?

Dodge skinął głową. Nagle Bishop podniósł się ikopnął w krzesło, tak że przesunęło się o kilka centymetrów.

– Jezu. Wiesz co? Wsumie to się cieszę, że się dowiedziałeś. Prawie miałem nadzieję, że to odkryjesz. To jest okropne. Koszmar jakich mało.

Dodge powstrzymał się od głupich komentarzy wstylu, że Bishop mógł odmówić, kiedy zwrócono się do niego zpropozycją sędziowania. Rzekł tylko:

– Wkrótce będzie po wszystkim.

Bishop chodził w kółko aż niespodziewanie się odwrócił. Nagle wydawało się, jakby wypełniał sobą całe pomieszczenie.

– Zabiłem go, Dodge – wydusił przez ściśnięte gardło.
– Jestem za to odpowiedzialny. – Szczęka mu drgnęła. Dodge zrozumiał, że Bishop powstrzymywał płacz. – To było częścią gry. – Pokręcił głową. – Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. To był głupi żart. Podpaliłem kilka kartek wkoszu, ale ogień od razu wymknął się spod kontroli. Po prostu… buchnął. Nie wiedziałem, co robić.

Dodge’a na chwilę ogarnęło poczucie winy. Kiedy tegowieczoru naskoczył na Daynę w sprawie Billa Kelly’ego, w ogóle nie myślał o Małym Kellym. Ani o tym, jak strasznie musi się czuć jego ojciec.

– To był wypadek – powiedział delikatnie.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał Bishop zduszonym głosem. – Powinienem

iść do więzienia. I pewnie pójdę.

– Nie, nie pójdziesz. Nikt o tym nie wie. – Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że Bishop musi mieć wspólnika. Zawsze było przynajmniej dwóch sędziów. Ale wiedział też, że nawet jeśli o to zapyta, to Bishop mu nie odpowie.– Ja nie puszczę pary z ust. Możesz mi zaufać.

Bishop pokiwał głową.
– Dzięki – wyszeptał.

Znów wyglądał tak, jakby nagle stracił wszystkie siły. Usiadł i oparł głowę na dłoniach. Pozostawali tak wmilczeniu przez dłuższy czas, słychać było jedynie deszcz bębniący o dach niczym pięść kogoś, kto dopomina się, by wpuścić go do środka. Pozostawali tak, aż noga Dodge'a oparta o biurko zaczęła drętwieć, a deszcz powoli ucichł i zaczął przypominać delikatne drapanie paznokciami.

– Chciałbym cię prosić o przysługę – odezwał się wreszcie Bishop, podnosząc wzrok.
Dodge skinął głową.
Oczy Bishopa błysnęły. Wyraz jego twarzy zmienił się zbyt szybko, by można było go rozszyfrować.
– Chodzi o Heather– powiedział.

SOBOTA, 6 SIERPNIA

HEATHER

Anne uznała, że Heather jest gotowa nakarmić tygrysy. Pokazała jej, jak się otwiera zagrodę i gdzie postawić wiadro zmięsem. Anne powoli wykonywała wszystkie ruchy, aczasami rzucała płatem mięsa, podkręcając go jak frisbee, ibywało, że któryś tygrys łapał go w powietrzu.

Heather zawsze czekała aż tygrysy znajdą się po dr ugiej stronie zagrody albo położą pod drzewami, gdzie najbardziej lubiły spędzać słoneczne popołudnia. Wykonywała swoje zadanie szybko, nigdy nie spuszczając zwierząt z oczu. Przez cały czas wyobrażała sobie ich gorący oddech i ostre kły zatopione w jej szyi.

– Myślisz, że tęsknią za domem?

Heather odwróciła się do Lily. Wcześniej tego ranka jej siostra pomagała Anne zaciągnąć Muppeta do kąpieli ina jej nogach zaschły krople brudnej wody. Mimo to już dawno nie wyglądała tak czysto i zdrowo. Z drugiej strony stodoły dobiegało nucenie Anne, która zrywała żonkile w ogrodzie.

– Wydaje mi się, że są całkiem szczęśliwe – odparła Heather, chociaż nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiała. Trzy razy sprawdziła, czy dobrze zamknęła klatkę, a potem odwróciła się do Lily. Mała krzywiła się, jakby próbowała przełknąć coś dużego. – Aty jak, żabko?
– spytała, kładąc rękę na głowie siostry. – Tęsknisz za

domem?
Lily pokręciła głową tak gwałtownie, że warkocz smagnął ją po twarzy.

– Chciałabym zostać tu na zawsze – oznajmiła iHeather wiedziała, że właśnie tymi słowami przedtem się dławiła.

Pochyliła się niezgrabnie, by przytulić siostrę. Na r azie musiała się schylać, ale Lily rosła. Prawie sięgała Heather do piersi. Oto kolejna rzecz, która się zmieniła nie wiadomo kiedy. Jak Bishop. Jak jej przyjaźń z Nat.

– Nieważne, co się stanie, i tak będziemy razem. Jasne? Wszystko będzie dobrze. – Heather położyła kciuk na nosie Lily, ata ją pacnęła. – Wierzysz mi?

Lily kiwnęła głową, ale Heather wiedziała, że jej nie wierzy, nie do końca.

Minęły trzy dni od ich zatrzymania przez policję. Jak na razie Anne zgodziła się, by Heather i Lily zatrzymały się u niej. Spały w „niebieskim pokoju", gdzie wszystko było w jednym kolorze: tapeta we wzorek w niebieskie bukiety, niebieskie narzuty, marszczone niebieskie zasłony. Dla Heather to był najpiękniejszy pokój, jaki widziała wżyciu. Wcześniej tego ranka obudziła się i zobaczyła, że łóżko Lily jest puste. Na chwilę ogarnęła ją panika, ale zaraz usłyszała śmiech zza okna. Gdy przez nie wyjrzała, zobaczyła, jak siostra pomaga Anne karmić kurczaki. Śmiała się do rozpuku, gdy jeden z nich biegł za nią, dziobiąc karmę.

Dzień wcześniej przyjechała Krista w zwróconym jej przez policję taurusie. Nie chciała się nawet przywitać zAnne, ale urządziła wielką pokazówkę z przytulaniem Lily, która stała sztywno, z twarzą przyciśniętą do piegowatego dekoltu matki. Heather myślała, że Krista będzie zła o samochód, i może nawet tak było, ale przynajmniej była trzeźwa i starała się robić dobre wrażenie. Pachniała perfumami, miała na sobie wyjściowe spodnie i niebieską bluzkę marszczoną pod biustem.

Powiedziała Heather, że jest jej przykro, że już skończyła z imprezami iże będzie się lepiej opiekować Lily. Ale recytowała te słowa jak aktorka odczytująca rolę, do której nie jest przekonana.

– Awięc? Wracacie do domu?
Heather pokręciła głową i wtedy twarz Kristy na chwilę się zmieniła.

– Nie możesz tu zostać na zawsze – powiedziała cichym głosem, tak żeby nie słyszała jej Anne. – Zobaczysz, znudzi się wami.

Przez moment Heather miała wrażenie, że spada wotchłań bez dna.
– Do widzenia– powiedziała.

– Inie pozwolę ci zabrać mojego dziecka. Nie myśl sobie, że odbierzesz mi Lily. – Chwyciła Heather za łokieć, ale ujrzawszy Anne zmierzającą w ich stronę, szybko ją puściła.

– Wkrótce wrócę – oznajmiła głośno z tym swoim plastikowym uśmiechem.

Zabrzmiało to jak groźba. Heather przez resztę dnia czuła, że ta otchłań się gdzieś obok niej czai, nawet wtedy, gdy Anne podeszła do niej niespodziewanie i sama z siebie mocno ją przytuliła.

– Nie martw się – powiedziała. – Możesz na mnie liczyć.

Heather bardzo pragnęła w to wierzyć.

Tygrysy ruszyły teraz w stronę mięsa. Najpierw leniwie, jakby nie były nim zainteresowane, apotem dopadły posiłku jednym susem, z szeroko rozwartymi pyskami. Ich zęby błyskały w słońcu. Heather obserwowała, jak rozszarpują płaty mięsa, i zrobiło jej się słabo. Co powiedziała Anne pierwszego dnia jej pracy? Lubiła się opiekować wszystkim, co zranione iwymagające pomocy. Ale Heather trudno było sobie wyobrazić, że tygrysy potrzebują opieki.

Telefon zabrzęczał w tylnej kieszonce jej spodni. Natalie. Nie rozmawiały ze sobą od jej urodzin.
– Heather?– Głos przyjaciółki brzmiał odlegle, jakby znajdowała się pod wodą. – Widziałaś już najnowsze?

– Najnowsze co?– zapytała Heather. Z telefonem wetkniętym między ucho a ramię otworzyła drzwi do szopy znarzędziami i odwiesiła klucze do zagrody dla tygrysów.

– Kupony zakładowe – wyjaśniła Natalie. – Dodge wykonał swoje indywidualne zadanie. Pająki. – Zamilkła na chwilę. – Któraś z nas będzie następna.

Heather znowu poczuła ścisk w żołądku.
– Albo Ray. Albo Harold Lee– dopowiedziała.

– Wkażdym razie wkrótce nasza kolej. – Znowu nastąpiła chwila ciszy. – Czy… czy z nim rozmawiałaś? Heather od razu wiedziała, że Nat pyta o Dodge’a.

– Nie, nie rozmawiałam. – Nie powiedziała Natalie otym, co usłyszała od Dodge’a, że ich umowa przestała obowiązywać. Podejrzewała, że akurat tyle jej przyjaciółka już wie.

Nat w estchnęła.
– Daj mi znać, dobra?

– Tak, jasne – odparła Heather, po czym zapadło niezręczne milczenie.

Przypomniała sobie histerię Nat w łazience tamtego wieczoru, jej ręce zdarte szorowaniem niemal do krwi. Poczuła nagły przypływ emocji – miłość do Natalie mieszała się ze smutkiem z powodu tych wszystkich rzeczy, które nigdy nie zostały powiedziane.

– Heather?– rzuciła jeszcze Nat.

– Co jest?

– Nie zrobiłabym tego bez ciebie – powiedziała cicho.
– Nigdy nie zaszłabym tak daleko. Wiesz to, prawda?
– Już prawie jesteśmy u mety – odparła Heather, siląc się na beztroski ton. – Tylko mi się teraz nie rozklejaj.

Gdy się rozłączyła, zobaczyła, że ma jedną nieodcz ytaną wiadomość. Weszła do swojej skrzynki z SMS–ami ina chwilę zaparło jej dech.

Jutro twoja kolej.

NIEDZIELA, 7 SIERPNIA

HEATHER

– Wszystko wporządku? – zapytała Nat.

– Byłoby lepiej, gdybyś przestała szarpać kierownicą – warknęła Heather. I natychmiast dodała: – Przepraszam.

– Nic się nie dzieje – odparła Nat. Knykcie jej dłoni zaciśniętych na kierownicy wyglądały jak małe półksiężyce.

Gdy tylko Heather zobaczyła znak Fresh Pines Mobile Park, poczuła koszmarny ucisk w żołądku. Jechały wstronę przyczepy numer sześćdziesiąt dwa, jej matka mieszkała zaledwie kilka rzędów dalej. Chociaż od dawna nikt nie był tam zameldowany, był tam prąd, a także lodówka, stół i łóżko.

Heather wiedziała, że w przyczepie numer sześćdziesiąt dwa ludzie urządzają imprezy albo robią inne rzeczy, októrych nawet wolała nie myśleć. Kiedyś, kiedy miała osiem albo dziewięć lat, wpadła tam razem z Bishopem. Wylali całe piwo z lodówki, wysypali wszystkie papierosy itrawkę, które znaleźli w szafkach – jakby to mogło kogokolwiek powstrzymać.

Zastanawiała się, co teraz porabia Bishop i czy wogóle słyszał, że przyszła kolej na jej indywidualne zadanie. Pewnie nie. Stwierdziła, że myślenie o nim jest zbyt bolesne, więc z powrotem skoncentrowała się na tym, jak Natalie kiepsko prowadzi.

– Przynajmniej będziesz miała to z głowy – stwierdziła Nat. Heather wiedziała, że w ten sposób przyjaciółka próbuje ją pocieszyć. – Prawie chciałabym, żeby teraz była moja kolej.

– Nie, nie chciałabyś – odrzekła.

Właśnie podjechały pod przyczepę numer sześćdzi esiąt dwa. Rolety były spuszczone, ale widać było światło w oknach i ludzkie sylwetki wśrodku. Super. Awięc będzie mieć widownię.

Natalie wyłączyła silnik.

– Na pewno świetnie ci pójdzie – zawyrokowała izaczęła wysiadać z samochodu.

– Nat.– Heather zatrzymała ją. Miała sucho w ustach.

– Pamiętasz, co powiedziałaś przez telefon? Wiesz, ja też bez ciebie nie zaszłabym

tak daleko.

Nat uśmiechnęła się smutno.
– Niech wygra lepsza – powiedziała delikatnie.

W środku było siwo od papierosowego dymu. Diggin wrócił, choć na jego twarzy wciąż utrzymywała się opuchlizna isiniaki. Obnosił się z nimi jak z ranami wojennymi. Heather była wkurzona, że zjawił się Ray – pewnie chciał zobaczyć jej porażkę.

Na blacie stało parę butelek taniego alkoholu iplastikowe kubki. Wokół stołu siedziało kilka osób. Gdy weszły Heather i Nat, wjednej sekundzie wszyscy się odwrócili. Serce Heather stanęło. Była wśród nich Vivian Trager.

I Matt Hepley.
– A ty co tu robisz?– warknęła na niego, stojąc w drzwiach.

Pomyślała, że na tym polegało zadanie: zobaczmy, jak długo wytrzyma Heather w małej przyczepie ze swoim byłym chłopakiem inową dziewczyną Bishopa, zanim się rozpłacze. Dodatkowe punkty zostaną jej przyznane, jeśli się nie porzyga.

Matt wstał od stołu tak szybko, że mało nie przewrócił krzesła.

– Heather. Cześć. – Pomachał jej niezdarnie, jakby stali wwiększej odległości, a nie półtora metra od siebie. Heather czuła, że Vivian obserwuje ją z lekko rozbawioną miną. Suka. A ona zawsze była dla niej miła. – Diggin poprosił mnie, żebym przyszedł. Żebym pomógł… – urwał.

– Z czym?– Heather zrobiło się zimno. Zdrętwiały jej wargi, nie czuła ich, nawet gdy wypowiadała słowa. Matt oblał się rumieńcem. Dawniej lubiła w nim to, że tak łatwo się czerwieni.
Teraz pomyślała, że wygląda głupio.
– Zbronią – powiedział wreszcie.

Po raz pierwszy Heather dostrzegła przedmiot, który leżał na stole i wokół którego wszyscy się zebrali. Na moment zabrakło jej tchu. Nie była w stanie przełknąć śliny.

Nie siedzieli przy kartach – to był pistolet.
Ten sam, który Heather ukradła z domu Narwanego Jacka.

Nie, to było niemożliwe. Coś musiało się j ej pomieszać. Przecież Bishop zabrał go i zamknął w schowku wswoim samochodzie. Zresztą Heather nie byłaby wstanie

odróżnić dwóch pistoletów. Wszystkie dla niej wyglądały tak samo – jak straszliwe metalowe palce wskazujące drogę do zła.

Przypominało jej się nagle, gdy jako dziecko słuchała, co mówiła jej matka pijąca z sąsiadami w kuchni: „Ojciec Heather… ten to dopiero miał nierówno pod sufitem. Załatwił się wkrótce po tym, gdy pojawiło się dziecko. Wróciłam pewnego dnia do domu i zobaczyłam jego mózg na ścianie". I dodała po chwili: „Czasami wcale mu się nie dziwię".

– Czy możemy…? Dosłownie na minutę? – Matt podszedł jeszcze bliżej. Wlepił w Heather ten swój cielęcy, błagalny wzrok. Dopiero po chwili dotarło do niej, że prosi ją o rozmowę. Ściszył głos: – Na zewnątrz?

– Nie.– Wszystko, co pojawiało się w głowie Heather, dopiero po długim czasie zamieniało się w słowa albo w czyny.

– Co?– Matt wyglądał na zdziwionego. Nie był przyzwyczajony do tego, że Heather stawiała na swoim. Pewnie Delaney również zawsze mówiła mu „tak".

– Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, możesz to zrobić tutaj. – Nat zwszystkich sił udawała, że nie słucha, Heather była tego świadoma. Vivian wciąż się na nią gapiła.

Matt odkaszlnął. Znowu się zaczerwienił.

– Posłuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć… przepraszam. Za wszystko, co się między nami stało. Ta sprawa zDelaney… – Spojrzał gdzieś w bok. Starał się robić wrażenie skruszonego, ale widać było, jak napawa się pozycją tego, który *musi*przepraszać. To on kontrolował sytuację. Wzruszył ramionami. – Musisz mi uwierzyć, to się w jakiś sposób… *stało*.

Nagle poczuła, jak strasznie go nienawidzi. Jak mogła kiedykolwiek myśleć, że jest w nim zakochana? Był idiotą, tak jak mówiła Nat. Jednocześnie przed oczami stanął jej Bishop – wtych głupich spodniach od dresu i klapkach, szczerzący do niej zęby. Jak dawał jej się napić swojej kawy mrożonej przez tę samą słomkę, przez którą pił, mimo że zawsze gryzła ją na kawałki i do środka wpadała jej ślina; jak leżeli jedno przy drugim na masce jego samochodu, wotoczeniu zgniecionych puszek, co według Bishopa miało zwiększyć prawdopodobieństwo porwania ich przez ufoludki; jak mówił: „Błagam, błagam, zabierzcie mnie stąd, przyjaciele z kosmosu!". I jego śmiech.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko teraz? – spytała. Matt wyglądał na zaskoczonego, jakby oczekiwał, że Heather mu podziękuje.

– Wyjaśniam ci, ponieważ nie musisz tego robić. Nie musisz przez to przechodzić. Posłuchaj, Heather, znam cię dobrze. I to do ciebie nie pasuje.

Poczuła się tak, jakby dostała pięścią w brzuch.
– Myślisz, że tu chodzi o ciebie? Oto, co się między nami stało?
Matt westchnął zniecierpliwiony. Czuła, że powoli ma jej dość.

– Mówię tylko, że niczego nie musisz udowadniać. Heather zadrżała z gniewu.

– Pieprz się, Matt – powiedziała. Teraz już nikt wpokoju nie udawał, że nie słucha. Ale ona miała to gdzieś.

– Heather… – Wyciągnął do niej rękę, gdy go mijała. Odtrąciła ją.

– Tu nigdy nie chodziło o ciebie. – Wiedziała, że nie była to do końca prawda. Zaczęła grać, a przynajmniej tak jej się wydawało, z żalu, z poczucia, że jej życie się skończyło, gdy ją rzucił. Ale teraz już grała dla siebie. Dla siebie idla Lily. Grała, ponieważ zaszła już tak daleko. Grała, ponieważ jeśli zwycięży, będzie to pierwszy i jedyny raz, kiedy coś w życiu wygra.

– Inie, nie znasz mnie. Nigdy nie znałeś.

Miała nadzieję, że wyjdzie, skoro powiedział to, co miał powiedzieć, ale tak się nie stało. Skrzyżował ramiona ioparł się o drzwi łazienki, a raczej okawałek sklejki pokrytej graffiti, oddzielającej pokój od pomieszczenia, które powinno być łazienką, tyle że nigdy nie podłączono tu wody ani kanalizacji. Dostrzegła, że Matt i Ray Hanrahan ukradkowo wymieniają spojrzenia. Matt, niemal niezauważalnie, wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „Zrobiłem, co mogłem”.

Poczuła jednocześnie falę obrzydzenia i triumfu. Więc teraz Ray chciał wykorzystać Matta w celu wyeliminowania jej. To pewnie Ray wysłał jej w czerwcu tego SMS–a, żeby zrezygnowała z gry. Najwyraźniej czuł, że jest dla niego prawdziwym zagrożeniem.

To dodało jej siły.

– Co to ma być? – spytała donośnym głosem, wskazując brodą na broń. Wiedziała, że wszyscy: Matt, Ray, Nat, Vivian iinni, patrzą na pistolet. Wyglądało to jak obraz, wktórego centrum znajdował się ten, oświetlony snopem światła, ciemny przedmiot.

– Rosyjska ruletka – wyjaśnił Diggin niemal przepraszającym tonem. Dodał

szybko: – Musisz pociągnąć za spust tylko raz. Harold miał takie samo zadanie.

– Tyle że Harold go nie wykonał – odezwała się Vivian głębokim i leniwym głosem, który kojarzył się Heather zmiejscami, gdzie zawsze jest ciepło i nigdy nie pada.

Zmusiła się, by spojrzeć jej w oczy.
– Więc Harold odpadł?
Vivian wzruszyła ramionami.

– Na to wygląda. – Trzymała jedną nogę na krześle, zkolanem przyciągniętym do piersi, i bawiła się swoim naszyjnikiem. Jej obojczyki wystające z bluzki na ramiączkach wyglądały jak kości małego ptaszka. Heather wyobraziła sobie, jak Bishop całuje to miejsce, i odwróciła wzrok.

A zatem Harold odpadł. Czyli zostało tylko czworo zawodników.
– Rozumiem– powiedziała. Z trudem przełykała ślinę.
– Rozumiem– powtórzyła.

Chciała mieć to jak najszybciej z głowy, ale ręce zwisały jej bezwładnie po bokach i nie chciały się ruszyć. Nat wpatrywała się w nią, przerażona, jakby Heather już była martwa.

– Czy jestnaładowana? – spytał ktoś ze zgromadzonych.

– Tak, jest naładowana – potwierdził Ray. – Sprawdziłem. – Ale nawet on wyglądał jakby zbierało mu się na mdłości, i unikał spojrzenia Heather.

„Nie bój się", powiedziała sobie w duchu. Ale wywołało to przeciwny skutek. Czuła się przykuta do ziemi, sparaliżowana strachem. Ile komór było w pistolecie? Jakie miała szanse powodzenia? Zawsze była kiepska wobliczaniu prawdopodobieństwa.

Ciągle słyszała w głowie głos mamy: „Wróciłam pewnego dnia do domu izobaczyłam jego mózg na ścianie…"

Nie miała wyjścia, o ile nie chciała odpaść z gry. Bo co wtedy stałoby się z Lily?
Ale co się z nią stanie, jeśli Heather strzeli sobie włeb?

Jej ręka ruszyła się i sięgnęła po broń. Jej dłoń wyglądała blado i obco, jak jakieś dziwne stworzenie zgłębi oceanu. Za jej plecami Nat jęknęła.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Wszyscy odwrócili się jednocześnie, jak

marionetki na tym samym sznurku.

Dodge.
Heather poczuła rozczarowanie. W głębi duszy miała nadzieję, że będzie to Bishop.
– Cześć – odezwała się, ale Dodge nie odpowiedział. Podszedł do niej tylko, niemal odpychając Matta z drogi.

– To byłaś ty – rzucił cichym głosem, w którym aż kipiała wściekłość.
– Co?– Heather zamrugała oczami.

– Wypaplałaś komuś o pająkach. – A potem spojrzał na Natalie. – Albo ty.
Ray zachichotał. Dodge go zignorował.

– Oczym ty mówisz? – Heather przedtem nawet nie przyszło do głowy pytanie, skąd sędziowie wiedzieli, że Dodge boi się pająków. Ale teraz zaczęła się zastanawiać. Skąd wiedzieli tyle o nich wszystkich? Poczuła ścisk wżołądku i bała się, że zwymiotuje.

– Żadna z nas nic nie powiedziała, Dodge. Przysięgam
– wtrąciła się Natalie.

Dodge spoglądał to na jedną, to na drugą. A potem nieoczekiwanie wyciągnął rękę i chwycił pistolet. Kilka osób jęknęło, aDiggin zrobił unik, zupełnie jakby się spodziewał, że Dodge zacznie strzelać.

– Co ty wyprawiasz!?– krzyknęła Vivian.

Dodge zrobił coś z pistoletem– chyba otworzył magazynek, choć jego palce poruszały się tak szybko, że Heather nie mogła być pewna. Apotem odłożył go na stół.

– Chciałem się upewnić, że jest naładowany. Żeby było sprawiedliwie. – Teraz unikał spojrzenia Heather. Skrzyżował ręce na piersi i czekał.

– Biedny Dodge – Ray nawet nie próbował stłumić śmiechu. – Taki duży, a boi się małych pajączków.
– Wkrótce twoja kolej, Hanrahan – powiedział spokojnym tonem Dodge iRay przestał rechotać.

W pokoju zapanowała cisza. Heather wiedziała, że nikt już jej nie przerwie. Nic jej już nie rozproszy. Miała wrażenie, że w pomieszczeniu zrobiło się jasno. Za jasno i za duszno.

Wzięła pistolet. Słyszała, jak Nat mówi:
– Błagam, nie.

Wiedziała, że wszyscy wciąż na nią patrzą, ale nie była wstanie odróżnić pojedynczych twarzy – ludzie przekształcili się w niewyraźne plamy, sugestie kolorów ikształtów. Nawet stół zaczął się rozmazywać.

Jedyną realną rzeczą był pistolet, ciężki i zimny.

Miała problem z tym, żeby trafić palcem na spust. Od pasa wdół nie czuła już ciała. Może właśnie na tym polegało umieranie – na powolnym paraliżu.

Przyłożyła broń do skroni ipoczuła na skórze zimną lufę przypominającą otwarte usta. Pomyślała, że tak musiał się czuć jej ojciec.

Zamknęła oczy.

– Nie rób tego! – pisnęła Nat w tym samym momencie, gdy czyjeś krzesło przewróciło się na podłogę i kilka głosów krzyknęło jednocześnie.

Klik.

Nic. Otworzyła oczy. W pokoju natychmiast zrobiło się głośno. Ludzie zrywali się z krzeseł, wiwatowali. Heather była tak osłabiona z radości i ulgi, że nie potrafiła utrzymać pistoletu, który wysunął jej się z dłoni i upadł na podłogę. Natalie rzuciła jej się w ramiona.

– Heather, o rany, Heather – ciągle powtarzała. – Byłaś taka dzielna.

– Już jest okej, już jest okej – mówiła Heather, ale wydawało jej się, że to nie jej usta wypowiadają te słowa. Wargi ijęzyk miała wyschnięte, a ciało dygotało, jakby zaraz miało się rozpaść na kawałki. Kiedy Nat ją wypuściła, Heather ciężko opadła na krzesło.

Było po wszystkim.
Żyła.

Ktoś wsunął jej do ręki kubek, zaczęła pić zwdzięcznością i dopiero po chwili zorientowała się, że to ciepłe piwo. Diggin stanął przed nią i powiedział:

– Nie sądziłem, że to zrobisz. Rany. Szacun, kobieto.

Nie wiedziała, czy Matt jej pogratulował. Jeśli tak, to tego nie zarejestrowała. Vivian uśmiechnęła się do niej, ale się nie odezwała.

Nawet Dodge do niej podszedł.

– Posłuchaj, Heather.– Uklęknął, żeby ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Przez chwilę szukał jej wzroku ibyła pewna, że chce jej powiedzieć coś ważnego. Ale on rzekł tylko: – Schowaj to w bezpieczne miejsce, dobrze?– Iwcisnął jej coś do ręki. Heather machinalnie wsunęła przedmiot do kieszeni.

Nagle poczuła, że musi się stąd wydostać. Byle z dala od atakującego nos smrodu piwa, starych papierosów ioddechów innych ludzi. Byle z dala od Fresh Pines, dokąd przecież miała nigdy nie wracać. Chciała się znaleźć w domu Anne, w niebieskim pokoju, isłuchać wiatru szumiącego w drzewach oraz mruczenia Lily przez sen.

Podniosła się dopiero za drugim razem. Miała wraż enie, jakby jej ciało zostało niewprawnie pozszywane zniepasujących do siebie elementów.

– Możemy już iść? – rzuciła w stronę Nat. Jej oddech delikatnie pachniał piwem i normalnie Heather wkurzyłaby się na przyjaciółkę, że piła przed jazdą. Ale teraz nie miała siły, żeby się kłócić i żeby w ogóle się tym przejmować.

– To było *fantastyczne*– skomentowała Nat, gdy wsiadły do samochodu. – Poważnie, Heather. Wszyscy będą o tym mówić jeszcze przez lata. Ale moim zdaniem to trochę nie fair. Twoje zadanie było miliard razy trudniejsze niż Dodge'a. W końcu mogłaś zginąć.

– Czy możemy o tym nie rozmawiać? – spytała Heather. Opuściła szybę i wdychała zapach sosen i mchu. Żyła.
– Jasne, nie ma sprawy.– Nat zerknęła na nią. – Wszystko wporządku?

– Tak. – Jej myśli pobiegły w głąb lasu, w gęstwinę, przez którą rzadko przedzierają się promienie słońca. Zmieniła pozycję, by móc oprzeć głowę o szybę, i poczuła coś w kieszeni. Przypomniała sobie, że Dodge jej coś dał. Zastanawiała się, czy czuł się winny z powodu swoich wcześniejszych oskarżeń.

Sięgnęła do kieszeni. W tej samej chwili przejechały pod latarnią i gdy Heather otwarła dłoń, czas zatrzymał się na moment. Wszystko było idealnie nieruchome – Nat zobiema rękami na kierownicy i otwartymi ustami, bo właśnie miała coś powiedzieć. Drzewa na zewnątrz, zastygłe w oczekiwaniu. Do połowy wyprostowane palce Heather.

I kula,spoczywająca w jej dłoni.

NIEDZIELA, 14 SIERPNIA

HEATHER

Drugi tydzień sierpnia dobiegał końca. Gra zbliżała się do finału. Zostało w niej czworo graczy: Dodge, Heather, Nat i Ray.

Po raz pierwszy, od kiedy zaczęli grać, ludzie obst awiali zwycięstwo Heather, chociaż Ray i Dodge nadal prowadzili w rankingu iszli łeb w łeb.

Do Heather dotarła informacja, że Ray przeszedł swoje indywidualne wyzwanie – włamał się do kostnicy w East Chatham isiedział tam zamknięty z trupami przez całą noc. Przerażające, ale raczej by go to nie zabiło. Heather wciąż była wściekła, że to jej przypadło najbardziej niebezpieczne zadanie.

Oczywiście doceniała fakt, że Dodge zadbał, by tak naprawdę nic jej nie groziło. Dodge, który ukrył w dłoni kulę, kiedy udawał, że sprawdza magazynek.

Dodge, który teraz nie odbiera jej telefonów. To wszystko było nieźle pokręcone: Bishop bezustannie do niej wydzwaniał, ona wydzwaniała do Dodge'a, a Krista do niej. Nikt nie odbierał. Telefoniczna zabawa w kotka imyszkę.

Nat unikała towarzystwa. Wciąż nie przydzielono jej zadania. Zkażdym dniem robiła się coraz bledsza ichudsza. Po raz pierwszy nie gadała bez końca ochłopakach, z którymi się umawia. Ogłosiła nawet uroczyście, że postanowiła na jakiś czas dać sobie spokój z facetami. Heather nie wiedziała, czy to z powodu gry, czy czegoś, co wydarzyło się na tamtej imprezie urodzinowej, ale Nat przypominała jej czekającą na zgilotynowanie arystokratkę, którą Heather widziała kiedyś na ilustracji wpodręczniku do historii.

Tydzień po zadaniu Heather ostrze opadło.

Heather i Nat zabrały Lily do kina do galerii handlowej głównie po to, by odpocząć od upału – przez trzy dni zrzędu termometry pokazywały trzydzieści pięć stopni iHeather miała wrażenie, że powietrze zmieniło się wzawiesistą zupę. Niebo było wypalone, bladoniebieskie, agałęzie drzew stały w bezruchu.

Po filmie wracały samochodem Nat do domu Anne. Nat dowiedziała się wreszcie, że Heather wyprowadziła się od matki, izaoferowała, że zostanie dzisiaj u niej na noc, mimo że nie lubiła psów i wżyciu nie zbliżyłaby się do zagrody dla tygrysów.

Anne wyjechała z miasta na weekend, by odwiedzić szwagierkę w Bostonie, aHeather bała się zostać sama w wielkim, starym domu. To była jedyna dobra strona mieszkania w przyczepie – człowiek zawsze wiedział, kto jest w domu ico się dzieje. Dom Anne był inny, ciągle coś w nim skrzypiało, słychać było tajemniczy stukot, trzaski i chrobotanie.

– Odbierz– powiedziała Nat, gdy zadźwięczał leżący między jej nogami telefon.
– A fe– prychnęła Heather. – Nie będę tam pchać łap.

Nat zachichotała i – na chwilę odrywając ręce od kierownicy– rzuciła w nią swoją komórką. Heather zrobiła unik isiedząca na tylnym siedzeniu Lily zawyła.

– Przepraszam, żabko – powiedziała Nat.

– Nie nazywaj mnie tak – upomniała ją Lily surowo. Nat się roześmiała. Ale Heather siedziała z telefonem na kolanach iczuła, że dłonie jej lodowacieją.

– O co chodzi?– zapytała Nat. I nagle spoważniała. – Czy to…? – Urwała i spojrzała w lusterko wsteczne, na Lily, która zamieniała się w słuch.

Heather jeszcze raz przeczytała wiadomość. To niemożliwe.
– Czy mówiłaś komuś, że śpisz dzisiaj u Anne?– spytała cicho.

Nat wzruszyła ramionami.
– Rodzicom. I Bishopowi. I chyba jeszcze Joeyowi.

Heather zamknęła klapkę telefonu i wrzuciła go do schowka. Nagle zapragnęła się znaleźć jak najdalej stąd.
– A co?– spytała Nat.

– Ktoś się dowiedział, że Anne wyjechała – wyjaśniła Heather. Podgłośniła radio, żeby Lily ich nie słyszała. – Sędziowie się dowiedzieli.

A komu ona sama powiedziała? Dodge'owi, ws pomniała mu o tym w SMS–ie. Zaprosiła go, by wpadł porozmawiać, i chciała mu przy okazji podziękować. Pewnie też sama Anne powiedziała kilku osobom. To było Carp i ludzie gadali, bo nie mieli nic innego do roboty.

Dotarło do niej, co może oznaczać to, co właśnie przeczytała, i jakie zadanie miałaby wykonać Nat. Opuściła szybę, ale uderzenie gorącego powietrza nie przyniosło jej ulgi. Niepotrzebnie wypiła w kinie tyle coli. Było jej niedobrze.

– O co chodzi?– spytała Nat. Wyglądała na przestraszoną. Nieświadomie zaczęła wystukiwać rytm na kierownicy. – Co będę musiała zrobić?

Heather spojrzała na nią. W ustach czuła smak popiołu inawet nie była w stanie wyartykułować całego zdania.
– Tygrysy. – Tyle zdołała z siebie wydusić.
DODGE

Konkurencje Paniki zaws ze cieszyły się popularnością wśród publiczności, ale w tym roku większość wolała sobie darować oglądanie. Za duże było ryzyko. Policja zagroziła, że przyskrzyni każdego, kto ma coś wspólnego zgrą, poza tym wszyscy bali się oskarżenia o podpalenie domu Graybillów. Plotka głosiła, że Sadowski na siłę szuka kozła ofiarnego. Na zwykle pustych drogach co rusz można było napotkać radiowozy, nawet z innych okręgów.

Ale temu słowu – *tygrysy*– nie dało się oprzeć. Miało własną moc i impet: pomknęło przez las, zakradło się do domów zabarykadowanych przed upałem, obróciło się wrytmie wentylatorów, które wirowały w sypialniach Carp, ido południa wszyscy gracze, także ci, którzy odpadli, widzowie, uczestnicy zakładów, bukmacherzy i kapusie – wszyscy, których gra i jej wynik choć trochę obchodziły – usłyszeli o tygrysach z Mansfield Road.

Dodge leżał nago na swoim łóżku obok dwóch pr acujących naraz wentylatorów, kiedy dostał SMS–a od Heather. Przez chwilę nie był pewien, czy mu się to nie śni. Wpokoju było ciemno i gorąco jak w saunie. Ale wolał nie otwierać drzwi. Ricky znowu wpadł z wizytą i przyniósł Daynie jedzenie, które sam przygotował w knajpie: ryż zfasolą i krewetkami, śmierdzący jak przypalony czosnek. Oglądali razem film i od czasu do czasu Dodge, mimo zamkniętych drzwi i warkotu starych silniczków wwentylatorach, słyszał ich przytłumiony śmiech.

Wystarczyło, że się podniósł, i już oblał się potem. Wybrał numer Bishopa.

– Co ci odbiło, do cholery? – rzucił do telefonu, bez zbędnych wstępów i powitalnej gadki szmatki. – Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś *jej*to zrobić?

Bishop westchnął.

– Takie są zasady gry, Dodge. Nie jestem jedynym, który ma na to wpływ. – Brzmiał, jakby był na skraju wytrzymałości. – Jeśli zadania nie będą wystarczająco trudne, kto inny mnie zastąpi. A wtedy już w niczym nie będę mógł pomóc.

Dodge zignorował jego wyjaśnienia.

– Przecież ona przez to nie przebrnie. Nawet nie powinna próbować.
– I nie musi.

Dodge miał ochotę rzucić telefonem o ścianę, choć wiedział, że Bishop ma rację. Żeby jego plan się powiódł, Nat itak musiała wylecieć, i to teraz. Mimo to wydawało się to nie fair. Zadanie było zbyt trudne, zbyt niebezpieczne, tak jak w przypadku Heather. Ale wtedy przynajmniej obaj dopilnowali, by tak naprawdę nic jej nie groziło.

– Heather znajdzie jakiś sposób, żeby jej pomóc – pocieszył go Bishop, jak gdyby czytał Dodge'owi wmyślach.

– Tego nie możesz zagwarantować – warknął i się rozłączył.

Sam nie wiedział, czemu był taki wściekły. Znał z asady Paniki od samego początku. Ale jakoś wszystko wymknęło się spod kontroli. Zastanawiał się, czy Bishop będzie miał na tyle odwagi, by się tam dziś pojawić.

Biedna Natalie. Chciał do niej zadzwonić, spróbować ją przekonać, by dała sobie spokój, by zrezygnowała, ale wtedy przypomniał sobie, jak mu zwróciła naszyjnik, iwłasne słowa o rozkładaniu nóg. Ogarnął go wstyd. Miała prawo znim nie rozmawiać. Miała nawet prawo go nienawidzić.

Ale postanowił, że pójdzie tam dzisiaj. I nawet jeśli faktycznie Nat go nienawidzi, nawet jeśli będzie go zupełnie ignorować, chciał, by wiedziała, że tam był. I że jest mu przykro zpowodu tego, co powiedział.

Czasu miał coraz mniej.

HEATHER

Jednym z problemów Heather – jednym z mniej więcej setki jej poważnych problemów – była Lily, awłaściwie to, co z nią zrobić. Anne zostawiła im jedzenie na cały weekend: makaron z serem– ale nie zpudełka, tylko zrobiony z prawdziwego sera, mleka iświderków – oraz zupę pomidorową. Nawet gdy teraz je podgrzewała, Heather poczuła się jak zbrodniarka – Anne zaprosiła je do swojego domu, opiekowała się nimi, a ona spiskowała za jej plecami.

Lily spałaszowała trzy porcje. Heather zastanawiała się, jak jej siostra może jeść tyle w takim upale. Wszystkie wentylatory chodziły, wszystkie okna były otwarte, ale itak żar był nie do zniesienia. Ona sama nie była w stanie wziąć do ust ani kęsa. Mdliło ją z poczucia winy izdenerwowania. Niebo powoli zmieniało kolor, a cienie się wydłużały. Już niedługo słońce zajdzie, wyznaczając początek zadania.

Zastanawiała się, co porabia teraz Natalie. Siedziała zamknięta na górze od trzech godzin. Heather słyszała tylko dudnienie rur i szum wody z prysznica, trzy razy.

Gdy Lily zjadła, Heather zaprowadziła ją do salonu – wielkiego, ciemnego pokoju, wktórym wiele przedmiotów pamiętało jeszcze zmarłego męża Anne: rozpadające się skórzane kanapy, moherowe narzuty i dywan, który lekko śmierdział mokrym psem. Tutaj było trochę chłodniej, chociaż i tak gdy Heather usiadła, jej uda przykleiły się do skórzanego obicia.

– Musisz mi obiecać, że nie wyjdziesz na zewnątrz – rzekła do siostry. – Będzie tam sporo ludzi i pewnie będą hałasować. Ale musisz tu zostać, tu jest bezpiecznie. Obiecaj mi.

Lily zmarszczyła brwi.
– Czy Anne o tym wie?– zapytała.
W Heather wezbrało poczucie winy. Pokręciła głową.
– Nie, isię nie dowie.

Lily skubała fragment wypełnienia, które wystawało zkanapy. Przez chwilę milczała. Nagle Heather zapragnęła wziąć siostrę w ramiona, uścisnąć ją i powiedzieć jej owszystkim: że jest przerażona i że nie wie, co się z nimi stanie.

– Chodzi o Panikę, tak? – spytała Lily. Podniosła wzrok. Twarz miała obojętną i bez wyrazu, a jej przygaszone spojrzenie przypominało Heather tygrysie oczy: pierwotne iwszechwidzące.

Wiedziała, że nie ma sensu kłamać, więc powiedziała:
– To już prawie koniec.

Lily nie po ruszyła się, gdy siostra pocałowała ją wczubek głowy pachnący trawą i potem. Heather oderwała uda od kanapy z ostrym plaśnięciem i włożyła do odtwarzacza płytę DVD o zoo, októrą prosiła mała i którą Anne kupiła dla niej w prezencie.

Heather wiedziała, że Anne jest dobrym człowiekiem. Najlepszym, jakiego spotkała w życiu. Ale kim w takim razie jest ona, Heather?

Była już w drzwiach, kiedy Lily się odezwała:
– Wygrasz?

Heather odwróciła się. Nie włączała świateł, żeby wpokoju było trochę chłodniej, więc twarz Lily kryła się w cieniu.

Spróbowała się uśmiechnąć.
– Już wygrywam – skłamała i zamknęła za sobą drzwi.

Przesłonięte delikatną mgiełką niebo, mlecznobiałe iwypalone, wreszcie pociemniało, słońce skryło się za drzewami iświatło przygasło. Wtedy nadjechali – opony poruszały się po polnej drodze niemal bezgłośnie, areflektory błyskające w lesie wyglądały jak przerośnięte świetliki.

Nie było słychać żadnej muzyki, żadnych krzyków. Wszyscy uważali na policję.

Heather stała przed domem i czekała. Psy ujadały jak wściekłe, więc ciągle rzucała im jedzenie, żeby je uciszyć. Wiedziała, że w pobliżu nikt nie mieszka, ale cały czas się bała, że ktoś i tak je usłyszy – iże Anne w jakiś sposób się o tym dowie iprzywołana tym szczekaniem natychmiast przyjedzie do domu.

Nat wciąż siedziała na górze.

Heather nakarmiła tygrysy, dała im nawet więcej niż podwójną porcję mięsa. Teraz, gdy nastała ciemność igwiazdy zaczęły pulsować przysłonięte warstwą rozgrzanego powietrza, oba leżały na boku. Chyba spały, nie zważając na wszystkie nadjeżdżające auta. Heather modliła się, by tak już zostały – by Nat mogła zrobić, co będzie musiała, i wyjść.

Samochody przybywały jeden za drugim: Diggin, Ray Hanrahan, a nawet kilkoro graczy wyeliminowanych wcześniej, jak Cory Walsh czy Ellie Hayes. Przyjechała też Mindy Kramer igrupka jej koleżanek z sekcji tanecznej, wciąż w bikini, wyciętych szortach i boso, jakby właśnie wróciły z plaży. Zev Keller miał szkliste, zaczerwienione oczy inajwyraźniej był pijany. Towarzyszyło mu dwóch kumpli, których Heather nie znała. Ludzie, których nie widziała od zadania na wieżach ciśnień. Również Matt Hepley zDelaney. Minął ją jak powietrze. A ona zdała sobie sprawę, że zupełnie jej to nie rusza.

Wszyscy przeszli przez podwórze i zebrali się wokół zagrody dla tygrysów, w ciszy iniedowierzaniu. Było już ciemno, więc błysnęły lampy telefonów. Reflektory na stodole miały czujniki ruchu, więc teraz też się włączyły, oświetlając śpiące obok siebie tygrysy, które wyglądały jak posągi leżące na płaskiej dłoni ziemi.
– To niesamowite – ktoś wyszeptał.

– Ja pierniczę.

Można było mrugać oczami, odwracać na chwilę wzrok, ale one nie znikały. Tygrysy. Te niezwykłe stworzenia, cyrkowe osobliwości, leżały na wyciągnięcie

ręki.

Heather poczuła ulgę, gdy dostrzegła nadjeżdżającego na rowerze Dodge'a. Wciąż nie miała okazji podziękować mu za to, co zrobił.

Jego pierwsze słowa brzmiały:
– Jest tu Bishop?
Pokręciła głową. Skrzywił się.
– Dodge – odezwała się. – Chciałam ci powiedzieć…

– Nie. – Położył dłoń na jej ramieniu ilekko je ścisnął.
– Jeszcze nie teraz.

Nie wiedziała dokładnie, o co mu chodzi. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, co Dodge zamierza robić jesienią. Zostanie w Carp czy chce poszukać pracy gdzie indziej? Amoże chce pójść na studia? Nie pamiętała, jak radził sobie w szkole.

Na myśl o tym, że Dodge miałby wyjechać, zrobiło się jej przykro. Byli przyjaciółmi albo przynajmniej kimś w tym rodzaju.

Uderzyło ją, jakie to smutne, że oni wszyscy – jej przyjaciele, koledzy ze szkoły, a nawet ludzie, których nienawidziła – wyrośli razem jak zwierzęta w zbyt ciasnej klatce, ateraz po prostu się rozpierzchną. To będzie koniec. Wszystko, co się zdarzyło – te głupie szkolne dyskoteki i imprezy w piwnicach, mecze futbolowe, szare dni, kiedy deszcz kołysał ich do snu na lekcjach matmy, letnie kąpiele w rzece i wykradanie coli zlodówek na tyłach 7– Eleven, nawet to teraz, Panika– zginie wotchłani niepamięci, jakby nigdy się nie wydarzyło.

– Gdzie jest Natalie?– zapytał Diggin. Mówił cicho, jakby się bał, że obudzi tygrysy.

W tłumie nie rozlegał się nawet najlżejszy szmer. Wszyscy stali cicho inieruchomo, jakby zahipnotyzował ich widok tych nierzeczywistych stworzeń, rozciągniętych na ziemi jak cienie.

– Pójdę po nią – powiedziała Heather. Cieszyła się, że ma wymówkę, by choć na chwilę wejść do domu. To, co robiła, w czym pomagała Nat, było straszne. Stanęła jej przed oczami twarz Anne, jej szeroki uśmiech, od którego jej oczy zmieniały się w wąskie szparki. Nigdy nie czuła się tak winna, nawet wtedy, gdy zabrała samochód mamy.

Podjechało kolejne auto, po prychaniu i sykach silnika Heather poznała, że to

Bishop. Miała rację. Gdy dochodziła do drzwi, właśnie wysiadał z samochodu. Zobaczył ją.

– Heather! – Mimo że nie krzyczał, jego głos zabrzmiał tak donośnie jak policzek w ciszy.
Zignorowała go. Weszła do kuchni i zastała tam Natalie siedzącą przy stole, z zaczerwienionymi oczami.

Przed nią stała szklaneczka i butelka whisky.
– Skąd to wzięłaś? – spytała.

– Ze spiżarni. – Nat nawet nie podniosła wzroku. – Przepraszam. Ale wypiłam tylko odrobinę. – Skrzywiła się.
– Ohyda.

– Już czas – rzekła Heather.

Nat kiwnęła głową i wstała. Była boso, miała na sobie dżinsowe szorty i włosy wciąż mokre po prysznicu. Heather wiedziała, że gdyby nie była tak przerażona, pewnie chciałaby się umalować i uczesać. Ale pomyślała, że Nat jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Natalie, jej nieobliczalna istrachliwa przyjaciółka, która uwielbiała muzykę country, wiśniowe ciasteczka, śpiewanie przed publicznością i kolor różowy, a panicznie bała się bakterii, psów i drabin.

– Kocham cię, Nat – powiedziała pod wpływem impulsu.
Nat wyglądała na przestraszoną, jakby zdążyła już zapomnieć, że Heather tu jest.
– Ja ciebie też, Heather – odparła. Udało jej się uśmiechnąć. – Jestem gotowa.

Bishop chodz ił w kółko obok domu, dotykał palcami ust iznowu opuszczał dłoń, jakby palił niewidzialnego papierosa. Gdy Nat weszła w tłum, dogonił Heather.

– Błagam cię – odezwał się chrapliwym głosem. – Musimy porozmawiać.

– Chyba nie teraz. – Jej głos zabrzmiał ostrzej, bardziej sarkastycznie, niż zamierzała.

Zorientowała się, że nie widziała dzisiaj Vivian, izastanawiała się, czy Bishop nie poprosił jej, by nie przychodziła. „Błagam cię, kochanie. Tylko dopóki nie wyprostuję spraw z Heather. Jest zazdrosna, sama wiesz… Zawsze coś do mnie czuła”. Coś zaczęło ją dławić w gardle, gdy otym pomyślała. Jakaś cząstka w niej miała ochotę powiedzieć mu, żeby się odwalił. Inna część zapragnęła zarzucić mu ręce na szyję i poczuć jego wibrujący śmiech, dziką plątaninę jego włosów na

swojej twarzy. Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała zdusić w sobie wszystkie uczucia.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Bishop oblizał wargi. Wyglądał koszmarnie. Był potwornie blady i wychudzony.
– To naprawdę ważne.

– Później, dobra? – Minęła go, zanim miał szansę zaprotestować.

Natalie pierwszy raz w życiu podeszła tak blisko zagrody dla tygrysów. Tłum cofnął się odruchowo, więc stała wkręgu pustej przestrzeni, jak gdyby zarażała jakimś śmiertelnym wirusem.

Heather podbiegła do niej. Psy znów zaczęły ujadać, zakłócając spokój, i Heather uciszyła je ostrym sykiem, gdy mijała ich kojec. Przepchnęła się bez trudu przez tłum ipodeszła do Nat. Miała wrażenie, że narusza czyjś prywatny teren.

– Wszystko wporządku – wyszeptała. – Jestem tutaj. – AleNat zdawała się jej nie słyszeć.
– Zasady są proste – zaczął Diggin.

Mówił normalnie, ale dla Heather brzmiało to jak krzyk. Wduchu zaczęła się modlić, by tygrysy się nie obudziły. Wciąż nawet nie podniosły głów. Zauważyła, że nie tknęły mięsa, które im rzuciła. Teraz nad ochłapami brzęczały muchy. Sama nie wiedziała, czy to dobry, czy zły znak.

– Wchodzisz do zagrody, stoisz tam z tygrysami przez dziesięć sekund i wychodzisz. – Diggin położył nacisk na ostatnią część zdania.

– Jak blisko?– zapytała Nat.
– Co?

– Jak blisko muszę podejść? – powtórzyła, odwracając się do niego.

Diggin wzruszył ramionami.
– Chyba wejść do środka, i tyle.

Nat wypuściła powietrze z płuc. Heather starała się dodać jej odwagi uśmiechem, chociaż czuła, jakby jej twarz zmieniła się w glinianą maskę, która zaraz popęka. Tygrysy spały, więc Nat nie będzie miała problemów. Leżały jakieś dwanaście metrów od wejścia. Nat nie musiała się nawet do nich zbliżać.

– Będę liczył czas – powiedział Diggin. A potem spytał: – Kto ma klucz od bramy?

– Ja. – Heather zrobiła krok naprzód. Usłyszała delikatny szmer, wszyscy odwrócili się w jej stronę. Czuła na skórze żar wszystkich spojrzeń. Atmosfera była ciężka, nieruchoma.

Zaczęła grzebać w kieszeni. Słyszała oddech Nat, szybki ipłytki, jak u rannego zwierzęcia. Przez chwilę nie mogła znaleźć klucza i sama nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę. A wtedy jej palce zacisnęły się na metalowym kształcie.

W nieruchomej ciszy szczęk kłódki brzmiał głośno jak wystrzał z karabinu. Ostrożnie odwinęła ciężki łańcuch ipołożyła go na ziemi, a potem odsunęła metalowe zasuwy, jedna po drugiej, rozpaczliwie próbując robić wszystko bardzo powoli, by dać Nat kilka sekund więcej.

Gdy ostatnia zasuwa szczęknęła, oba tygrysy jednocześnie uniosły łby, jakby wyczuły, że coś się szykuje. Wszyscy jednocześnie westchnęli. Nat jęknęła.

– Trzymaj się – powiedziała Heather, ściskając ją za ramiona. Czuła, jak przyjaciółka się trzęsie. – Dziesięć sekund. Musisz tylko wejść za bramę. Nawet się nie obejrzysz, jak będzie po wszystkim.

Ludzie zaczęli szemrać, wiercić się, nerwowo ch ichotać. Zniknął gdzieś pełen wyczekiwania spokój. Przez tłum przeszła fala elektryzującej energii. Gdy Nat zrobiła jeden niepewny krok wstronę wejścia, a potem następny, tygrysy również się podniosły – zgrabnym ruchem stanęły na łapach, przeciągnęły się i ziewnęły szeroko, odsłaniając zębiska, które błysnęły w świetle reflektorów, jakby postanowiły dać pokaz swoich możliwości.

Nat położyła rękę na bramie. A potem drugą. Wreszcie obie. Poruszała ustami i Heather zastanawiała się, czy odlicza, czy się modli, a może dla niej to jedno i to samo. Na tle ogromnej bramy wydała się mniejsza, a jej sylwetka odcinająca się w ostrym, nienaturalnym świetle wyglądała nierealnie, jednowymiarowo, jak wycinanka z kartonu.

– Nie musisz tego robić. – Głos Dodge’a rozległ się tak donośnie i nieoczekiwanie, że wszyscy spojrzeli w jego stronę. Nat również się odwróciła i Heather zobaczyła, że marszczy brwi.

A potem otworzyła bramę i weszła do środka.
– Włącz stoper! – krzyknęła Heather. Zobaczyła, że Diggin grzebie w swoim telefonie.– *Natychmiast*.

– Już, już – bąknął Diggin. – Czas start!

Było jednak za późno. Tygrysy już się ruszyły. Ich ogromne łby kołysały się powoli pomiędzy łopatkami jak jakieś straszliwe wahadła… Ale były już za blisko. Robiąc zaledwie trzy kroki, zdążyły pokonać pięć metrów – otwarte pyski, wyszczerzone kły.

– Trzy sekundy! – oznajmił Diggin.

To niemożliwe – Nat stoi tam już od dziesięciu minut, od pół godziny, od zawsze. Serce podskoczyło Heather do gardła. Nikt się nie odzywał. Nikt się nie poruszył. Wszystko było czarnym morzem, rozmytym iniewyraźnym, wszystko z wyjątkiem jasnego kręgu światła, płaskich konturów Nat oraz długich cieni tygrysów. Nat trzęsła się i cichutko pojękiwała. Heather bała się przez chwilę, że jej przyjaciółka zemdleje.

Co wtedy? Czy tygrysy rzucą się na nią? Czy ona, Heather, znajdzie wsobie tyle odwagi, by spróbować je powstrzymać?

Wiedziała, że nie. Nogi miała jak z waty i z trudem oddychała.
– Siedem sekund! – krzyknął przenikliwie Diggin.

Tygrysy znajdowały się niecałe trzy metry od Natalie. Za dwa kroki będą przy niej. Heather słyszała ich oddechy, widziała jak poruszają się ich wąsy, wyczuwając zapachy. Po twarzy Nat popłynęły łzy. Ale wciąż twardo stała wmiejscu. Może była zbyt przerażona, by się ruszyć. Może ich oczy, przypominające głębokie czarne sadzawki, zahipnotyzowały ją.

– Osiem sekund!

Wtedy jeden z tygrysów przystanął i napiął mięśnie. Heather wiedziała, że szykuje się do ataku, czuła, że zaraz skoczy na Natalie irozerwie ją na strzępy, a oni będą stać ibezradnie na to patrzeć. Już chciała krzyknąć: „Uciekaj!”, ale nie była w stanie, bo gardło miała ściśnięte zprzerażenia. Nat rzuciła się do ucieczki. Być może ktoś inny ją ostrzegł. Nagle zrobiło się głośno i Nat była już na zewnątrz, zatrzaskiwała bramę i opierała się o nią zpłaczem.

W tym momencie tygrys, który szykował się do skoku − jak myślała Heather − położył się na ziemi.

– Dziewięć sekund – krzyknął Diggin ponad wrzawą. Przez bardzo krótką chwilę Heather poczuła coś w rodzaju triumfu, bo oto Nat wypadła z gry, apotem zrobiło

się jej strasznie wstyd. Przepchnęła się w stronę przyjaciółki, przyciągnęła ją do siebie i uścisnęła.

– Byłaś niesamowita – powiedziała do jej włosów.
– Nie udało mi się – rzekła Nat przytłumionym głosem. Jej twarz kleiła się Heather do piersi.
– Itak byłaś niesamowita – pocieszyła ją Heather.

Nat była jedyną osobą, która nie brała udziału wogólnej radości. Od razu weszła do domu. Inni zachowywali się tak, jakby zapomnieli o policji, otym, co się wydarzyło w domu Graybillów i o znalezionych wpiwnicy zwęglonych zwłokach Małego Kelly'ego – przez krótki moment atmosfera była taka jak na początku lata, podczas Skoku.

Ponad godzinę zajęło Heather pozbycie się wszys tkich, zagonienie ich do samochodów i wykurzenie zposesji. Przez cały ten czas psy ujadały wściekle, atygrysy leżały znów nieruchomo, jakby chciały coś w ten sposób udowodnić. Gdy większość aut wreszcie odjechała, Heather poczuła, że ręce i nogi zdrętwiały jej z wyczerpania. Ale, dzięki Bogu, już było po wszystkim, aAnne nigdy się o niczym nie dowie.

Zostało tylko troje graczy. I Heather była jednym z nich.
– Heather. – Bishop spróbował znowu, gdy było już niemal pusto.– Musimy porozmawiać.
– Nie dzisiaj, Bishop.

Jeszcze k ilka osób plątało się wokół domu, opierało o samochody ipewnie wkładało sobie nawzajem ręce wkieszenie spodni. Jakie to dziwne, przecież jeszcze kilka miesięcy temu była jedną z nich, chodziła na imprezy zMattem, ze swoim chłopakiem przez duże C, obnosząc się z tym na każdym kroku. Nosiła jego dresowe bluzy, jego czapki, jako dowód, że da się ją kochać, że jest normalna itaka jak inni. Ta dawna Heather wydawała jej się teraz kimś niemal obcym.

– Nie możesz mnie unikać do końca życia – powiedział, celowo stając tuż przed nią, gdy schyliła się, by sprzątnąć z ziemi paczkę papierosów wdeptaną w trawę.

Podniosła się. Włosy wystawały mu spod czapki, jak żywe stworzenia próbujące wydostać się na wolność. Oparła się potrzebie, by wyciągnąć rękę i spróbować je przygładzić. Najgorsze było to, że gdy na niego patrzyła, wciąż przypominał jej się ich pocałunek: żar, który na nią spłynął, miękkość jego ust oraz krótki elektryzujący moment, gdy jego język odnalazł jej.

– Nie unikam cię – odparła, odwracając wzrok, by przegnać wspomnienia. – Jestem po prostu zmęczona.

– Więc kiedy? – Wyglądał na zagubionego. – Zrozum, to ważne. Potrzebuję cię. Potrzebuję, żebyś mnie wysłuchała.

Kusiło ją, by zapytać, dlaczego to Vivian nie może go wysłuchać, ale nie zrobiła tego. Wyglądał strasznie, taki zabiedzony, aona kochała go, nawet jeśli on nie kochał jej. Świadomość, że coś go gnębi, że cierpi, była gorsza niż jej własny ból.

– Jutro– powiedziała. Mimowolnie wyciągnęła rękę iścisnęła jego dłoń. Wyglądał na przestraszonego, więc wypuściła ją szybko, jakby parzyła. – Jutro, obiecuję.

PONIEDZIAŁEK, 15 SIERPNIA

HEATHER

Rankiem Heather obudził krzyk. Wołała ją Lily, sł ychać też było, jak biegnie po schodach, a za chwilę drzwi otworzyły się z hukiem.

– Tygrysy zniknęły! – krzyknęła na progu. Dyszała ciężko, twarz miała czerwoną i mokrą od potu. Wraz z nią do pokoju wpadł delikatny zapach gnoju, pewnie właśnie karmiła zwierzęta.

– Co? – Heather momentalnie oprzytomniała ipodniosła się na łóżku.
– Brama jest otwarta i nie ma ich wśrodku – powiedziała Lily.

– To niemożliwe. – Heather już zakładała ubrania, wsuwała szorty, mocowała się z podkoszulkiem. Nawet nie zawracała sobie głowy stanikiem. – To niemożliwe – powtórzyła, ale gdy to mówiła, zaczął w niej trzepotać strach, przynosząc obrazy z ostatniego wieczoru, chaotyczne wspomnienia. Uściskała Nat, zamknęła bramę na zasuwy… Czy odwiesiła kłódkę na miejsce? Nie pamiętała. Pamiętała za to, że Mindy Kramer rozmawiała z nią o pracy u Anne, apotem musiała ochrzanić Zeva Kellera, który próbował się dostać do zagrody dla świń.

Musiała odwiesić tę kłódkę. Może tygrysy wcale nie zniknęły. Może tylko chowały się gdzieś między drzewami, aLily ich nie zauważyła.

Na dole zobaczyła, że jest już jedenasta, co oznaczało, że zaspała i że Anne wkrótce będzie w domu. Lily wyszła za nią na zewnątrz. Dziś też było gorąco, ale chmury zasnuły niebo i powietrze drżało od wilgoci. Będzie padać.

Już w połowie podwórza zobaczyła, że kłódka, leżąca wtrawie jak zwinięty, metalowy wąż, była dokładnie tam, gdzie ją wczoraj położyła, gdy otworzyła zagrodę dla Natalie.

Brama była uchylona.

Poczuła strach. Nie było sensu przeszukiwać całej klatki. Tygrysy zniknęły. *Czuła* to. Dlaczego psy nie szczekały? A może szczekały, tylko ona nie słyszała. Albo były zbyt przerażone, zahipnotyzowane jak tłum wczorajszego wieczoru.

Heather zamknęła oczy. Przez chwilę bała się, że z emdleje. Tygrysy zniknęły, to

była jej wina, i teraz Anne wkurzy się na nią i ją wyrzuci. Miałaby do tego pełne prawo.

Panika kazała jej otworzyć oczy– musi je odnaleźć, ito szybko, zanim Anne wróci do domu.
– Zostań tutaj – powiedziała do siostry, ale nie miała siły się kłócić, gdy Lily weszła za nią do domu.

Sama nie bardzo wiedziała, co robi. Znalazła wiadro pod zlewem, wyrzuciła z niego garść zeschniętych gąbek iśrodków czystości i włożyła do środka kilka na wpół zamrożonych płatów mięsa. A potem wyszła z domu iruszyła do lasu. Być może tygrysy nie odeszły za daleko iuda jej się zwabić je z powrotem.

– Gdzie idziemy?– spytała Lily.
– Ciii – syknęła na nią Heather.

Poczuła, że do jej oczu napływają łzy. Jak mogła być taką idiotką, takim kompletnym bezmózgowcem? Wiadro było ciężkie i musiała dźwigać je w obu rękach. Spoglądając to na lewo, to na prawo, szukała wśród zieleni błysku futra albo lśniących czarnych oczu. No chodźcie, chodźcie, kici, kici, kici.

Za jej plecami coś zaszeleściło w krzakach – wyczuła obecność jakiegoś zwierzęcia. Nagle dotarło do niej, jak głupio postępuje – pcha się głęboko w las z Lily i szuka tygrysów, jakby były zaginionymi kociakami, znadzieją, że zwabi je do domu. Jeśli rzeczywiście udałoby się je odnaleźć, pewnie rozszarpałyby ją na strzępy. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Słyszała teraz każdy szmer, każdą pękającą gałązkę, widziała każdy prześwit zieleni, który mógłby ukryć parę oczu lub pasmo płowego futra.

– Złap mnie za rękę, Lily – powiedziała, starając się, by wjej głosie nie było słuchać strachu. – Wracajmy do domu.

– A co z tygrysami? – spytała Lily. Najwyraźniej uważała to za rodzaj przygody.

– Musimy zadzwonić do Anne – odparła Heather i gdy to powiedziała, dotarło do niej, że to jedyne rozwiązanie. Wciąż towarzyszyło jej poczucie, jakby coś je obserwowało. – Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Nagle spomiędzy liści wychylił łepek szop i Heather poczuła ulgę. Porzuciła wiadro na ścieżce. Było za ciężkie, aona chciała się wydostać z lasu jak najszybciej.

Gdy wychodziły na polanę, Heather usłyszała zgrzyt opon ipomyślała, że to Anne

wróciła do domu. Nie wiedziała, czy ma czuć ulgę, czy lęk. Czuła i to, i to.

Wtedy zauważyła rdzewiejącą maskę lesabre'a Bi shopa iprzypomniała sobie, jak obiecała mu, że dziś z nim porozmawia.

– Bishop! – Nie zdążył wysiąść z samochodu, a Lily już biegła w jego stronę. – Tygrysy zniknęły! Tygrysy zniknęły!

– Co?– Bishop wyglądał jeszcze gorzej niż wczorajszego wieczoru, jakby wogóle nie spał. Odwrócił się do Heather.– To prawda?

– Tak – potwierdziła. – Zapomniałam zamknąć bramę na kłódkę.

Nagle prawda uderzyła w nią jak pięścią w brzuch iHeather rozpłakała się. Anne ją wyrzuci ibędą musiały wrócić do Fresh Pines albo tułać się od miasta do miasta. Do tego Anne będzie zdruzgotana. Jedyna osoba, która troszczyła się o Heather.

– Już dobrze, dobrze. – Bishop stanął obok niej. Nie protestowała, gdy ją przytulił. – To nie twoja wina. Wszystko będzie dobrze.

– To *jest* moja wina.

Ukryła twarz w jego ramieniu iszlochała, aż zaczęła się krztusić, a on głaskał ją po włosach i plecach, gładził delikatnie po policzku imruczał jej we włosy słowa pocieszenia. Tylko Bishop był w stanie sprawić, że czuła się mała. Tylko Bishop był w stanie sprawić, że czuła się bezpiecznie.

Nie usłyszała nawet samochodu Anne, dopóki nie trzasnęły drzwi i nie rozległ się jej rozgorączkowany głos:
– Oco chodzi? Co się stało?
Heather odsunęła się od Bishopa i Anne natychmiast złapała ją za ramiona.
– Wszystko wporządku? Nic ci nie jest?

– Nie chodzi o mnie. – Heather wytarła ręką nos. Wustach czuła smak flegmy. Nie miała odwagi spojrzeć Anne w oczy.– Nic mi nie jest. – Próbowała to powiedzieć: tygrysy zniknęły. Tygrysy zniknęły.

Lily milczała, tylko jej usta poruszały się bezdźwięcznie.

To Bishop wreszcie się odezwał:
– Tygrysy uciekły z zagrody.

Twarz Anne spurpurowiała, jakby Heather oglądała ją w telewizji iktoś nagle podkręcił kontrast.

– Chyba sobie żartujecie?
Heather zwysiłkiem pokręciła głową.
– Jak?– spytała Anne.

Zanim Heather się odezwała, wtrącił się Bishop.
– To moja wina.

– Nie – zaprotestowała Heather, odzyskawszy wreszcie głos. – Bishop nie ma ztym nic wspólnego. To przeze mnie. To przez… grę.

– Grę? – Anne patrzyła na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy wżyciu. – Przez grę?

– Panikę – wyjaśniła Heather chrapliwym głosem. – Otworzyłam bramę… Pewnie zapomniałam zamknąć ją z powrotem.

Przez chwilę Anne się nie odzywała. Zbladła, na jej twarzy malowało się przerażenie.
– Ale to ja kazałem jej to zrobić – rzekł niespodziewanie Bishop. – To moja wina.

– Nie.– Heather czuła zakłopotanie, że Bishop nadstawia za nią karku, choć jednocześnie była mu za to wdzięczna. – On nie miał z tym nic wspólnego.

– Właśnie miałem – powiedział Bishop podniesionym tonem. Był mokry od potu. – Kazałem jej to zrobić. Im wszystkim kazałem to robić. To ja zaprószyłem ogień wdomu Graybillów. To ja… – Głos mu się załamał. Odwrócił się do Heather i spojrzał na nią błagalnie. – To ja jestem sędzią. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Właśnie to chciałem ci wyjaśnić. To, co wtedy zobaczyłaś, zVivian…

Nie dokończył. Heather też nie była w stanie nic powiedzieć. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Jakby wszyscy znieruchomieli. Słowa Bishopa przebijały ją jak sople lodu, zamrażały ją od środka i odbierały zdolność mowy.

Niemożliwe. Nie Bishop. Przecież nawet nie chciał, żeby grała…
– Nie wierzę ci. – Usłyszała samą siebie wypowiadającą te słowa.
– Ale to prawda. – Teraz Bishop zwrócił się do Anne.
– To nie była wina Heather. Musi mi pani uwierzyć.

Anne przyłożyła rękę do czoła, jakby chciała opan ować ból. Zamknęła oczy. Lily

wciąż stała kilka kroków od nich wmilczeniu, wiercąc się niespokojnie. Wreszcie Anne otworzyła oczy iodezwała się cicho:

– Musimy zadzwonić na policję. Będą musieli ogłosić alarm.

Bishop pokiwał głową. Mimo to jeszcze przez chwilę wszyscy pozostali nieruchomo. Heather wolałaby, żeby Anne zaczęła na nią krzyczeć. To łatwiej byłoby jej znieść.

Wciąż nie dawały jej spokoju słowa Bishopa: „Kazałem jej to zrobić. Im wszystkim kazałem to robić".
– Chodź, Lily – powiedziała Anne. – Wejdźmy do środka.
Heather ruszyła za nimi, ale Anne ją powstrzymała.
– Ty tu zaczekasz – rzuciła ostro. – Porozmawiamy za chwilę.
Te słowa były dla niej jak policzek. To koniec. Teraz Anne ją znienawidzi.

Lily rzuciła siostrze zmartwione spojrzenie ipomknęła za Anne. Bishop i Heather zostali na podwórku sami. Słońce przedarło się przez chmury i gęste powietrze działało jak soczewka, skupiając jego żar.

– Przepraszam, Heather– odezwał się Bishop. – Nie mogłem ci powiedzieć. Musisz wiedzieć, że chciałem. Ale zasady…

– *Zasady*? – powtórzyła. Coś w niej pękło i z tej szczeliny wydobywał się gniew. – Okłamałeś mnie. Cały czas kłamałeś. Wciąż tylko powtarzałeś, że powinnam przestać grać…

– Chciałem tylko, żebyś była bezpieczna. A kiedy już wiedziałem, że się nie wycofasz, próbowałem ci pomóc. Kiedy tylko mogłem, próbowałem. – Bishop przysunął się bliżej i wyciągnął do niej ręce, ale zrobiła krok wtył.

– Omało przez ciebie nie zginęłam. Ten pistolet… Gdyby nie Dodge…
– Dodge to zrobił, bo go poprosiłem – przerwał jej Bishop. – Musiałem mieć pewność, że nic ci się nie stanie.

Klik, klik, klik. Wspomnienia wróciły i wszystkie elementy układanki wpadły na miejsce. To Bishop nalegał na to, żeby pojechać na skróty, które wiodły obok domu Narwanego Jacka. Sztuczne ognie przy domu Graybillów wDzień Niepodległości i to, jak Bishop zrobił wszystko, żeby ich nie przegapiły. A potem tamten pożar.

– Musisz mi uwierzyć, Heather. Nie chciałem cię okłamywać.

– To dlaczego to robiłeś, Bishop? – Skrzyżowała ręce na piersi. Nie chciała go słuchać. Chciała być wściekła. Chciała się poddać tej czarnej fali, pozwolić, by pochłonęła wszystkie inne myśli: o tygrysach, o tym, jak potwornie rozczarowała Anne, o tym, że znowu będzie bezdomna.

– Co tak bardzo chciałeś udowodnić, no co? – Miała poczucie, że pęka, że powoli odpadają od niej kolejne fragmenty. Trach. – Że jesteś lepszy od nas? Mądrzejszy? Dotarło do nas, jasne? Wkońcu *wyjeżdżasz*. – Trach. – Uciekasz stąd. To znaczy, że jesteś mądrzejszy niż cała reszta razem wzięta.

Usta Bishopa zacisnęły się teraz w wąską linię.

– Wiesz, co jest twoim problemem?– powiedział cicho. – Ty *chcesz*, żeby wszystko było do kitu. Masz siostrę, która cię kocha. Przyjaciół, którzy cię kochają. Ja cię kocham, Heather. – Powiedział to szybko, jednym tchem, inawet nie miała czasu poczuć z tego powodu szczęścia, bo mówił dalej. – WPanice pokonałaś prawie wszystkich. Ale ty widzisz wokół siebie tylko to, co złe. Więc w nic nie musisz wierzyć. I masz pretekst, żeby przegrać.

Trach. Heather odwróciła się, by nie widział jej tw arzy, na wypadek gdyby zaczęła płakać. Uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść. Był dom, wysoka kopuła nieba, blask słońca ostry jak laser. I nigdzie nie było dla niej miejsca. Odpadły z niej ostatnie kawałki dawnej Heather, zostawiając otwartą ranę. Była już teraz jednym wielkim bólem i gniewem.

– Wiesz, oczym marzę? Żebyś już sobie wreszcie pojechał.

Myślała, że Bishop zacznie krzyczeć. Niemal miała nadzieję, że tak będzie. Ale on tylko westchnął i potarł czoło.

– Posłuchaj, Heather. Nie chcę się z tobą kłócić. Chcę, żebyś zrozumiała…

– Nie słyszałeś? Idź sobie. Po prostu odejdź. Wynoś się stąd. – Otarła oczy wnętrzem dłoni. W jej głowie krzyczał jego głos: „Chcesz, żeby wszystko było do kitu… Imasz pretekst, żeby przegrać”.

– Heather.– Bishop położył jej rękę na ramieniu, ale ją strąciła.
– Ile razy mam ci powtarzać?

Zawahał się. Czuła, że stoi blisko niej, czuła ciepło jego ciała, jak kojącą siłę, jak koc. Przez jedną szaloną chwilę myślała, że jej nie posłucha, że się odwróci, obejmie ją i powie, że nigdy, przenigdy jej nie opuści. Przez jedną szaloną chwilę

właśnie tego pragnęła najbardziej wświecie.

Ale jegopalce tylko musnęły jej łokieć.

– Zrobiłem to dla ciebie – powiedział cicho. – Chciałem ci dać te pieniądze. – Głos mu się lekko załamał. – Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, robiłem dla ciebie, Heather.

I odszedł. A gdy ona nie była w stanie znieść tego dłużej, gdy nogi zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa igniew rozszarpywał jej duszę na strzępy, gdy postanowiła, że jednak się odwróci i za nim krzyknie, on siedział już w samochodzie inie mógł jej usłyszeć.

To był dziwny dzień. Bishop Marks zgłosił się n a policję i przyznał do zabójstwa Małego Kelly'ego, choć, jak się okazało, Mały Kelly nie zginął na skutek pożaru. Mimo to nikt nie mógł w to uwierzyć – Bishop Marks, ten miły chłopak z sąsiedztwa, którego tata miał sklep z ramami w Houston. Spokojny, dobry chłopak.

Na policji zaprzeczył, by pożar miał cokolwiek wspólnego z Paniką. Powiedział, że to był tylko głupi żart. O tak, to był dziwny dzień, pełen niespodzianek. Znak pokręconych czasów, w jakich żyjemy.

Tego wieczoru Kirk Finnegan wyszedł przed dom, bo jego psy zaczęły szczekać jak opętane. Zabrał strzelbę, podejrzewając, że to pijane nastolatki albo ten cholerny sąsiad, który zaczął ostatnio parkować na jego terenie i do którego nie docierało, że nie ma do tego prawa.

Zamiast tego zobaczył tygrysa.

P rawdziwego tygrysa, na jego własnym podwórku, trzymającego w ogromnym pysku jednego z jego z cocker spanieli.

Pomyślał, że śni, że ma halucynacje, że jest pijany. Był tak przerażony, że posikał się w majtki, co zauważył dopiero później. Nie namyślając się, podniósł strzelbę, wystrzelił cztery razy prosto w bok tygrysa idalej strzelał, nawet gdy ten już się przewrócił, nawet gdy dzięki Bogu rozluźnił szczęki, a jego spaniel podniósł się i zaczął znowu szczekać – strzelał, ponieważ ciągle widział wpatrzone wsiebie oczy, ciemne jak oskarżenie albo kłamstwo.

WTOREK, 16 SIERPNIA

HEATHER

Przez cały dzień Heather udawało się unikać rozmowy zAnne. Po kłótni z Bishopem poszła na piechotę do oddalonego otrzy kilometry wąwozu i przez całe popołudnie przeklinała i rzucała kamieniami w co popadnie: w znaki drogowe, jeśli się gdzieś nawinęły, w płoty, w porzucone samochody.

W jej głowie ciągle brzmiały jego słowa: „Chcesz, żeby wszystko było do kitu… I masz pretekst, żeby przegrać".

Chciała wrzeszczeć, że to niesprawiedliwe.

Ale drugi, cichszy głosik powtarzał, że to prawda. Te dwa słowa – „niesprawiedliwe" i „prawda" – odbijały się wjej głowie jak piłeczki pingpongowe.

Gdy wróciła z wąwozu, był już wieczór, Anne i Lily nie było w domu. Ogarnął ją nagły i irracjonalny strach, że Anne zabrała Lily z powrotem do Fresh Pines. Ale wtedy zobaczyła liścik na stole w kuchni.

Zwyczajnie oznajmiał: „Pojechałyśmy na zakupy".

Była dziewiętnasta trzydzieści, ale Heather już zw inęła się na łóżku, pod kołdrą, pomimo skwaru i duchoty, iczekała, aż sen uspokoi myśli kotłujące się w jej głowie.

Obudziła się wcześnie. Słońce dopiero próbowało nieśmiało zaglądać do pokoju przez żaluzje, jak zaciekawione zwierzątko. Heather wiedziała, że już koniec z unikaniem. W nocy pojedynek został rozstrzygnięty. Isłowo „prawda" okazało się zwycięskie.

To, co powiedział Bishop, było prawdą. I – choć wydawało się to niemożliwe – czuła się z tym jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia.

Mimo wczesnej pory dochodziły ją z dołu odgłosy krzątaniny: szczęk naczyń wyciąganych ze zmywarki, skrzypienie drewnianych podłóg. Gdy budziła się we Fresh Pines przy typowych tamtejszych hałasach – strzelaniu gaźnika, wrzaskach, trzaskaniu drzwi, szczekaniu psów igłośnej muzyce – marzyła o takim właśnie domu, gdzie poranki są ciche, gdzie matki zmywają naczynia i budzą się wcześnie, a

potem krzyczą na dzieci, żeby wstawały.

Niesamowite, że w tak krótkim czasie dom Anne wwiększym stopniu stał się dla niej domem niż kiedykolwiek było nim Fresh Pines.

A ona to zniszczyła. Oto kolejna prawda.

Gdy zeszła na dół, Anne zdążyła już wyjść na ganek. Od razu ją zawołała i Heather już wiedziała – ta chwila nadeszła.

Ze zdziwieniem zauważyła radiowóz zaparkowany na obrzeżach posesji, do połowy ukryty w krzakach. Policjant stał oparty ojego maskę, z papierosem ikawą w ręku.

– Co on tu robi?– zapytała Heather, na chwilę zapominając o strachu.

Anne siedziała na huśtawce na ganku, ale się nie kołysała. Na kubku z herbatą zaciskała pobielałe dłonie.

– Myślą, że ten drugi może wrócić. – Spuściła wzrok.
– Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami przynajmniej użyłoby paralizatora…

– Ten drugi?– powtórzyła Heather.

– Nie słyszałaś? – Anne opowiedziała jej o Kirku Finneganie, jego psie ioddanych wystrzałach, w sumie dwunastu. Gdy skończyła mówić, Heather miała sucho wustach. Chciała przytulić Anne, ale była sparaliżowana, niezdolna do ruchu.

Anne nie odrywała oczu od kubka. Nie wypiła jeszcze ani jednego łyka.

– Wiem, że trzymanie ich tutaj było nieodpowiedzialne.– Kiedy wreszcie podniosła wzrok, Heather zobaczyła, że próbuje powstrzymać łzy. – Ale chciałam im pomóc. Wiesz, to było marzenie Larry'ego. Biedne kociaki. Na wolności żyje niewiele więcej niż trzy tysiące tygrysów… A ja nawet nie wiem, którego zabito.

– Anne.– Heather wreszcie odzyskała głos. Chociaż stała, miała wrażenie, jak gdyby kurczyła się od środka, aż do rozmiarów małego dziecka. – Jest mi strasznie, strasznie przykro.

– Nie powinnaś grać w Panikę – powiedziała Anne, a wjej głosie na chwilę zabrzmiała surowość. – Zbyt wiele słyszałam o tej grze. Ludzie przez nią giną. Ale nie winię cię – dodała łagodniejszym tonem. – Nie jesteś zbyt szczęśliwa, prawda?

Heather pokręciła głową. Chciała opowiedzieć Anne o wszystkim. Otym, jak Matt ją rzucił, kiedy miała zamiar wyznać mu, że go kocha. Otym, jak zdała sobie sprawę, że wcale go nie kochała, ponieważ od zawsze była zakochana w Bishopie. Otym, że bała się, że nigdy nie uda jej się uciec z Carp iono ją pożre, przeżuje jak jej mamę, zamieni wjedną z tych smutnych, zgorzkniałych kobiet, starych izniszczonych przez prochy jeszcze przed trzydziestką. Ale nie była w stanie mówić. Czuła w gardle twardą gulę.

– Chodź tutaj. – Anne wskazała dłonią miejsce obok siebie na huśtawce. Gdy Heather tam usiadła, Anne, ku jej zdziwieniu, objęła ją. Heather wybuchnęła płaczem, wtulona wjej ramię. I powtarzała:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam…

– Heather. – Anne odsunęła się, ale wciąż trzymała jedną rękę na jej ramieniu. Drugą odgarnęła z jej twarzy włosy, które przykleiły się do skóry. Heather była zbyt przygnębiona, by poczuć zakłopotanie. – Posłuchaj mnie. Nie jestem pewna, co to oznacza dla ciebie i Lily. To, co zrobiłam, trzymanie tutaj tych tygrysów, było nielegalne. Jeśli twoja mama będzie chciała zrobić z tego aferę, jeśli będą tego chciały władze, policja może was zmusić do powrotu do domu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby was tu zatrzymać tak długo, jak tylko będziecie chciały, ale…

Heather o mało się nie zakrztusiła.
– Więc… więc mnie nie wyrzucasz?
Anne nie spuszczała z niej wzroku.
– Oczywiście, że nie.

– Ale… – Heather nie mogła w to uwierzyć. Była pewna, że się przesłyszała. – To przeze mnie tygrysy uciekły. To wszystko moja wina.

Anne potarła oczy i westchnęła. Heather nigdy nie myślała o niej jako o starej kobiecie, aleteraz naprawdę wyglądała staro. Miała plamy na dłoniach i połamane paznokcie, ajej włosy były siwe i matowe. Pewnego dnia umrze. Heather przełknęła ślinę, wciąż gęstą od płaczu.

– Wiesz, Heather, spędziłam ze swoim mężem trzydzieści lat. Poznaliśmy się, gdy właściwie byliśmy jeszcze dziećmi. Nie mieliśmy wtedy nic. Spędziliśmy miesiąc miodowy, jeżdżąc autostopem po Kalifornii i śpiąc pod namiotem. Na nic innego nie mogliśmy sobie wtedy pozwolić. Niektóre lata były naprawdę ciężkie. Potrafił być bardzo humorzasty… – Niespokojnie machnęła ręką. – Chodzi mi oto, że jeśli kogoś naprawdę kochasz, jeśli się oniego troszczysz, musi to być na dobre i na złe.

Nie tylko wtedy, gdy jest łatwo i przyjemnie. Rozumiesz?

Heather skinęła głową. Miała wrażenie, jakby w jej piersi znalazła się szklana kula – coś delikatnego ipięknego, co mogłoby się stłuc, gdyby powiedziała nieodpowiednie słowo, gdyby w jakiś sposób zakłóciła tę równowagę.

– Więc… nie jesteś na mnie zła?
Anne prychnęła.

– Oczywiście, że jestem na ciebie zła. Ale to nie oznacza, że nie chcę, byś została. I że przestało mi na tobie zależeć.

Heather spuściła wzrok. Była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Miała wrażenie, że nagle zrozumiała coś ogromnie ważnego, że udało jej się dostrzec miłość: czystą, zwyczajną i bezwarunkową.

– I co teraz?– spytała po chwili.

– Nie wiem. – Anne ujęła jej dłoń i ścisnęła ją. – Masz prawo się bać, Heather – powiedziała cicho, jakby wyznawała jej sekret.

Heather pomyślała o Bishopie i oswojej kłótni z Nat. Pomyślała o wszystkim, co się wydarzyło tego lata, o wszystkich dziwnych zmianach i problemach, jak gdyby wiatr powiał z zupełnie obcej strony.

– Ja się boję przez cały czas – wyszeptała.

– Byłabyś głupia, gdybyś się nie bała – powiedziała Anne. – Inie miałabyś w sobie odwagi.– Podniosła się. – Chodź, nastawię czajnik. Herbata całkiem mi już wystygła.

Bishop wyznał na policji prawie wszystko. Spędził na komisariacie trzy godziny, większość czasu na przesłuchaniu, aż wreszcie został zwolniony – nie postawiono mu żadnych oficjalnych zarzutów.

Ale skłamał w jednej sprawie. Gra toczyła się dalej. Wciąż zostało troje graczy.
Nadszedł czas na ostatnie zadanie.
Nadszedł czas na Pojedynek.

CZWARTEK, 18 SIERPNIA

DODGE

Dodge wiedział, że Bishop w końcu przyjdzie się znim spotkać. Nie czekał długo. Zaledwie trzy dni po zgłoszeniu się Bishopa na policję w związku z pożarem wdomu Graybillów po powrocie z pracy Dodge ujrzał przed domem jego samochód. Ale samego Bishopa nie było. Dodge zdziwił się, że Dayna go wpuściła. Siedział na kanapie, zrękami na kolanach, które miał podciągnięte praktycznie pod brodę, bo był wysoki, a kanapa niska. Dayna czytała coś w kącie, jakby jego obecność tutaj była normalna, jakby byli przyjaciółmi.

– Cześć – powiedział Dodge. Bishop podniósł się zwyraźną ulgą. – Wyjdźmy na zewnątrz, okej?

Dayna spojrzała na brata podejrzliwie. Wiedział, że czekała na jakiś znak od niego, że wszystko jest okej. Ale nie pomógł jej. Zdradziła go, zmieniając się, nagle odwracając do niego plecami. Panika była *ich*grą, planem, który ułożyli razem, ich wspólnym pragnieniem zemsty.

Wiedział oczywiście, że nic nie przywróci dawnej Dayny iże krzywda wyrządzona Rayowi nie przywróci jej czucia w nogach. Ale o to wtym wszystkim chodziło – Ray i Luke Hanrahan zabrali mu coś, czego już nigdy nie odzyska. Więc on również postanowił ich czegoś pozbawić.

Teraz, kiedy Dayna zmieniała się w kogoś, kogo nie rozpoznawał – wytykając mu, że jest niedojrzały, krytykując go za udział w grze, spędzając cały czas z Rickym– czuł to jeszcze silniej. To było niesprawiedliwe. To wszystko była ich wina.

Ktoś musiał za to zapłacić.

Gdy już wyszli na zewnątrz, wskazał Bishopowi, żeby poszedł za nim, i skierowali się na Meth Row. Tym razem ulica nie była wyludniona. Parę osób siedziało na zapadających się gankach swoich domów, paląc papierosy i pijąc piwo. Jakaś kobieta wyniosła telewizor na podwórze. Każdy miał nadzieję, że zobaczy tygrysa. W ciągu kilku dni przerodziło się to w obsesję.

– Wiesz, wypadłem z gry – odezwał się Bishop. – Nie dostanę swojej działki. Wszystko było na nic.

W jego głosie pobrzmiewała gorycz i Dodge'owi niemal zrobiło się go żal. Zastanawiał się, dlaczego zgodził się być sędzią. W ogóle dlaczego cała reszta w to weszła. Może oni wszyscy – gracze, sędziowie, a nawet Diggin – mieli swoje sekrety. Może pieniądze wcale nie były najważniejsze i dla każdego gra toczyła się o dużo większą stawkę.

– Jesteśmy już niemal na mecie – rzekł Dodge. – Dlaczego się teraz wycofujesz?

– Nie mam wyjścia. Złamałem zasady. Wygadałem się. – Bishop ściągnął czapkę, przejechał ręką po włosach iznowu ją założył. – Poza tym nienawidziłem tego. Od zawsze. Pieprzona Panika. Doprowadza ludzi do szaleństwa. Bo to *jest*szaleństwo. Zrobiłem to tylko dlatego, że…
– Wbił wzrok w swoje dłonie. – Chciałem dać pieniądze Heather – powiedział cicho. – Kiedy zaczęła grać, musiałem brnąć w to dalej. Żeby jej pomóc. Żeby ją chronić.

Dodge nie skomentował tego. Na swój pokręcony sposób obaj działali z miłości. Zrobiło mu się przykro, że nie poznał Bishopa lepiej. Tylu rzeczy żałował. Na przykład, że nie spędzał więcej czasu z Heather. Mogli zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

I oczywiście Nat. Tę znajomość spieprzył wręcz wzorcowo.
Zastanawiał się, czy całe życie na tym polega – na wiecznym żałowaniu.
– Czy zrobiłeś kiedykolwiek coś złego z dobrych pobudek?– wypalił nagle Bishop.
Dodge omało się nie roześmiał. Ale tylko odpowiedział: – Tak.

– Więc jacy przez to jesteśmy? Dobrzy czy źli? Dodge wzruszył ramionami.

– Pewnie i tacy, itacy. Nie różnimy się w tym od innych. – Nagle ogarnęło go poczucie winy. To, co planował, co zamierzał zrobić Rayowi, było naprawdę złe. Nigdy wżyciu nie zrobił niczego tak podłego.

Ale istniała stara zasada: oko za oko, ząb za ząb. Tylko tyle robił. Wyrównywał rachunki.

W końcu to nie on to wszystko zaczął.
Bishop odwrócił się do niego i przystanął.
– Muszę wiedzieć, co planujesz.

Wyglądał bezradnie jak dziecko, jego długie ręce zwisały mu po bokach, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Będę grał dalej – powiedział Dodge cicho. – To już prawie koniec. *Prawie*.

Bishop głośno wypuścił powietrze z płuc, jakby właśnie dostał pięścią w brzuch, chociaż pewnie się tego spodziewał. Dodge nagle zrozumiał, co może zrobić, by chłopak poczuł się lepiej, jak może dla odmiany zrobić coś dobrego, a jednocześnie doprowadzić do przegranej Raya.

– Mogę ochronić Heather – odezwał się. Bishop wbił w niego wzrok. – Mogę dopilnować, by nie walczyła z Rayem. Iby nie stała się jej krzywda. Umowa stoi?

Bishop wpatrywał się w niego przez kilka długich minut. Dodge czuł, że z czymś się zmaga. Pewnie nie ufał mu do końca. Dodge go za to nie winił.

– Co mam zrobić? – spytał wreszcie.
Dodge poczuł, jak ciężar spada mu z piersi. Był o krok bliżej celu. Wszystko zaczynało się układać.
– Samochód – powiedział. – Musisz mi pożyczyć samochód.

Dodge bał się, że Heather nie będzie chciała z nim rozmawiać. W końcu to on powiedział, że umowa przestała obowiązywać i że nie ma mowy o podziale kasy. Ale kiedy poprosił ją, by się spotkali w Dot's, zgodziła się. Była dwudziesta druga, jedyna pora, gdy mogli liczyć na pustki wknajpie pomiędzy dwiema falami wzmożonego ruchu – czasem kolacji ipóźnym wieczorem, kiedy wpadały tu pary zpobliskiego pubu na naleśniki i kawę, żeby nieco otrzeźwieć.

Wyjaśnił jej, czego od niej oczekuje. Właśnie piła kawę i spojrzała na niego znad kubka, po czym go odstawiła.

– Prosisz mnie, żebym przegrała?
– Mów ciszej – upomniał ją Dodge.

Jego mama pracowała na poranną zmianę i pewnie teraz wyszła gdzieś z Billem Kellym– ostatnio byli praktycznie nierozłączni. Ale itak znał wszystkich innych wDot's, w tym Ricky'ego, który za każdym razem, gdy otwierały się drzwi do kuchni, uśmiechał się do niego promiennie imachał jak idiota. Dodge musiał przyznać, że chłopak był miły. Przysłał mu przed chwilą grillowany ser ismażone paluszki z mozzarelli na koszt firmy.

– Posłuchaj, nie chcesz chyba walczyć z Rayem, prawda?– ciągnął. – Ten chłopak jest nieobliczalny. – Gdy to mówił, poczuł ścisk w gardle. Pomyślał o tym, dlaczego to robi, pomyślał o Daynie, o tym, jak pierwszy raz wjechała do domu na wózku, jak w nocy spadała z łóżka iwołała o pomoc, bo nie mogła wejść na nie z

powrotem. Otym, jak krążyła po mieszkaniu otępiona lekami przeciwbólowymi. Choć ostatnio czuła się chyba lepiej i była szczęśliwsza, a nawet pełna nadziei, Dodge wiedział, że nigdy tego nie zapomni.

– On cię zmiecie z drogi, Heather. I tak przegrasz. Heather skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Widział, że się nad tym zastanawia.

– Jeśli zagramy na moich zasadach, i tak wygrasz – dodał, pochylając się nad stolikiem lepkim od osadzającego się przez lata tłuszczu. – Podzielimy się forsą. Inikomu nie stanie się krzywda.

„Nikomu z wyjątkiem Raya", dopowiedział w duchu.

Przez chwilę siedziała w milczeniu. Miała włosy zebrane w kucyk ibyła zaczerwieniona od upału. Wszystkie jej piegi zlały się w opaleniznę. Wyglądała bardzo ładnie. Chciał jej powiedzieć, że jego zdaniem jest fantastyczną dziewczyną. I że żałuje, że nigdy się lepiej nie poznali.

Że zakochał się w jej najlepszej przyjaciółce i wszystko zepsuł.
Ale nic ztego nie miało teraz znaczenia.

– Dlaczego?– zapytała wreszcie, spoglądając na niego. Jej oczy były przejrzyste, szarozielone jak ocean, wktórym odbija się niebo. – Dlaczego tak bardzo tego chcesz? Nawet nie chodzi ci opieniądze, prawda? Tylko ozwycięstwo. O to, żeby pokonać Raya.

– Nie twoje zmartwienie – warknął, nieco zbyt opryskliwie.

Drzwi do kuchni znowu się otworzyły i Ricky, w poplamionym sosem pomidorowymi itłuszczem uniformie kucharza, posłał mu szeroki uśmiech, unosząc kciuk do góry. O Boże. Czy Ricky myślał, że Dodge jest na randce? Zpowrotem skupił się na Heather.

– Posłuchaj. Obiecałem Bishopowi, że…
– A co Bishop ma ztym wspólnego? – przerwała mu ostrym tonem.

– Wszystko – odparł. Opróżnił swoją szklankę z colą i lodem, delektując się pieczeniem na języku. – Zależy mu, żeby nic ci się nie stało.

Heather znowu spuściła wzrok.
– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci ufać? – spytała wreszcie.
– Oto właśnie chodzi w zaufaniu. – Rozgryzł kostkę lodu. – Nigdy nie masz

pewności.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.
– Okej– powiedziała wreszcie. – Zrobię to.

Na zewnątrz, przy parkingu, drzewa tańczyły na wi etrze. Kilka liści, nadżeranych złotem na krawędziach, zaczęło już zmieniać kolor. Inne były poznaczone plamami czerwieni, jakby chorowały. Pozostały niecałe trzy tygodnie do końca wakacji. I tylko tydzień do finałowej rozgrywki. Dodge pożegnał się z Heather, ale nie poszedł prosto do domu iprzez jakiś czas włóczył się po ulicach.

Wypalił dwa papierosy, choć wcale nie miał na nie ochoty – po prostu delektował się ciemnością, ciszą ichłodnym wiatrem, zapachami nadchodzącej jesieni, wonią czystości i drewna, jak wświeżo wysprzątanym domu. Zastanawiał się, czy tygrys wciąż jest na wolności. Pewnie tak. Nie słyszał, żeby go złapano. W pewnym stopniu marzył, żeby to zobaczyć, a wpewnym się tego bał.

Ostatecznie rozmowa zHeather poszła łatwiej, niż się spodziewał. Był tak blisko. Najtrudniejsze było dopiero przed nim. Musiał spowodować wybuch.

PONIEDZIAŁEK, 22 SIERPNIA

HEATHER

Przez jakiś czas po ucieczce tygrysów Heather znerwów nie mogła spać. Spodziewała się, że zjawi się jej matka znakazem sądowym, domagając się powrotu Lily do domu. Albo jeszcze gorzej – gliny albo ludzie zTowarzystwa Opieki nad Zwierzętami poślą Anne za kratki. Co ona wtedy zrobi?

Ale z każdym dniem coraz bardziej się uspokajała. Może Krista zdała sobie sprawę, że lepiej jej bez córek. Że nie nadaje się na matkę. Wszystkie te słowa, które Heather słyszała od niej miliony razy. I chociaż policja ciągle patrolowała okolice domu Anne, starając się namierzyć drugiego tygrysa, a ludzie z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami przyjechali, żeby sprawdzić, w jakich warunkach żyją inne zwierzęta i czy przetrzymywanie ich jest legalne, wbrew obawom Heather nie zakuto Anne w kajdanki ani nie wsadzono jej do paki.

Wiedziała, że jej sytuacja jest tymczasowa. Nie mogła zostać u Anne na zawsze. Jesienią Lily będzie musiała wrócić do szkoły. Anne utrzymywała je, płaciła za nie, ale jak długo to jeszcze potrwa? Heather będzie musiała znaleźć pracę, spłacić Anne – cokolwiek. Ciągle trzymała się myśli, że Panika to naprawi, że dzięki wygranym pieniądzom, nawet jeśli podzieli się z Dodge'em, będzie mogła wynająć pokój u Anne albo znaleźć z Lily własny kąt.

Im dłużej przebywała z dala od Fresh Pines, tym większej nabierała pewności: nigdy, przenigdy tam nie wróci. To dom Anne był jej miejscem. Albo coś w tym stylu – dużo przestrzeni, bez uciążliwych sąsiadów, bez krzyków, brzęku tłuczonych butelek i głośnej muzyki lecącej przez całą noc. Zwierzęta, duże drzewa, ten świeży zapach siana inawozu, który wcale nie był taki nieprzyjemny. To niesamowite, jak bardzo lubiła czyścić klatki kurczaków, czesać końską sierść, a nawet sprzątać boksy.

Niesamowite też, jak cudownie było czuć, że jest dla kogoś ważna, ponieważ teraz wierzyła już w to, co powiedziała jej Anne. Anne troszczyła się o nią. Może nawet trochę ją kochała.

To wszystko zmieniało.

Zostały trzy dni do finałowej rozgrywki. Teraz, kiedy wiedziała, jaki będzie jej przebieg – że weźmie w niej udział tylko po to, żeby przegrać w pierwszej rundzie

zDodge’em – czuła niewiarygodną ulgę. Gdy już dostanie forsę, to w pierwszej kolejności kupi Lily nowy rower, który mała wypatrzyła kiedyś w sklepie.

Nie. Najpierw da trochę pieniędzy Anne, a potem kupi rower.

A dla siebie może jakąś ładną letnią sukienkę iskórzane sandałki. Coś, w czym będzie dobrze wyglądać, gdy wreszcie znajdzie wsobie odwagę, by porozmawiać z Bishopem– oile ją znajdzie.

Zasnęła i śnił jej się on. Stał razem znią na szczycie wieży ciśnień i namawiał do skoku. Dużo niżej pod nimi kłębiła się woda, przetykana jasnymi, białymi światełkami, które wyglądały jak wiecznie otwarte oczy pośrodku czarnej toni. Ciągle jej powtarzał, żeby się nie bała, a ona nie miała odwagi mu wyznać, że jest przerażona, tak słaba, że nie jest w stanie się ruszyć.

Wtedy pojawił się tam Dodge.
– Jak niby chcesz wygrać, skoro boisz się skoczyć? – zapytał.

Nagle Bishop zniknął, a występ, na którym stała, nie był już metalowy, ale drewniany, zbutwiały, niestabilny. Bum! Dodge uderzał w niego kijem baseballowym idrewno odpadało kawałkami, drzazgi leciały do wody. Bum! Skacz, Heather. Bum! Heather.

– Heather.

Obudziła się i dwukrotnie usłyszała swoje imię – Lily szeptała je, stojąc przy łóżku, ijak echo wtórował jej krzyk zza okna.

– Heather Lynn! – darł się ktoś. *Bum*. Pięść waliła w drzwi. – Złaź na dół! Złaź na dół i pogadaj ze mną!

– Mama – wyszeptała Lily w tym samym czasie, gdy do Heather dotarło, czyj to głos. Mała spoglądała na nią wytrzeszczonymi ze strachu oczyma.

– Wracaj do łóżka, Lily – powiedziała. W jednej chwili oprzytomniała. Sprawdziła godzinę na telefonie. Była pierwsza trzynaście. Wyszła na korytarz, w szczelinie pod drzwiami sypialni Anne widać było światło. Heather usłyszała szelest pościeli. Więc ona też się obudziła.

Walenie wdrzwi trwało dalej, podobnie jak krzyki:
– Heather! Wiem, że tam jesteś. Olewasz własną matkę?
Heather, jeszcze zanim otworzyła, wiedziała, że Krista jest pijana.

Światło na ganku było zapalone. Kiedy otworzyła drzwi, jej mama jedną ręką zasłaniała oczy, jakby raziło ją słońce. Wyglądała strasznie. Miała potargane włosy ibluzkę naciągniętą tak mocno, że Heather widziała wszystkie zmarszczki na jej dekolcie ibiałe ślady od kostiumu kąpielowego. Do tego poplamione dżinsy i buty na ogromnych koturnach. Ztrudem utrzymywała równowagę idreptała w miejscu, żeby się nie przewrócić.

– Co ty tu robisz, do cholery?– rzuciła do matki.
– Co *ja*tu robię? – wybełkotała Krista. – Co *ty* tu robisz?

– Idź sobie. – Heather wyszła na ganek, otulając się ramionami. – Nie masz prawa tu przychodzić. Nie masz prawa robić scen…

– Nie mam prawa? *Ja* nie mam prawa? Mam prawo do wszystkiego.– Zrobiła chwiejny krok do przodu, próbując ją wyminąć. Heather zablokowała jej wejście, wreszcie dostrzegając zalety swojego wzrostu. Krista zaczęła krzyczeć: – Lily! Lily Anne! Gdzie jesteś, kochanie?

– Przestań. – Heather złapała matkę za ramiona, ale ta uderzyła ją w rękę i odtoczyła się od niej.

– Co się tu dzieje? – Anne ubrana w stary szlafrok stanęła w progu, mrugając oczami. – Wszystko wporządku, Heather?

– Ty. – Krista zrobiła dwa kroki do przodu, zanim Heather ją powstrzymała. – Ukradłaś mi dzieci. – Szła zygzakiem, chwiejąc się na nogach. – Ty podła suko, powinnam…

– Mamo, przestań! – Heather mocniej splotła ręce, jakby się bała, że się rozpadnie.
– Proszę, uspokójmy się wszystkie – powtarzała Anne zrękami w górze, jakby bała się, że Krista ją zaatakuje.

– Nie muszę się uspokajać…
– Mamo, przestań!
– Zejdź mi z drogi…
– Spokojnie, tylko spokojnie.

A wtedy rozległ się głos z ciemności, z podwórka:
– W czym jest problem?

Gdy światła na ganku zgasły, błysnęła latarka. Jej promień omiótł wszystkie trzy kobiety jak oskarżycielski palec. Jakaś postać wyłoniła się z mroku izaczęła ciężko

wchodzić po schodach, a wtedy światło na ganku znowu się włączyło. Wszystkie na chwilę zamarły. Heather zdążyła już zapomnieć, że w lesie parkował radiowóz. Policjant mrugał oczami, jakby przed chwilą się obudził.

– Problem w tym– powiedziała Krista – że ta kobieta ma moje dzieci. Ukradła je.

Szczęka policjanta poruszała się rytmicznie, w prawo ilewo, jakby żuł gumę. Jego wzrok spoczął na Kriście, potem na Heather i na Anne, ipowędrował z powrotem. Heather wstrzymała oddech.

– To pani samochód? – odezwał się wreszcie, wskazując głową za ramię, w stronę auta Kristy.
Krista spojrzała na auto, a potem znowu na policjanta. Coś błysnęło w jej oczach.

– Tak, a co?
Policjant nie spuszczał z niej wzroku.

– Wnaszym stanie dopuszczalna zawartość alkoholu we krwi wynosi osiem dziesiątych promila.
– Nie jestem pijana.– Krista mówiła coraz głośniej. – Jestem tak samo trzeźwa jak pan.
– Może tu pani podejść na chwilę?

Heather miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję ipodziękować. Chciała też wszystko wyjaśnić, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Nie, nie mogę. – Gdy policjant zrobił krok w jej stronę, Krista cofnęła się, o mało się nie przewracając odoniczkę z kwiatkami. Mężczyzna złapał ją za łokieć. Próbowała mu się wyrwać.

– Proszę za mną…
– Puszczaj mnie pan.

Heath er obserwowała całą tę scenę, jakby rozgrywała się w zwolnionym tempie. Hałas narastał. Rozległy się krzyki. Widziała, jak Krista bierze zamach i jej pięść ląduje na twarzy policjanta.

Wtedy czas znowu ruszył do przodu: policjant już wykręcał rękę Kristy, aona wierzgała jak zwierzę.

– Aresztuję panią za napaść na policjanta.
– Puszczaj mnie!

– Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani w sądzie.

Zakuł ją w kajdanki. Heather sama nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy przerażenie. Może i to, i to. Krista wydzierała się, kiedy policjant prowadził ją w stronę radiowozu – wołała Lily, krzyczała coś o swoich prawach. Gdy wreszcie zatrzasnęły się za nią drzwi, nastała cisza, którą zakłócał jedynie ryk silnika i chrzęst żwiru, gdy samochód nawracał. Szerokim łukiem omiotły je reflektory, apotem nastała ciemność. Światła na ganku znowu zgasły.

Heather się trzęsła. Gdy wreszcie była w stanie się odezwać, powtarzała tylko:

– Nienawidzę jej. Nienawidzę.
– Chodź, kochanie. – Anne położyła jej rękę na ramieniu. – Wejdźmy do środka.

Heather wypuściła z płuc powietrze. Pozwoliła, by gniew uszedł razem z nim. Weszły do domu, w chłód korytarza, wmozaikę cienia i blasku księżyca, która już wyglądała znajomo. Pomyślała o matce awanturującej się na tylnym siedzeniu oddalającego się radiowozu. Teraz każdy pozna prawdę – jaka jest Krista oraz od czego ona i Lily uciekały.

Anne pokrzepiająco ścisnęła ją za ramię.
– Wszystko się ułoży – powiedziała. – Uciebie też. Heather spojrzała na nią. Udało jej się uśmiechnąć.
– Wiem– odparła.

Koniec sierpnia był najsmutniejszym okresem roku wCarp. Może zresztą nie tylko tam.

Co roku, niezależnie od pogody, nad otwarte baseny nagle wylegały tłumy ludzi, parki masowo pokrywały się kocami i ręcznikami plażowymi, a drogi były zapchane zderzak wzderzak weekendowiczami udającymi się nad jezioro. Rozedrgany welon spalin wisiał nad drzewami, mieszając się z zapachem węgla drzewnego i dymem znad setek grillów. To był ostatni zryw lata, jego łabędzi śpiew, desperacka próba powstrzymania jesieni.

Ale ona nadgryzła już błękitne niebo swoim zębem, odrywała kęsy słońca, rozciągała ciężką zasłonę woniejącego mięsem dymu. Była coraz bliżej. Już nic nie mogło jej powstrzymać.
Przyniesie ze sobą deszcz, zimno izmianę.

Ale zanim to nastąpi, czekało ich wszystkich ostatnie wyzwanie. Śmiertelne

wyzwanie.
Pojedynek.

CZWARTEK, 25 SIERPNIA

DODGE

Dzień Pojedynku był zimny i mokry. Dodge, ubrany wswoje ulubione dżinsy i znoszony podkoszulek, wszedł boso do salonu, zjadł miskę płatków i obejrzał z Dayną kilka odcinków reality show, kpiąc z idiotów, którzy pozwalali, by kamery nagrywały całe ich życie. Wydawało się, że Dayna z ulgą powitała fakt, że jej brat wreszcie zachowuje się normalnie.

Ale przez cały ten czas był myślami gdzie indziej, miał wgłowie widok ciemnej drogi, ryk pracujących na najwyższych obrotach silników, pisk opon i zapach dymu.

Martwił się. Martwił się, że ogień wybuchnie za wcześnie, kiedy on sam będzie prowadził. I oto, że Ray nie zgodzi się na zamianę.

Ale liczył na to, nawet przećwiczył przemowę wswojej głowie. „Chcę się zamienić samochodami – powie, gdy Heather pozwoli mu wygrać pierwszą rundę. – Muszę mieć pewność, że Pojedynek będzie sprawiedliwy. Iże Ray nie podkręcił swojego silnika ani w moim aucie nie zepsuł hamulców".

Czy Ray mógłby odmówić w takiej sytuacji? Poza tym jeśli Dodge będzie jechał ostrożnie, nie więcej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę, silnik nie powinien rozgrzać się na tyle, by doprowadzić do wybuchu. Heather musi pozwolić mu wygrać, nawet jeśli będzie się wlókł jak żółw. Ray nie będzie niczego podejrzewał.

I zamieni się samochodami, wsiądzie do auta Dodge'a, wciśnie gaz do dechy, silnik zacznie dymić i sypać iskry, awtedy…

Zemsta.
Jeśli wszystko pójdzie zgodnie zplanem. Jeśli, jeśli, jeśli. Nienawidził tego słowa.

O trzeciej po południu Bill Kelly przyszedł zabrać Daynę na fizjoterapię. Dodge nie był w stanie pojąć, jak to się stało, że Kelly tak łatwo stał się częścią ich życia. Dayna miała bzika na jego punkcie. Jakby nagle stali się jedną wielką rodziną, a Dodge był jedynym, który pamiętał, że nią nie byli i nigdy nie będą. Rodziną byli zawsze on i Dayna, inikt więcej.

A teraz stracił nawet ją.

– Nie będzie ci przykro, że cię zostawiam samego? – spytała. Coraz lepiej radziła sobie na wózku, zgrabnie omijała meble i nierówności w podłodze. Nie mógł znieść, że tak dobrze jej wychodzi bycie kaleką.

– Nie, no co ty. – Celowo unikał jej wzroku. – Pooglądam sobie telewizję albo coś.
– Wrócimy za parę godzin – rzekła, po czym dodała: – Myślę, że to naprawdę działa, Dodge.

– Cieszę się twoim szczęściem. – Był zaskoczony, że poczuł ścisk w gardle. Była już w drzwiach, kiedy ją zawołał.

– Dayna.
„To wszystko dla ciebie”.
Odwróciła się.
– Co?

Udało mu się uśmiechnąć .
– Kocham cię.

– Daj spokój – rzuciła i odpowiedziała mu uśmiechem. Apotem wyjechała z domu izamknęła za sobą drzwi.
HEATHER
Z każdą minutą była bliżej końca.

Powinna czuć ulgę, ale przez cały dzień dławił ją strach. Powtarzała sobie, że jedyne, co musi zrobić, to przegrać. Pozostawało jej tylko zaufać Dodge’owi, że dotrzyma obietnicy wsprawie podziału nagrody.

On nie grał dla pieniędzy. Głęboko w środku zawsze to wiedziała. Ale żałowała, że go nie przycisnęła, żeby się dowiedzieć, co nim kieruje. Może przez to była taka nerwowa – bo nawet teraz, pod koniec gry, nie rozumiała, do czego tak naprawdę dążył. Przez to miała wrażenie, że jednocześnie toczyły się jakieś inne gry, którymi rządziły tajne reguły i sojusze, aona była w nich tylko pionkiem.

Oko ło piątej przeszła burza i chmury zaczęły się rozstępować. Powietrze było gęste od wilgoci i komarów. Droga będzie śliska. Ale przypomniała sobie, że to nie ma znaczenia. Mogła się nawet wycofać, jeśli tylko chciała. Udawać, że stchórzyła albo naprawdę stchórzyć w ostatniej chwili. Wtedy Dodge iRay staną do walki między sobą, a ona nie będzie się musiała już niczym przejmować.

Mimo to wciąż czuła ciężar w żołądku i co chwila dostawała gęsiej skórki.

Miejsce Pojedynku zostało przeniesione. Nie było żadnych oficjalnych informacji wtej sprawie, żadnych SMS–ów ani maili. Bishop zaszył się na pewien czas, pewnie dlatego, żeby uniknąć pretensji rozgoryczonych byłych uczestników gry. Heather to rozumiała. Vivian też pewnie wolała się nie wychylać. Wyglądało na to, że po raz pierwszy whistorii Paniki finałowa rozgrywka odbędzie się bez sędziów.

Mimo to wiadomość dotarła do Heather, jak zwykle wmałym miasteczku, które żyło plotkami. Policja szczelnie obstawiła teren, gdzie zazwyczaj organizowano Pojedynek – stąd zmiana lokalizacji. Nowe miejsce znajdowało się niedaleko wąwozu i starych torów kolejowych.

Heather poczuła też ukłucie w sercu, gdy zastanawiała się, czy pojawi się Nat.

Wyjechała o szóstej. Ręce już teraz jej się trzęsły ibała się, że wkrótce będzie zbyt zdenerwowana, by prowadzić, albo całkiem stchórzy. Anne pożyczyła jej samochód i Heather nie mogła sobie wybaczyć, że musiała skłamać, po co był jej potrzebny. Ale powiedziała sobie, że to ostatni raz– od tej pory koniec zkłamstwami. Do tego będzie bardzo ostrożna i zjedzie z drogi, zanim Dodge zdąży się do niej zbliżyć.

Nie pożegnała się z Lily. Nie chciała robić wokół tego szumu. Wkońcu to nie było nic takiego.
Za kilka godzin będzie z powrotem w domu.

Nie zdążyła wyjechać z podjazdu, gdy zabrzęczał jej telefon. Nie odebrała, ale zaraz zaczął dzwonić znowu. Apotem po raz trzeci. Zatrzymała się i wyjęła go z kieszeni.

Nat. Gdy tylko odebrała, wiedziała, że coś było nie tak.

– Heather, błagam cię – odezwała się jej przyjaciółka, zanim Heather zdążyła powiedzieć „cześć”. – Wydarzy się coś strasznego. Musimy temu zapobiec.

– Zaraz, zaraz.– Słyszała, jak Nat pociąga nosem. – Uspokój się. Zacznij od początku.
– To ma być dziś wieczorem – jęknęła Nat. – Musimy coś zrobić albo on się zabije. Siebie albo Raya.

Heather z trudem nadążała za wątkiem rozmowy.
– Kto?

– Dodge! – zawyła Nat. – Heather, błagam! Musisz nam pomóc.

Heather wzięła głęboki oddech. Słońce akurat w tym momencie przedarło się przez chmury. Niebo było poznaczone pasmami czerwieni, koloru krwi.

– Nam, czyli komu?
– Przyjedź, proszę – powiedziała Nat. – Wszystko ci wyjaśnię na miejscu.
DODGE

Tuż po szóstej Dodge minął wąwóz. Lesabre, który pożyczył mu Bishop, był stary i charakterny, zjeżdżał lekko na prawo, gdy kierowca tego nie korygował. Ale nie miało to znaczenia. Nie był mu potrzebny na długo.

Zaparkował na poboczu prostego odcinka, który został wybrany do ostatniej konkurencji. Droga była praktycznie pusta– może paskudna pogoda odstraszyła ludzi. Idealnie. Nie mógł ryzykować, że ktoś go zauważy.

Przygotowania nie zajęły mu dużo czasu. Były dzi ecinnie łatwe – paradoksalnie, biorąc pod uwagę to, że Dodge dwa razy oblał chemię i nie był umysłem ścisłym. Niesamowite, jak łatwo było znaleźć takie informacje winternecie. Bomby, koktajle Mołotowa, amatorskie ładunki wybuchowe… czego dusza zapragnie. Łatwiej było się dowiedzieć, jak wysadzić kogoś w powietrze, niż kupić piwo.

Wcześniej rozpuścił kawałek styropianu w niewielkiej ilości benzyny i wlał miksturę do słoika. Napalm domowej roboty– prosty do zrobienia jak sos do sałatki. A teraz starannie przykleił taśmą petardę na zewnątrz słoika iwłożył wszystko pod maskę. Byle nie za blisko kolektora wydechowego – musiał najpierw przejść rundę z Heather. Będzie wtedy jechał ostrożnie, żeby silnik się nie przegrzał.

A potem samochód przejmie Ray. Przyciśnie gaz do dechy, petarda się zapali, słoik roztrzaska i uwolni mieszkankę wybuchową.

I bum!
Jedyne, co mu teraz pozostało, to czekać.

Niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy skończył, dostał SMS–a odHeather: Wpadnę po ciebie. To pilne. Musimy porozmawiać.

I zaraz kolejnego: Natychmiast.

Dodge zaklął głośno. Ogarnął go nagły strach, że H eather chce się wycofać. To by wszystko zepsuło. Odpisał jej szybko: Na rogu Wolf Hill i Pheasant Lane. Zgarnij mnie.

Odpowiedziała: Już jadę.

Czekając na nią, chodził w kółko i palił papierosy. Jego wcześniejszy spokój prysł, czuł mrowienie, jakby pająki chodziły mu pod skórą.

Pomyślał o Daynie, gdy ją ujrzał w szpitalu zaraz po wypadku – z szeroko otwartymi oczami i krwią zaschniętą pod nosem. Mówiła wtedy: „Nie czuję nóg, co się stało zmoimi nogami?". Następnie wpadła w histerię w sali szpitalnej, po tym jak próbując wstać, wylądowała na kolanach Dodge'a, i straciła przytomność.

Pomyślał o Luke'u Hanrahanie odjeżdżającym zpięćdziesięcioma patykami. I otej nocy, gdy stał przed jego domem z kijem baseballowym inie miał odwagi zadziałać.

Do czasu, gdy Heather przyjechała, zdążył się poczuć nieco lepiej.

Heather nie chciała mu nic zdradzić w samochodzie.
– O co chodzi?– zapytał.
Ale ona rzekła tylko:

– Spokojnie, Dodge, wyluzuj. Ona chce ci to powiedzieć osobiście.

– Ona?– Żołądek mu się wywrócił.
– Nat.

– Czy u niej wszystko wporządku? – spytał, ale Heather tylko pokręciła głową na znak, że więcej nie powie.

Zaczyna ło go to wkurzać. To nie była najlepsza pora, potrzebował się skupić. Żołądek miał ściśnięty z nerwów. Ale jednocześnie schlebiało mu, że Heather go potrzebuje
– ito, że Nat chce się z nim zobaczyć. A poza tym dopiero za dwie godziny będzie ciemno. Czasu było aż nadto.

Przed domem Nat stały dwa samochody, jednym znich był wysłużony chevrolet pikap, którego nie rozpoznawał. Zastanawiał się, czy Nat nie potrzebuje pomocy, iznów poczuł to mrowienie pod skórą.

– Co się dzieje? – zapytał znowu.
– Mówiłam ci już. Ona chce ci to wyjaśnić osobiście.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Dziwne, choć na zewnątrz powoli zapadał

zmrok, w środku nie paliło się światło. Powietrze było szare i matowe, zalegało jak gruby koc, który zaciera szczegóły. Przestępując próg domu Natalie, Dodge poczuł się, jakby wchodził do kościoła, jakby wkraczał na teren święty. Wszystko było wyłożone drewnem, dokoła stały eleganckie meble i rzeczy świadczące ozamożności właścicieli. I było cicho jak makiem zasiał.

– Czy ona tu wogóle jest? – zapytał. Jego głos zabrzmiał donośnie w tej ciszy.

– Na dole. – Heather otworzyła drzwi na prawo od salonu. Niewykończone schody prowadziły w dół, pewnie do piwnicy. Dodge'owi wydało się, że słyszy stamtąd jakieś poruszenie, może szept, ale zaraz wszystko ucichło.

– Idź – rzuciła. Chciał powiedzieć, że ma iść pierwsza, ale mogłaby wtedy pomyśleć, że się boi. Co zresztą było prawdą, sam nie wiedział czemu. Coś w tym miejscu, może ta cisza. przerażało go. Heather jakby wyczuła jego wahanie idodała:

– Posłuchaj, na dole będziemy mogli porozmawiać. Ona wszystko ci wyjaśni. – Umilkła. – Nat?– zawołała.
– Tutaj jestem! – Zpiwnicy dobiegł głos Nat.

Uspokojony, ruszył po schodach. Otoczyło go wi lgotne, śmierdzące stęchlizną powietrze. Piwnica była duża i zastawiona starymi meblami. Zszedł na sam dół iodwrócił się w poszukiwaniu Nat, kiedy zgasły światła. Znieruchomiał, zaskoczony.

– Co się… – Nie dokończył, bo ktoś brutalnie chwycił go od tyłu i usłyszał podniesione głosy. Przyszło mu do głowy, że to pewnie część gry, jakieś zadanie, którego nie przewidział.

– Tutaj, tutaj!– powtarzała Nat. Dodge zaczął się bronić, ale ktokolwiek go trzymał, był duży, dobrze zbudowany isilny. Na pewno jakiś facet. Można się było tego domyślić po jego gabarytach i po zapachu: mentolu, piwa ipłynu po goleniu. Dodge kopnął go. Facet zaklął i coś się przewróciło. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a potem głos Natalie:

– Cholera. Tutaj. Tutaj.
Posadzono go na krześle, wykręcono mu ręce i czymś je związano. Taśmą klejącą. Nogi też.
– Co jest, do cholery?– zaczął się wydzierać. – Odpieprzcie się ode mnie.
– Ciii, Dodge. Nie denerwuj się tak.
Nawet teraz, wtej sytuacji, głos Natalie działał na niego obezwładniająco. Przestał się nawet szamotać.

– Oco chodzi, do diabła? Co ty wyprawiasz?– Jego oczy powoli przystosowywały się do ciemności. Wreszcie ją dostrzegał: kontury jej ogromnych oczu, dwie ciemne, smutne jamy.

– Robię to dla ciebie – odparła. – Dla twojego własnego dobra.

– Oczym ty mówisz? – Pomyślał nagle o samochodzie zaparkowanym przy Pheasant Lane i osłoiku z benzyną i styropianem, ukrytym w silniku jak sekretnie bijące serce. Jeszcze raz spróbował rozerwać krępującą go taśmę. – Wypuść mnie.

– Dodge, posłuchaj mnie. – Głos Nat nagle zaczął się rwać, a on uświadomił sobie, że dziewczyna płacze. – Wiem… wiem, że winisz Luke'a za to, co spotkało twoją siostrę, za tamten wypadek… prawda?

Poczuł, jak jego ciałem wstrząsają lodowate dreszcze. Nie był w stanie wykrztusić słowa.
– Nie wiem dokładnie, co planujesz, ale nie pozwolę ci na to– dodała. – Pora zatrzymać to szaleństwo.

– Wypuść mnie. – Dodge mówił coraz bardziej podniesionym głosem. Walczył z paniką, uczuciem tępego strachu wcałym ciele, tym samym, które go ogarnęło, gdy stał na trawniku przed domem Hanrahanów i nie mógł się ruszyć.

– Dodge, zaufaj mi. – Położyła mu ręce na ramionach. Chciał je strącić, ale nie miał jak. Jakaś jego część pragnęła Nat, adruga jej nienawidziła. – To dla twojego dobra. To dlatego, że mi na tobie zależy.

– Natalie, ty nic nie rozumiesz. – Czuł zapach jej skóry, mieszankę wanilii i gumy do żucia, i to go zabolało.
– Wypuść mnie. To jest chore.

– Nie. Przykro mi, ale nie. – Jej palce musnęły jego policzek. – Nie pozwolę ci zrobić niczego głupiego. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Nachyliła się jeszcze bliżej, jej usta niemal dotykały jego warg. Pomyślał, że może chce go pocałować, ale nie miał siły się temu oprzeć ani się odwrócić. A wtedy poczuł, jak jej ręce wędrują wzdłuż jego ud.

– Co ty… – Nie dokończył pytania, bo akurat odnalazła jego kieszeń i wyjęła z niej kluczyki i telefon.

– Przykro mi – powtórzyła, prostując się. I naprawdę miał wrażenie, jakby jej było przykro. – Ale uwierz mi, tak będzie lepiej.

Zalała go fala bezsilności. Poczynił ostatnią, daremną próbę oswobodzenia się. Krzesło przesunęło się o kilka centymetrów po betonowej podłodze.

– Błagam cię – jęknął. – Natalie.
– Przykro mi, Dodge – powiedziała znowu. – Wrócę zaraz po Pojedynku. Przysięgam.

Majstrowała coś przy jego telefonie i na chwilę rozbłysnął ekran, ukazując głębokie, smutne jamy jej oczu, twarz pełną żalu i współczucia. I przy okazji faceta za jej plecami. Tego, który złapał Dodge'a.

Przybrał na wadze – zjakieś piętnaście kilogramów – izapuścił włosy. Pięćdziesiąt patyków najwyraźniej mu nie posłużyło. Ale nie dało się pomylić z kimkolwiek innym tych oczu, mocno zarysowanej szczęki i tej blizny, pełznącej przez jego lewą brew jak mały biały robak.

Dodgem aż zatrzęsło. Już nie był w stanie mówić ani nawet oddychać.
Luke Hanrahan.
HEATHER

Heather czekała w samochodzie, aż Natalie i Luke zrobią swoje. Starała się oddychać normalnie, ale jej płuca nie słuchały i jakoś dziwnie trzepotały jej w piersi. Będzie się teraz musiała zmierzyć z Rayem Hanrahanem. Nie mogła się poddać ani w żaden sposób od tego wykręcić.

Za stanawiała się, co takiego knuł Dodge. Luke też tego nie wiedział, pokazał im tylko jego SMS–y zpogróżkami. To było surrealistyczne doznanie – siedzieć w kuchni Nat zLukiem Hanrahanem, gwiazdą futbolu, wybranym na króla imprezy absolwenckiej i od razu zdetronizowanym za palenie trawki w szatni wtrakcie ogłaszania wyniku. Zwycięzcą Paniki. Który kiedyś pobił kasjera w 7–Eleven wHudson, gdy facet nie chciał sprzedać mu fajek.

Teraz wyglądał koszmarnie. Dwa lata poza Carp nie zrobiły mu dobrze. Heather nie mogła w to uwierzyć, myślała, że jedyne, czego trzeba do szczęścia – jedyne, czego im wszystkim trzeba – jest to, by się stąd wydostać. Ale może człowiek wszędzie zabiera ze sobą swoje demony, tak samo jak zabiera ze sobą swój cień.

Wyjaśnił, że odnalazł Nat dzięki kuponowi zakład owemu, który dotarł do niego aż do Buffalo. I dzięki filmikowi nakręconemu przy wieżach ciśnień, który pokazywał

Nat wspartą na ramieniu Dodge'a. To właśnie ją było najłatwiej zlokalizować z wszystkich graczy imiał nadzieję, że Nat pomoże mu przekonać Dodge'a, żeby się wycofał.

Nat wreszcie wyszła z domu. Heather obserwowała, jak rozmawia zLukiem na ganku. Chłopak był od niej prawie dwa razy większy. Niesamowite. Kilka lat temu Nat zwariowałaby na samą myśl, że Luke mógłby spojrzeć wjej kierunku albo że ją kojarzy. Zadziwiające, jak potrafi się ułożyć życie, jak pełne jest zwrotów, ślepych zaułków iniespodziewanych możliwości.

Gdzieś tam zawsze jest jakaś obietnica.
– Co zDodge'em? – zapytała Heather, gdy Nat wsiadła do samochodu.

– Jest wściekły.
– Wkońcu go porwałaś.

– Dla jego własnego dobra – rzekła Nat i przez chwilę wyglądała na rozzłoszczoną. Ale potem się uśmiechnęła. – Jeszcze nigdy wcześniej nikogo nie porwałam.

– Nie przyzwyczajaj się. – Obie najwyraźniej postanowiły nie wracać do swojej wcześniejszej kłótni i Heather to odpowiadało. Wskazała głową na Luke'a, który właśnie wsiadał do swojego samochodu. – A on przyjedzie na Pojedynek?

Nat pokręciła głową.

– Nie sądzę. – Umilkła na chwilę, po czym dodała cichym głosem: – To okropne, co zrobił Daynie. Myślę, że musi się za to nienawidzić.

– Chyba tak – potwierdziła Heather. Ale nie chciała myśleć o Luke'u ani o siostrze Dodge'a, ani o jej nogach przygniecionych toną metalu, które od tej pory stały się bezużyteczne. I bez tego mdliło ją z nerwów.

– Wporządku, Heather? – spytała Nat.
– Nie – odparła szczerze.
– Jesteś tak blisko. Prawie na mecie. Wygrywasz.

– Jeszcze nie wygrałam – powiedziała, ale dodała gazu. Nie mogła tego więcej odwlekać. Niebo coraz bardziej ciemniało, jakby horyzont był czarną dziurą, zasysającą wszystkie kolory. Nagle coś jeszcze przyszło jej do głowy. – OJezu. Przecież to samochód Anne. Nawet nie powinnam go prowadzić. Nie mogę stanąć z nim do wyścigu z Rayem.

– Nie musisz. – Nat sięgnęła do torebki iwyjęła z niej kluczyki, podzwaniając nimi dla dramatycznego efektu.
– Skąd je wytrzasnęłaś? – Heather spojrzała na nią zaskoczona.

– Od Dodge'a. – Nat podrzuciła kluczyki i włożyła je z powrotem do torebki. – Możesz skorzystać z jego samochodu. Lepiej dmuchać na zimne, co nie?

Kiedy ostatnie promienie słońca zniknęły i księżyc przedarł się przez chmury, zaczęli się zbierać. W ciszy wyłaniali się z lasu i schodzili wdół wąwozu. Żwir chrzęścił pod stopami, gdy wędrowali po zboczu. Albo przyjeżdżali upchani wsamochodach, które sunęły powoli, zwyłączonymi światłami, jak łodzie podwodne wciemności.

Gdy gwiazdy zabłysnęły na firmamencie, byli tam już wszyscy– cała młodzież z Carp przyszła oglądać ostatnie zadanie.

Nadszedł czas. Nie było potrzeby, by Diggi n je powtarzał, bo wszyscy znali zasady Pojedynku. Oba samochody pędzą naprzeciwko siebie po jednopasmowej drodze. Pierwsza osoba, która skręci, przegrywa.

A zwycięzca zgarnia wygraną.

Heather była tak zdenerwowana, że dopiero za trzecim razem włożyła kluczyk do stacyjki. Znalazła lesabre'a zaparkowanego na poboczu, niemal schowanego wkrzakach. To był samochód Bishopa, Dodge musiał go od niego pożyczyć.

Była zła na niego, że pomógł w ten sposób Dodge'owi. Zastanawiała się, czy zaryzykował przyjście na finał – czy był gdzieś w tłumie, w ciemnej masie ludzi, wśród twarzy nie do odróżnienia w słabym blasku księżyca. Była zbyt dumna, by wysłać do niego wiadomość z pytaniem. Ale izawstydzona. Próbował z nią porozmawiać, wszystko wytłumaczyć, a ona zachowała się paskudnie.
Zastanawiała się, czy byłby w stanie jej wybaczyć.

– Jak się czujesz? – zapytała Nat. Wcześniej zaproponowała Heather, że zostanie z nią tak długo, jak tylko będzie można.

– Wporządku – odparła, ale to nie była prawda.

Usta jej zdrętwiały. Język jakby spuchł. Jak ma pr owadzić, skoro prawie nie czuje rąk? Gdy podjechała samochodem do miejsca startu, reflektory oświetliły upiornie blade twarze zgromadzonych, którzy stali w milczeniu wcieniu drzew. Silnik jęczał, jakby coś było z nim nie tak.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajała ją Nat. Nagle odwróciła się i spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.
– Wszystko będzie dobrze, jasne? – powiedziała, jakby próbowała przekonać samą siebie.

Diggin wskazał Heather, że powinna zawrócić. Silnik wydawał dziwny zgrzyt. Wydawało jej się, że również dziwnie śmierdział, ale potem stwierdziła, że pewnie to tylko jej wyobraźnia. Zresztą i tak nie potrwa to długo. Góra trzydzieści–czterdzieści sekund. Kiedy udało jej się ustawić samochód we właściwym kierunku, Diggin postukał palcami w przednią szybę i skinął głową.

Na drugim końcu drogi – tysiące metrów, tysiące kilometrów od niej – zobaczyła dwa reflektory samochodu Raya. Zapalały się i gasły. Zapalały i gasły. Jak ostrzeżenie.

– Powinnaś już iść – powiedziała do Nat. Miała ściśnięte gardło. – Zaraz zaczniemy.

– Kocham cię, Heather. – Nat nachyliła się i zarzuciła jej ręce na szyję. Jej znajomy zapach sprawił, że Heather zebrało się na płacz, jakby żegnały się na zawsze. A wtedy jej przyjaciółka się odsunęła. – Posłuchaj, jeśli Ray nie zjedzie zdrogi, to znaczy jeśli będziecie blisko siebie, a nic nie będzie wskazywało na to, że zaraz skręci… Musisz mi obiecać, że ty to zrobisz. Nie możesz ryzykować zderzenia, okej? Obiecaj mi to.

– Obiecuję – powiedziała Heather.

– Powodzenia– rzekła Nat, wysiadła z samochodu ipobiegła w stronę pobocza. Heather odprowadziła ją wzrokiem.

Została sama w samochodzie, wciemności, mając przed sobą długą, wąską drogę, jak wskazujący palec wycelowany wblask odległych reflektorów.

Po myślała o Lily.
Pomyślała o Anne.
Pomyślała o Bishopie.

Pomyślała o tygrysach i owszystkim, co schrzaniła wżyciu.
I obiecała sobie, że za nic na świecie nie zjedzie pierwsza.

W tym samym czasie w ciemnej piwnicy, pośród zapachu naftaliny i starych mebli,do Dodge’a dotarło, zbyt późno, po co Nat zabrała jego kluczyki – zaczął więc walczyć z więzami i krzyczeć, myśląc o mieszance wybuchowej, która

rozgrzewała się powoli w samochodzie…

Coś w silniku dymiło. Heather zobaczyła małe smugi dymu wydobywające się spod maski, jak cienkie czarne węże. Ale w tym samym momencie Diggin wyszedł na środek drogi z gołym torsem i zaczął machać nad głową swoim podkoszulkiem jak flagą.

Było już więc za późno. Usłyszała pisk opon. Ray ruszył. Wcisnęła gaz i samochód wyskoczył do przodu, wpadając w lekki poślizg. Dym niemal natychmiast zgęstniał, zasłaniając jej na chwilę pole widzenia.

Na moment spanikowała.

Ale zasłona dymu szybko się rozwiała i znów mogła dostrzec drogę. Coraz większe reflektory. Metaliczny blask księżyca. I sączący się spod maski dym. Wszystko działo się szybko, za szybko – pędziła przed siebie, nie widziała nic, tylko dwa księżyce, coraz większe i bliższe…

Smród palonej gumy i pisk opon.

Coraz bliżej… Prędkościomierz dochodził do stu k ilometrów na godzinę. Było już za późno, by skręcić, a on też nie skręcał. Było za późno na cokolwiek, zderzenie było nieuniknione.

Nagle z silnika buchnął ogień. Heather krzyknęła. Nic nie widziała. Kierownica szarpnęła jej w rękach i Heather ztrudem utrzymała samochód na prostej. Powietrze śmierdziało palonym plastikiem, a wjej płuca wdzierał się dym.

Nacisnęła na hamulec, nagle ogarnięta pewnością, że umrze. Zobaczyła jakieś poruszenie po lewej – ktoś wbiegł na drogę? – idotarło do niej momentalnie, że Ray, by to ominąć, skręcił gwałtownie w lewo ijechał prosto w las.

Rozległ się huk, wszystko zadrżało, płomienie lizały maskę auta, gdy przejechała obok. Krzyczała. Wiedziała, że musi wyskoczyć z samochodu teraz, zanim wcoś uderzy.

Samochód ślizgał się, trząsł, wirował w kółko, wreszcie zwolnił i zaczął sunąć w stronę lasu. Heather mocowała się z drzwiami. Klamka się zablokowała. Heather przeleciała przez głowę straszna myśl, że zginie wśrodku, w płomieniach. Mocno pchnęła i drzwi odskoczyły. Wypadła z samochodu, uderzyła ramieniem oziemię, potoczyła się, poczuła w ustach piach iżwir. Usłyszała odległy ryk, jakby ludzie krzyczeli jej imię. Spod kół samochodu posypały się iskry, gdy zjechał z drogi w

las.

Wtedy nastąpiła eksplozja. Tak głośna, że Heather poczuła ją w całym ciele. Zakryła głowę. Teraz słyszała, że ludzie rzeczywiście krzyczą jej imię – jej i Raya. W oddali wyły syreny. Przez chwilę myślała, że nie żyje, ale poczuła krew wustach. Jeśli byłaby martwa, to nie poczułaby jej smaku.

Podniosła wzrok. Z samochodu niewiele zostało. Słup ognia pochłaniał go, zmieniając w kłębowisko gumy imetalu. Jakimś cudem udało jej się usiąść, a potem wstać. Nie czuła bólu, jakby oglądała film o swoim własnym życiu. Iprzestała cokolwiek słyszeć. Nie słyszała ani głosów nawołujących ją, by odsunęła się od płonącego auta, ani syren. Otaczała ją bańka ciszy, jakby znajdowała się pod wodą.

Odwróciła się i zobaczyła Raya usiłującego wygramolić się z samochodu. Twarz miał zalaną krwią. Trzy osoby próbowały go wyciągnąć z wraku. Wjechał prosto wdrzewo, maska auta była zgnieciona niemal do połowy.

Teraz już widziała, co było tego powodem. Na środku drogi, parę metrów dalej, stał tygrys.

Patrzył na Heather swoimi głębokimi, czarnymi oczami, starymi ipełnymi smutku; oczami, które obserwowały, jak przemijały wieki. W tej samej chwili pojęła, że on się boi – hałasu, ognia i wrzeszczącego po obu stronach drogi tłumu.

Ale ona, Heather, już się nie bała.

Do przodu popchnęła ją jakaś niewytłumaczalna siła. Nie czuła nic, poza litością i zrozumieniem. Ona i tygrys byli na drodze sami.

Dym wzbijał się kłębami w powietrze, ogień lizał niebo, aHeather Nill podeszła bez wahania do tygrysa, delikatnie położyła mu rękę na głowie i wygrała.

SOBOTA, 8 PAŹDZIERNIKA

Na początku października do Carp na chwilę wróciło lato. Było ciepło i słonecznie, a gdyby nie drzewa, które już zmieniły kolory – głębokie czerwienie i oranże przeplatały się z ciemną zielenią sosen – można by myśleć, że to początek wakacji.

Pewnego dnia Heather obudziła się i poczuła nagłą chęć, by wrócić tam, gdzie rozpoczęła się gra. Mgła powoli się unosiła, migocząc i rozpraszając się w promieniach wędrującego w górę słońca. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i świeżo skoszoną trawą.

– Co ty na to, by pójść dziś nad zalew, żabko? – zapytała, gdy Lily odwróciła się na łóżku, mrugając oczami, zwłosami rozrzuconymi na poduszce. Heather patrzyła na delikatne piegi na jej nosie, na rzęsy rozjaśnione słońcem, ipomyślała, że jej siostra nigdy nie wyglądała tak pięknie.

– Z Bishopem?– spytała Lily.
Heather nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Tak, z Bishopem. – Bishop wyjechał na studia, ale co weekend wracał do Carp, żeby wykonać nakazane przez sąd prace społeczne. I żeby zobaczyć się z Heather.

W końcu postanowiła zaprosić też Nat i Dodge'a. Uznała, że też powinni tam być. Kiedy przyszła pocztą tajemnicza żółta koperta ze złotym kluczykiem – kluczykiem do sejfu w lokalnym banku – odebrała pieniądze ipodzieliła wygraną na trzy. Wiedziała, że Dodge przekazał większość swojej działki Billowi Kelly'emu. Budowano mały pomnik poświęcony Małemu Kelly'emu wmiejscu, gdzie niegdyś stał dom Graybillów. Nat pobierała lekcje aktorstwa w Albany, a w weekendy pracowała jako modelka w Hudson Valley Mall.

Heather wstyczniu zaczynała weterynarię na Jefferson Community College.

Spakowała do bagażnika koc, ręczniki plażowe, śr odek przeciwko komarom i krem do opalania. Do tego stos starych, pomarszczonych od wilgoci czasopism z salonu Anne, lodówkę turystyczną pełną mrożonej herbaty, kilka paczek chipsów oraz skrzypiące leżaki z wyblakłego materiału w paski. Czuła, że jutro pogoda może się zmienić iznów zrobi się chłodno. Niedługo Krista skończy swój trzydziestodniowy program walki zuzależnieniem i pewnie Heather zLily będą musiały wrócić do Fresh Pines, przynajmniej na pewien czas. Nadejdą deszczowe miesiące.

Ale dzisiaj było idealnie.

Dotarli na miejsce tuż przed lunchem. Nikt wsamochodzie nie był specjalnie gadatliwy. Lily wcisnęła się między Dodge'a i Nat na tylnym siedzeniu. Nat zaplatała w warkocz pasmo jej włosów i szeptem mówiła, którzy aktorzy najbardziej jej się podobali. Dodge oparł głowę ookno. Od czasu do czasu się uśmiechał, więc Heather wiedziała, że nie śpi. A Bishop trzymał rękę na jej kolanie, gdy prowadziła. Wciąż jej widok w tym miejscuwydawał się cudem, tak samo jak świadomość, że on należy do niej – iże poniekąd zawsze tak było. Ale teraz wszystko było inne.

Inne i lepsze.

Wysiedli z samochodu i poczuli przypływ energii. Lily pobiegła z radosnym krzykiem do lasu, trzymając nad głową ręcznik, który powiewał jak transparent. Nat ruszyła za nią, odsuwając gałęzie z drogi. Dodge i Bishop pomogli Heather wypakować rzeczy z bagażnika i razem zaczęli się przedzierać przez zarośla, obładowani ręcznikami, leżakami ilodówką, w której grzechotał lód.

Plaża wyglądała czyściej niż zwykle. Na jej końcach ustawiono kosze na śmieci i na piaszczysto–żwirowym odcinku nie było petów ani puszek po piwie. Przezierające przez liście promienie słońca sprawiały, że woda mieniła się niezwykłymi kolorami: fioletem, zielenią i żywym błękitem. Nawet strome zbocze skarpy po drugiej stronie zalewu, zktórej skakali wszyscy gracze, wyglądało teraz pięknie, a nie przerażająco – zpęknięć w skale wyrastały kwiaty, asplątana winorośl spływała w stronę wody. Drzewa na szczycie płonęły ognistą czerwienią.

Lily podeszła do Heather, która właśnie strzepywała koc. Wiał lekki wiatr i żeby koc nie odfrunął, musiała położyć na rogach różne przedmioty: swoje klapki, okulary przeciwsłoneczne Bishopa i torbę plażową.

– Czy to tutaj, Heather?– wskazała Lily. – To stąd skoczyłaś?
– Tak samo jak i Nat – odpowiedziała. – Tak jak my wszyscy. No, zwyjątkiem Bishopa.

– Nie da się ukryć – odezwał się Bishop, który właśnie rozwiązywał sznurówki trampek. Mrugnął do Lily. – Straszny ze mnie tchórz.

Na moment spojrzenia jego i Heather się spotkały. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to on zaplanował Panikę, ani mu wybaczyć, że jej nie powiedział. Za nic w świecie by nie przypuszczała – jej Bishop, jej najlepszy kumpel, chłopak, który kiedyś sprowokował ją, by zdrapała swoje strupki ije połknęła, po czym niemal

zwymiotował, gdy to zrobiła.

Ale właśnie w tym tkwił sęk. Był taki sam, ajednocześnie inny. I to dawało jej nadzieję. Jeśli ludzie się zmieniają, to znaczy, że ona też mogła się zmienić. Mogła być inna.

Mogła być szczęśliwsza.
Będzie, zresztą już była.

– To wcale nie tak wysoko – stwierdziła Lily. Zmrużyła oczy. – Jak się tam dostaliście?
– Musieliśmy się wspiąć – odparła Heather. Lily szeroko rozdziawiła buzię.

– No dalej, Lily! – Nat stała tuż przy brzegu, zsuwając zsiebie szorty. Dodge był już w wodzie iobserwował ją zuśmiechem. – Która pierwsza się zanurzy?
– To nie fair! – Lily natychmiast zerwała się do biegu, rozbryzgując piasek i zrzucając z siebie podkoszulek.

Heather i Bishop położyli się obok siebie na kocu, na plecach. Oparła głowę na jego piersi. Co jakiś czas delikatnie przeczesywał palcami jej włosy. Przez chwilę leżeli wmilczeniu. Nie musieli nic mówić. Heather wiedziała, że cokolwiek się stanie, on zawsze będzie należał do niej, tak jak wspomnienie tego idealnego dnia, gdy na chwilę wróciło lato.

Zaczęła przysypiać, gdy Bishop się poruszył.
– Kocham cię, Heather.

Otworzyła oczy. Czuła w całym ciele ciepło i rozleniwienie.
– Ja też cię kocham – odparła. Słowa te wyszły z jej ust bez żadnego trudu.

Pocałował ją, raz, delikatnie, w czubek głowy, a gdy przechyliła twarz w jego stronę, mocniej, w usta. Wtem usłyszeli głos Lily:

– Heather! Heather! Popatrz na mnie! Heather! Lily stała na samym szczycie skarpy. Heather nawet nie zauważyła, jak się wspinała. Musiała być szybka.

– Złaź natychmiast! – krzyknęła przestraszona.
– Nic jej nie będzie – uspokoił ją Dodge.

Stał w wodzie razem z Nat – Heather nie mogła uwierzyć, że Natalie udało się go przekonać do pływania iże w ogóle miał jakieś kąpielówki. Jedną ręką obejmował Nat wpasie. Wyglądali razem fantastycznie, jak posągi wykute zróżnobarwnych

skał.

– Patrzcie! – krzyczała Lily. – Zaraz skoczę!

I zrobiła to, bez wahania. Wzbiła się w powietrze iprzez chwilę zdawało się, że tam zawisła, z rozpostartymi nogami irękami, z otwartymi ustami, roześmiana. Nagle uderzyła w wodę i wypłynęła na powierzchnię, plując ikrzycząc:

– Widziałaś? Nie bałam się! Nic a nic!

Heather ogarnęła radość, poczuła, jak buzuje w niej szczęście. Zerwała się iwbiegła do wody, ochlapując przy tym Nat, igdy jej siostra podpłynęła bliżej i próbowała stanąć na dnie, wciągnęła ją z powrotem pod wodę.

– Nie bałaś się, co? – Heather zaatakowała goły brzuch Lily, ata wykręcała się jej, piszcząc ze śmiechu i wołając Bishopa na pomoc.– Ale łaskotek się boisz, co?

– Bishop, pomóż mi! – wrzasnęła Lily, gdy Heather trzymała ją w uścisku.

– Już idę, Lily! – krzyknął Bishop, po czym rzucił się za nimi, chlapiąc na wszystkie strony. Zaczął odciągać Heather i wkońcu oboje się przewrócili, rozchlapując wodę. Heather wynurzyła się ze śmiechem i go popchnęła.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – powiedział Bishop, trzymając ręce na jej talii. Jej Bishop. Jej najlepszy przyjaciel.
– Dzieci, dzieci, nie kłóćcie się! – droczyła się z nimi Nat.

Choć słońce grzało mocno, wiatr sprawił, że Heather miała gęsią skórkę. Wiedziała, że ten dzień, ta radość, nie będą trwały wiecznie. Wszystko przemija. I dlatego życie jest takie piękne. Pewnie wkrótce będzie musiała się zmierzyć z jakimiś problemami. Ale to też jest w porządku.

Odwaga polega na tym, by iść do przodu, choćby nie wiem co. Może pewnego dnia znów będzie musiała stanąć na krawędzi i skoczyć. I zrobi to. Wiedziała już teraz, że zawsze jest nadzieja, światełko w tunelu– nawet pośród ciemności, strachu, pośród największych głębin. Zawsze jest słońce, po które można sięgnąć, i powietrze, iprzestrzeń, i wolność.

Zawsze jest jakaś droga, którą można pójść, zawsze jest jakieś wyjście. I nie trzeba się bać.